

JERZY PELC

## REIZM W OCZACH SWEGO RÓWIEŚNIKA<sup>1</sup>

**STRESZCZENIE:** Rozprawa *Reizm w oczach swojego rówieśnika* jest tekstem, nad którym Jerzy Pelc pracował w ostatnich latach swojego życia. Rozprawa jest szczegółowym omówieniem reizmu, jego kontekstu historycznego, analiz reizmu, które przeprowadzili Kazimierz Ajdukiewicz, Janina Kotarbińska i Marian Przełęcki oraz prezentacją stanowiska reizmu umiarkowanego, którego zwolennikiem był sam Jerzy Pelc.

Pamięci rówieśników reizmu i jego wychowanków:

Klemensa Szaniawskiego (1925–1990),

Henryka Hiża (1917–2006),

Mariana Przełęckiego (1923–2013),

Andrzeja Grzegorzycy (1922–2014).

Rówieśnik, wychowanek i zwolennik umiarkowanego reizmu rdzennego.

### 1. WSTĘP

Rok 1929 przyjmuję jako datę ogłoszenia reizmu, doktryny Tadeusza Kotarbińskiego. Jej sformułowanie zawierały *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* (Kotarbiński, 1929). *Elementy* były jednym z trzech podstawowych podręczników filozofii w środowisku warszawskim przez co najmniej dwadzieścia pięć lat. Ale reizm narodził się wcześniej i myśl reistyczna była obecna zarówno w wykładach Profesora, powołanego w 1919 roku na Katedrę Filozofii UW, zwaną „Seminarium Filozoficzne II” (Seminarium Filozoficznym I kierował Władysław Tatarkiewicz), jak i przedtem w niektórych jego publikacjach. A zatem poglądy autora zawarte w tym dziele zaczęły kształtować

---

<sup>1</sup> Tekst opracował i zredagował Marcin Będkowski.

umysły już przeszło dziesięć lat wcześniej. Wychowanków więc szkoła *Elementów* miała wielu, bardzo wielu. Nie tylko wśród filozofów, jak spośród najstarszego ich pokolenia: Dina Szejnberg-Kotarbińska, Maria Niedźwiecka-Ossowska, Jerzy Kreczmar, Mieczysław Wahlfisch-Wallis, ale i psychologów, jak Edward Geblewicz (zresztą psychologia była wtedy jednym z trzech działów uniwersyteckiego studium filozofii), logików matematycznych, jak Alfred Tarski, filologów i zarazem filozofów, a później socjologów, jak Stanisław Ossowski, językoznawców, jak Henryk Gertner, przyrodników, jak Jerzy Konorski. Dziś wychowanków *Elementów* żyje niewiele.

Można przyjąć, że rówieśnikami reizmu są ludzie urodzeni na przełomie lat dwudziestych ubiegłego stulecia. Mimo że i tych jest nie tak wielu, ograniczmy ich liczbę do grona słuchaczy Tadeusza Kotarbińskiego. Ale i ono okaże się zbyt liczne, jak na zakres zwrotu „rówieśnik-wychowanek reizmu” zamierzony przeze mnie w tej książce. Wyodrębnię więc z tej – ciągle jeszcze – sporej grupy grono uczniów autora *Elementów* i *Traktatu o dobrej robocie* (2019), którzy przy filozofii pozostali i stanowili w Warszawie bliskie otoczenie Profesora, związane z nim zawodowo, a także prywatnie. Z żalem myślę, że do tej drużyny nie będą należeć, bo nie byli filozofami, tacy koledzy z tego samego „mojego” tajnego kompletu filozoficznego – w latach 1942–1944 uczestnicy okupacyjnych wykładów i seminariów Tadeusza Kotarbińskiego – jak socjolog Marcin Czerwiński, historyk sztuki Jan Białostocki czy filozof Jerzy Miller, który – wywieziony po Powstaniu Warszawskim – pozostał na Zachodzie i jako profesor filozofii wykładał na Uniwersytecie Genewskim. Jak widać, z wielkiej gromady pozostała garstka. Można ją nieco powiększyć i dodać nazwiska Stefana Ziemskiego, adiunkta w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, Natalii Adamiakówny, przez wiele lat asystentki Seminarium Filozoficznego II, późniejszego Zakładu Logiki, oraz Henryka Stonerta, słuchacza okupacyjnych kompletów, a następnie docenta w Tadeusza Kotarbińskiego Pracowni Prakseologii PAN, oraz łódzką ekipę bliższych współpracowników Profesora: Iję Lazari, etyka, oraz jej męża Tadeusza Pawłowskiego, metodologa humanistyki.

Ci, których pamięci poświęcam te słowa, to ludzie mi bliscy. Jedni – jak Klemens Szaniawski i Marian Przełęcki – od lat chłopięcych aż do ich śmierci, dwaj pozostali – przez całe nasze dorosłe życie: Henryk Hiż od roku 1942, Andrzej Grzegorzczak od roku 1945. Z Klemensem Szaniawskim – razem w tej samej szkole powszechnej im. Mikołaja Reja, następnie w tym samym Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie, przed wybuchem wojny w klasach równoległych, a od roku 1939 w tym samym tajnym komplecie, matura w tym samym pokoju naszego mieszkania, studia filozoficzne w tej samej grupie, praca na Uniwersytecie Warszawskim w tym samym Zakładzie prof. Kotarbińskiego, gdzie po ukończeniu swych studiów filozoficznych na Uniwersytecie Łódzkim u prof. Janiny Kotarbińskiej znalazł się też Marian Przełęcki, towarzysząc wspólnych zabaw i spacerów, poznany w roku 1934 czy 1935 podczas wakacji w Piwnicznej nad Popradem. Henryk Hiż zjawił się na naszym komplecie bodajże w roku 1943 jako nieformalny asystent profesora Kotarbińskiego, którego

przez krótki czas zastępował, gdy ten musiał się ukrywać i zawiesił zajęcia, po tym jak otrzymał „wyrok” śmierci, wydany nań przez polską faszystującą organizację podziemną.

Daty urodzin, przypadające na lata między rokiem 1917 a 1925, czynią z nas rówieśników reizmu, a przebieg terminowania filozoficznego – wychowanków reizmu. Tym wspólnym terminem, „reizm”, obejmuję tutaj pewną całość, którą kiedyś nazywałem „szkołą *Elementów*”. Składają się na nią: dwie wersje reizmu, semantyczna i ontologiczna, którą Tadeusz Kotarbiński określał też jako „pan-somatyzm” lub „konkretyzm”, oprócz tego dwie odmiany realizmu: radykalny i praktyczny, oraz związane z tym drugim etyka spolegliwego opiekuna i prakseologia. Prakseologię – Klemens Szaniawski, Marcin Czerwiński, Henryk Stonert i ja jako studenci tego samego tajnego kompletu filozoficznego – poznaliśmy *in statu nascendi*: jej twórca czytał nam podczas jednego z seminariów kolejne kartki swojego rękopisu pt. *Traktat o dobrej robocie* (2019), rosnącego – zgodnie z autorskim postanowieniem – po jednej stronie dziennie.

Marian Przełęcki studiował na Uniwersytecie Łódzkim już po zakończeniu wojny. Jego promotorką była Janina Kotarbińska. Także przed wojną i w czasie wojny znaleźliśmy się w różnych miejscach, co zadecydowało o odmienności doświadczeń i losu Mariana. Jego ojciec, zatrudniony w Banku Polskim, był w latach przedwojennych kolejno dyrektorem kilku małopolskich oddziałów tej instytucji. Wskutek tego cała rodzina zmieniała miejsca pobytu. Lata okupacji spędzili w Nowym Sączu. W środowisku nowosądeckim, o wiele mniejszym niż obecnie, przedstawiciele miejscowej inteligencji przeważnie się znali i wzajem o sobie wiedzieli. W tych warunkach działalność konspiracyjna przybrała zupełnie inny charakter i rozmiary aniżeli w Warszawie, gdzie od urodzenia mieszkaliśmy, wszyscy pozostali. A przede wszystkim nie było tam Powstania. Jako jedyny z nas Marian Przełęcki nie miał przeszłości wojskowej ani nie uczestniczył w działaniach bojowych. Na ogół ani ci nasi rówieśnicy, ani młodsi od nas – wśród nich także kombatanci powojennych ruchów niepodległościowych i wolnościowych, którym został oszczędzony udział w czynnie zbrojnym – nie zdają sobie sprawy, jaka przepaść dzieli przeszłość „cywilną”, choćby najeżoną wielkimi niebezpieczeństwami, i „frontową”; ta w psychice pozostawia niezatarty ślad. Przypuszczam, że podobnie o tych, co na „wolności”, myślą i czują ci, którzy w czasie wojny zostali wtrąceni do więzień i obozów, zwłaszcza koncentracyjnych; ale nie do „stalagów” ani „oflagów”.

W latach 1942–1944 najzagorzalszym i najbardziej radykalnym zwolennikiem reizmu był bodajże Henryk Hiż. I mimo iż później, w swym okresie amerykańskim, napisał, że w kontakcie z Quine’em, Lewisem, Bridgmanem, Frankiem „oduczał się powoli absolutyzmu warszawskich logików” i że z filozoficznej szkoły warszawskiej „wyrósł w obu sensach: i jest to jego źródło, i wykracza poza nie”, wydaje mi się, że *in pectore* pozostał reistą. Tak przynajmniej odczytuję jego własne słowa:

W latach nauki na Uniwersytecie Warszawskim (1937–1939 i na podziemnym: 1940–1944) Kotarbiński był moim mistrzem. Głębia, precyzja, jasność jego wy-

kładów i jego akademickiego podręcznika *Elementy...* uformowały większość mojego pokolenia filozofów w Warszawie. Jest dużo wspaniałych książek filozoficznych w naszym wieku. Ale nie znam w literaturze francuskiej, niemieckiej czy angielskiej lepszego podręcznika filozofii naukowej o tak szerokiej problematyce, tak jednolitym stanowisku, tak pogłębionych i tak jasno wyłożonych szczegółach. Jednocześnie Kotarbiński był nam wzorem moralnym i głosicielem rozumiając etyki, etyki opieki. (Hiż, 1992, s. 12)

Wypowiedzi Henryka Hiża na tematy aksjologiczne – pacyfizm, kara śmierci, stosunek do religii – są wiernym powtórzeniem idei Tadeusza Kotarbińskiego. To samo mogę stwierdzić na temat poglądów etycznych Klemensa Szaniawskiego, Mariana Przełęckiego i swoich własnych, nie tylko w latach naszej młodości, ale do ostatnich dni każdego z nas; mam na myśli etykę w szerokim sensie, obejmującą stosunek do życia, umierania i śmierci, do eutanazji, dobra i zła, wolności i swawoli, tolerancji, sumienia, obowiązku, kary i zadośćuczynienia, stosunek nie tylko do innych ludzi, ale i do wszelkich istot żywych oraz do całej przyrody – etykę we wszystkich tych kwestiach świecką, niezależną od wierzeń religijnych. I gdy jedni tę postawę moralną oraz pogląd na świat akceptują z uznaniem, a inni potępiają, myślę, że oceniają po części, ale po lwiej części, nie żadnego z nas, lecz faktycznie nasz wzór, którego na ogół nie znają. Ale to nas samych nie uwalnia od odpowiedzialności: wszak ten wzór wybraliśmy świadomie i usiłowaliśmy według niego postępować. Zarazem z żalem przyznaję, że żadnemu z nas nie udało się zostać „drogowskazem, co sam podąża drogą, którą wskazuje” (są to słowa Jana Szczepańskiego o Tadeuszu Kotarbińskim).

Wśród rówieśników-wychowanków reizmu nie wymieniłem Andrzeja Grzegorzycy. Rówieśnikiem reizmu jest niewątpliwie. A czy jest także wychowankiem reizmu? Umysł wybitny, niezależny, radykalnie samodzielny, wywód kroczący z wolna. Niepodatny na wpływy tradycji – poza wpływem religijnej tradycji rzymsko-katolickiej, pojmowanej jednak na sposób indywidualny, często niezgodny z oficjalnym stanowiskiem instytucji religijnych oraz hierarchii kościelnej, ale zawsze szlachetny i gruntownie przemyślany, czerpał ze źródła tej tradycji to tylko i tyle, co i ile uznał za potrzebne do realizowania swej misji kaznodziejskiej, opartej na fundamencie logiki, a także na autorytecie tej nauki, którą twórczo uprawiał, i jej uniwersalnej – jak sądził – przydatności w dziele poprawiania stosunków między ludźmi. Chyba właśnie owo oddanie sprawie poprawiania stosunków między ludźmi zawdzięczał Andrzej Grzegorzycy nie tylko chrześcijaństwu, ale i Kotarbińskiego etyce spolegliwego opiekuna, kroczących zgodnie wspólną drogą do miejsca, ku któremu i on zmierzał. W tej wędrówce, bardziej chyba niż zadość czyniąc potrzebom społecznika, postępował za głosem powołania misjonarza, które zaspokajał pisarską działalnością kaznodziei, a zarazem publicysty i uczonego. Dla niej to, już w wieku dojrzałym, porzucił niestety swą twórczość na polu logiki. I tego jednak wyboru dokonał zgodnie ze stanowiskiem Tadeusza Kotarbińskiego jako realisty praktycznego, który w swym postępowaniu opiera się na odróżnieniu wartości, doniosłości i ważności: „[...] donioślejsze jest to, co wywołuje większe zmiany w dziedzinie

tego, co cenne, lub większym [...] zmianom zapobiega. [...] [T]o i tylko to jest ważniejsze, co zapobiega większemu złu lub większe zło uchyła. [...]”. A zatem:

[...] realista praktyczny [...] rozumie, iż najcenniejsze są działania najważniejsze i że najrozumiejszym wyborem spośród działań możliwych jest ten, który polega na wybraniu działania najważniejszego.

[...] Nie rozmaite nęcące satysfakcje wyznaczają drogę realisty praktycznego, lecz wzgląd na konieczności życiowe, a przez konieczności życiowe rozumiemy te wszystkie warunki, których niespełnienie grozi klęską. (Kotarbiński, 1957a, s. 688–689).

Największym złem jest klęska elementarna, przede wszystkim nieczyste sumienie, następnie zagłada, choroba, ból fizyczny, głód, nędza. Obrona przed klęskami dyktowana poczuciem odpowiedzialności pociąga za sobą trudne i bolesne wyrzeczenia: nauka jako badanie dla nasycenia ciekawości mniej jest ważna niż nauka jako zespół badań dla rozwijania gospodarki, która służy do obrony przed klęskami elementarnymi, a satysfakcja z podwyższania własnych kompetencji mniej ważna niż minimalizowanie własnej i cudzej głupoty. Nie tymi słowami, bo te zostały zaczerpnięte z pism Kotarbińskiego, ale słowami o podobnej treści Andrzej Grzegorzyc doradzał memu synowi wybór studiów wyższych, gdy w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych skierowałem doń maturzystę wybierającego się na matematykę, którą zresztą mimo tej „zachęty” wybrał i ukończył pod kierunkiem Andrzeja Mostowskiego, naszego – Klemensa Szaniawskiego i mojego – starszego szkolnego kolegi z Gimnazjum Batorego.

Andrzej Grzegorzyc był szczery szczerością spontaniczną, naturalną, bezwyjątkową, obejmującą także własną osobę, nie zaś zamierzoną czy programową, szczerością zupełnie niezdołną do liczenia się z konwenansem czy reakcją otoczenia, całkowicie pozbawioną kokieterii, skrajnie niewrażliwą na to, co ludzie pomyślą. Pamięć podsuwa następującą scenę: poproszony kiedyś o wyjaśnienie pewnej swej myśli w jego własnej *Logice matematycznej* milczał długą chwilę; nie znający go mogli przypuszczać, że w roztargnieniu nie usłyszał pytania albo że zapomniał prośby, a może już coś innego przykuło jego uwagę. W istocie było inaczej: jego mowę zawsze przerywały długie pauzy na milczenie. „Andrzej żyje bez przyspieszenia” – mawiał o nim Henryk Hiż; a podczas rozmowy telefonicznej te długie przerwy zmuszały do upewniania się „Andrzej, halo, słyszysz mnie? czy tam jeszcze jesteś?”. Także tym razem odpowiedział – jak zawsze z rozbrajającą szczerością – dopiero po długim namyśle: „wiesz, kiedy to pisałem, to wiedziałem, o co chodzi, a teraz nie wiem”.

## 2. RTG I USG REIZMU

Reizm był wielokrotnie poddawany prześwietleniom i badaniom ultrasonograficznym. Napotkał wybitnych analityków i komentatorów. Najcelniejsze diagnozy zawdzięcza Kazimierzowi Ajdukiewiczowi, Janinie Kotarbińskiej i Marianowi Przełęckiemu.

## 2.1. Kazimierz Ajdukiewicz

Wkrótce po ukazaniu się pierwszego wydania *Elementów teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* Kazimierz Ajdukiewicz ogłosił pod tytułem *Reizm* obszerną recenzję tego dzieła (Ajdukiewicz, 1930). Jest to ocena niezmiernie wnikliwa, trafna, sprawiedliwa i należycie uzasadniona. Tadeusz Kotarbiński od razu docenił jej wagę. Po trzydziestu latach dał temu wyraz, publikując tę krytykę w całości w roku 1961 w drugim wydaniu *Elementów*. Zarazem wzbogacił to drugie wydanie aneksem złożonym z serii swych artykułów, w których wskazywał możliwości obrony przed zarzutami Ajdukiewicza i poprawienia części wad wytkniętych przez Recenzenta.

Ajdukiewicz, wówczas gdy pisał swą recenzję, był radykalnym konwencjonalistą. Z czasem stał się zwolennikiem empiryzmu metodologicznego. Swe uwagi krytyczne rozpoczyna od rozróżnienia dwóch odmian reizmu: semantycznej i ontologicznej, czyli rzeczowej. Rozróżnienie to przyjął Tadeusz Kotarbiński i następnie zostało ono powszechnie zaakceptowane.

Recenzent podaje cztery interpretacje głównej tezy reizmu semantycznego i wskazuje następstwa wynikające z przyjęcia każdej z nich.

Według pierwszej interpretacji teza reizmu semantycznego to deklaracja „wszelką nazwę, która nie jest nazwą rzeczy, mamy za nazwę pozorną”; ta tautologia definicyjna jest tezą, która wynika z arbitralnie przyjętej definicji. Zauważmy jednak, że z faktu, iż taka właśnie definicja została w *Elementach* przyjęta arbitralnie, nie wynika, by decyzja ta była bezpodstawna czy niesłuszna. Co najwyżej uprawnia to do domagania się argumentów przemawiających za jej przyjęciem.

Jednym z takich argumentów mogłoby być twierdzenie empiryczne, że w języku polskim, a może i w innych językach, ilekroć słowo „jest” wiąże dwie nazwy jakichś rzeczy, to występuje ono w innym znaczeniu niż wtedy, gdy figuruje między mianami nierzeczy, jak np. w zdaniu „starszeństwo jest stosunkiem przechodnim”. Jest to druga z podanych przez Ajdukiewicza jego interpretacji tezy reizmu semantycznego. Reizm pojmowany według tej drugiej interpretacji Recenzent również odrzuca, ponieważ:

Jeśli to miała być teza empiryczna, dotycząca tego, jak ludzie w różnych kontekstach rozumieją wyraz „jest”, to sądzimy, że zarówno ta teza, jak i sprzeczna wymagałaby mozolnych badań i statystyk, tak iż najostrożniej byłoby wstrzymać się od stanowiska w tej sprawie. (Ajdukiewicz, 1961, s. 612)

Moim zaś zdaniem, także opowiedzenie się za obecną interpretacją nie przekreślałoby tezy reizmu semantycznego. Po pierwsze, obecny postęp techniki badań statystycznych znacznie przyspieszyłby proces sprawdzania tej tezy, nie ma więc powodu cofać się przed wykonaniem tego zadania; po drugie, ważenie zysków i strat związanych z „nieostrozną” decyzją w tej kwestii jest bardzo subiektywne; po trzecie, Tadeusz Kotarbiński miał wykształcenie także w zakresie filologii klasycznej, był nauczycielem łaciny i greki, autorem przekładów na

polski z języka łacińskiego, znał kilka europejskich języków obcych, więc zapewne swego spostrzeżenia o odmienności znaczenia wyrazu „jest” w każdej z dwóch wspomnianych ról nie oparł wyłącznie na praktyce człowieka mówiącego jedynie po polsku; po czwarte wreszcie, Kazimierz Ajdukiewicz w swym sformułowaniu interpretacji używa słowa „znaczenie” odnoszącego się do tego, co ma różnić od siebie wystąpienia łącznika „jest” we wspomnianych odmienionych kontekstach słownych. Powstaje w związku z tym pytanie, co w tym wypadku Recenzent miał na myśli, pisząc o różnicy znaczeniowej. Wiadomo, że w najbliższym sąsiedztwie daty opracowywania recenzji *Elementów*, które ukazały się w kwietniu 1929 roku, swe poglądy na temat pojęcia znaczenia Ajdukiewicz wyłożył w lutym 1929 roku w rozprawie *O znaczeniu wyrażeń* (1960a), przypuszczalnie zatem w recenzji zapatrywał się na znaczenie tak samo jak w tym artykule. W pracy tej pojęcie znaczenia zdefiniował przez abstrakcję, wywiódłszy je z następującej definicji równoznaczności dwóch wyrażeń w języku *J*:

Wyrażenie *a* jest w języku *J* równoznaczne z wyrażeniem *B*, to tyle, co: każde i tylko takie przeżycie *P*, z którego wedle dyrektyw języka *J* daje się bezpośrednio i w sposób istotny dla wyrażenia *a* wywieść dowolne zdanie z języka *J*, zawierające wyrażenie *A*, jest zarazem przeżyciem, z którego wedle dyrektyw języka *J* daje się bezpośrednio i w sposób istotny dla wyrażenia *B* wywieść zdanie, różniące się od zdania z tylko tym, że na miejscu *a* figuruje (wszędzie lub nie wszędzie) wyrażenie *B*, a nadto każde i tylko takie zdanie, które bezpośrednio i w sposób istotny dla wyrażenia *a* daje się wedle dyrektyw języka *J* wywieść z uznania zdania z zawierającego wyrażenie *A*, daje się też wywieść wedle dyrektyw języka *J* bezpośrednio i w sposób istotny dla wyrażenia *B* z uznania zdania powstającego ze zdania z przez zastąpienie (wszędzie lub nie wszędzie) wyrażenia *a* przez wyrażenie *B*. (Ajdukiewicz, 1960a, s. 134)

W odniesieniu do definicji znaczenia wywiedzionej z powyższej definicji równoznaczności autor dodaje uwagę:

W tym wszystkim, co tu powiedziano, abstrahowaliśmy od języków zawierających wyrażenia wieloznaczne, a także nie rozważaliśmy równoznaczności z dwu różnych zaczerpniętych języków. Sądzimy, że zarówno jedno jak i drugie da się pomieścić w ramach wyłożonej koncepcji znaczenia. (Ajdukiewicz, 1960a, s. 134)

Jest to istotne zastrzeżenie i należy pamiętać o użytym w nim słowie „sądzimy”, wyrażającym subiektywną postawę przekonaniową Recenzenta. Jak widać, w podanej definicji Ajdukiewicz daje wyraz intuicji: równoznaczność swą dwa wyrażenia zawdzięczają temu, że jedno i drugie wywodzi się „zarazem” z przeżycia *P*, czyli – jak można się domyślić – z „takiego samego” przeżycia. Przy tym poglądzie trwa w ciągu kilku następnych lat. Na przykład w roku 1934 w rozprawie *Sprache und Sinn* pisze:

Znaczenie, jakie ktoś łączy z pewnym wyrażeniem, zależy od rodzaju myśli, które nim wyraża. Znaczenie przysługujące wyrażeniu ustala [...] przyporządkowanie między tym wyrażeniem a myślami określonego rodzaju. [...]

[C]hcąc rozstrzygnąć, czy ktoś używa określonego zdania w tym samym znaczeniu, co my, znajdujemy dla tego zdania pewien wyróżniony rodzaj przeżyć, tym się odznaczający, że przeżycia tego rodzaju wystarczają nam do zdecydowanego uznania danego zdania. (Ajdukiewicz, 1960b, s. 150)

W latach, kiedy powstały obie te rozprawy, w obiegu było tylko użycie słowa „semantyczny” w szerszym sensie, a „semantyka” w użyciu wyspecjalizowanym przez Carnapa i Morrisa, następnie zaś przez Tarskiego, nie mówiąc o „pragmatyce”, nie uzyskała jeszcze obywatelstwa w teorii języka. Toteż pojęcie równoznaczności, którym posłużył się Ajdukiewicz w obu wspomnianych artykułach, tyle tylko zawiera pierwiastków pragmatycznych, nowatorskich w owym czasie, ile ich zawdzięcza odwołaniu się do przeżyć mówiącego, i to jeszcze osłabionemu dodatkiem o „rodzaju” przeżyć. Zgodnie z tą definicją, jeżeli dwie osoby patrzą – rodzaj: przeżycia „wzrokowe” – kolejno na kwiat maku, czerwone wino, krew tętniczą, krew żylną, cegły, tradycyjną dachówkę i czynią to bezpośrednio jedno po drugim, potocznie więc „w tym samym czasie”, a zatem w takich samych warunkach zewnętrznych oraz wewnętrznych – m.in. swego wzroku – i za każdym razem obie gotowe są uznać zdanie „to jest czerwone”, to tym samym dają poznać, że wypowiedzią tą posłużyły się w tym samym znaczeniu. Tymczasem wiadomo, że każdy z wymienionych przedmiotów emitował falę świetlną innej częstotliwości. W związku z tym powstaje pytanie, czy dwa egzemplarze słowa „czerwony” – nawet wypowiedziane przez tę samą osobę niemal jednym tchem – mogą być ściśle równoznaczne, skoro nie ma dwóch ściśle identycznych kontekstów sytuacyjnych. Pojęcie równoznaczności dwóch wyrazów wymaga więc traktowania go *cum grano salis*. Spadek ten dziedziczy pojęcie znaczenia oparte na pojęciu równoznaczności.

Ajdukiewicz wprawdzie nie pisze, iż odrzuca reizm semantyczny rozumiany zgodnie ze swą drugą jego interpretacją, jednakże z faktu, iż proponuje trzecią interpretację, zaznaczając, że ta lepiej wnika w istotę analizowanej doktryny, można wnosić, iż kwestionuje reizm semantyczny, rozumiany według owej swojej drugiej jego interpretacji. Według tej trzeciej interpretacji reizm semantyczny utrzymuje, że w każdym języku nazwy rzeczy należą do innej kategorii semantycznej niż nazwy pozorne, jakimi są miana abstraktów, oraz że zaliczanie jednych i drugich do tej samej kategorii semantycznej jest „obwarowane potężną sankcją unikania sprzeczności”. Recenzent polemizuje z tym poglądem; pisze:

[...] nie zdaje mi się, żeby równie silne względy przemawiały za zakazem łączenia w jedną kategorię semantyczną wyrazu „stół” i wyrazu „śmierć”, „ból” lub tp. Innymi słowy, nie sądzę, iżby zagrażało to jakąś antynomią, jeśliby się uważało za sensowne zdania „coś jest bólem” i „coś jest stołem”. (Ajdukiewicz, 1961, s. 613)



Zauważa przy tym:

Okoliczność, że zdania zawierające „nazwy pozorne” dają się zastąpić przez równoznaczne, a nie zawierające nazw pozornych, nie dowodzi niczego, jak tylko że (teoretycznie przynajmniej) można się obejść bez nazw pozornych. (Ajdukiewicz, 1961, s. 613)

Pisząc, iż „nie zdaje mu się”, by uznanie za sensowne zdań „coś jest stołem” i „coś jest bólem” zagrażało antynomią, Ajdukiewicz daje wyraz swemu wycuciu językowemu, niewątpliwie przeciwnemu w tej sprawie niż językowe wycucie Kotarbińskiego. Wycucie językowe Ajdukiewicza skłania go np. do zaliczenia słów „białość” i „bieleje” do tej samej kategorii semantycznej. Natomiast np. w moim subiektywnym wycuciu językowym umieszczenie tych dwóch wyrazów w tej samej kategorii semantycznej budzi mój silniejszy opór niż umieszczenie słów „stół”, „ból” i „białość” w tej samej kategorii semantycznej. Trudno się spierać z czymś subiektywnym wycuciem językowym. Można jednak oceniać wybór jednego albo drugiego pod kątem następstw każdego z nich. Otóż nawet gdyby zaliczenie wyrazów „stół” i „ból” do tej samej kategorii semantycznej nie narażało na antynomię, a przecież nie tylko zagrożenie antynomią może skłaniać do rezygnacji z umieszczenia ich w tej samej kategorii semantycznej, to do rezygnacji z niego mogłyby skłaniać inne względy.

W rozpatrywanym wypadku przemawia przeciw włączeniu ich obu do tej samej kategorii semantycznej argument o nie tak wielkim wprawdzie ciężarze gatunkowym jak zagrożenie antynomią, niemniej jednak wart uwzględnienia. Mianowicie, gdy wypowiedzeniu zdań „to jest stół” i „to jest ból” towarzyszy gest wskazujący, w tym drugim wypadku zachowanie semantyczne, choć nie wyłącznie językowe, lecz mieszane, językowo-gestowe, przyszloby wytknąć jako dziwaczne. Uprawnia to do uznania tej naszej reakcji za sygnał ostrzegający przed zaburzeniem komunikacyjnym. Ale nie to jest najważniejsze. Bardziej istotne wydaje się to, że zaliczenie nazw rzetelnych, tj. nazw rzeczy, do innej kategorii wyrazów niż onomatoidy, czyli nazwy pozorne, ma istotną zaletę filozoficzną, ściślej, semantyczną w węższym sensie: konkretnie, do których się odnoszą takie nazwy jak „stół”, „dąb”, „pies”, „człowiek”, przydziela osobne miejsce ontologiczne, inne niż odpowiednikom onomatoidów w rodzaju słowa „sprawiedliwość”. Tymczasem zalety tej nie ma tradycyjna klasyfikacja, według której w tej samej podklasie znalazły się wszystkie rzeczowniki, zapewne dlatego, że wraz z przymiotnikami, zaimkami oraz imiesłowami odmiennymi podlegają deklinacji, a więc z powodów formalnych, nieobojętnych zresztą nie tylko językoznawcy, ale i logikowi, gdy ten wykonuje pewne operacje logiczne. Przypuszczam, że dla Kazimierza Ajdukiewicza, zwłaszcza w tamtym okresie, wzgląd ten odgrywał większą rolę niż dla Tadeusza Kotarbińskiego. Co do mnie, opowiadam się za decyzją przyjętą w *Elementach*, zapewniającą pożądany ład semantyczno-ontologiczny. Poszedłbym nawet dalej i wśród nazw rzetelnych wyraźniej rozgraniczył niepuste i puste, a wśród jednych i drugich oraz nazw pozornych – indywidualne i generalne, w zależności od potrzeb aktualnie roz-

wiązywanego problemu. Jeśli naraziłoby mnie to na oskarżenie o brak konsekwencji, starałbym się ten krok usprawiedliwić swym przekonaniem, że świadome tolerowanie chwiejności i wieloznaczności poszczególnych wyrazów, wyrażań i wypowiedzi oraz zamierzone korzystanie z tej ich własności bywa niekiedy zaletą mowy, ponieważ czyni ze słowa operatywne narzędzie wielofunkcyjne, sprawia, że język staje się „giętki”, podczas gdy trwanie przy jednoznaczności każdego leksemu pociągnęłoby za sobą wielokrotne zwiększenie liczby haseł słownikowych, a zatem niepraktyczną rozbudowę słownika. Odstępstwo od reizmu, polegające na tym, by w razie potrzeby odróżniać nazwy własne, czyli indywidualne, od pospolitych, czyli generalnych, niech będzie świadectwem, że jestem zwolennikiem, a nie fundamentalistycznym wyznawcą tej doktryny.

Zaprowadzenie porządku wśród bytów, zależnie od tego, jakimi posłużyliśmy się słowami, przynosi zysk, o który warto się ubiegać we wszelkich wypowiedziach naukowych. Nie tylko przecież filozofia i nie tylko humanistyka oraz nauki społeczne doznały poważnych szkód z powodu hipostaz, którymi nasz język zakaził wywody. Wystarczy poczytać opisy eksperymentów i sprawozdania z uzyskanych wyników doświadczeń oraz wyjaśnienia zgromadzonego materiału w naukach wymagających tak wyśrubowanej wiedzy i biegłości technicznej, jak astrofizyka, biochemia czy różne gałęzie genetyki, aby się przekonać, że ze świecą trzeba tam szukać sformułowań literalnych, odzwierciedlających precyzję przeprowadzonych badań empirycznych: wszędzie, niby w języku poezji, króluje przenośnia, styl obrazowy, bez najmniejszych prób osiągnięcia dosłowności. Warto by było zachęcić lingwistów wyspecjalizowanych w badaniach z zakresu stylistyki, aby się przyjrzeni tekstom autorstwa adeptów nauk ścisłych, jakże często obfitującym w figury stylistyczne. Psychologów zaś poprosić o próby wyjaśnienia tego zjawiska. Czy badacze znużeni obmyśleniem i przeprowadzaniem eksperymentów oraz dokonywaniem precyzyjnych pomiarów i obliczeń łakną odrobiny kwiecistości opisu uzyskanych wyników, czy też okazują się bezradni, gdy przychodzi poinformować prostymi słowami, co się robiło, do czego się doszło i jakie na tej podstawie można wysnuć wnioski. Potrzeba „zdezynfekowania” języka nauk – jak zabieg taki nazywał Tadeusz Kotarbiński – zawsze dawała się odczuwać. Tymczasem w spadku po tradycyjnej gramatyce otrzymaliśmy przekonanie, że podmiot gramatyczny jest nazwą każdej „rzeczy”, o której w naszej wypowiedzi mowa, a samo słownictwo zachęca do mieszania z sobą odmiennych kategorii ontologicznych, nazywając „rzeczą”, to, o czym właśnie „rzeczemy”, czyli mówimy, bez różnicy, czy owo coś istnieje i czy jest postrzegalne, czy nie. W szczególności obecnie potrzeba zabiegów sanitarnych staje się odczuwalna, bo zwłaszcza w umysłach dzieci ulega zatarciu różnica między obiektywną egzystencją konkretów w tzw. „realu” a wirtualnym bytowaniem tworców fikcji, którymi komputer zaludnia otaczający świat, często pod zwodniczą nazwą „science fiction”, choć fikcja ta mało ma wspólnego z nauką.

Jako czwartą interpretację reizmu semantycznego Ajdukiewicz traktuje upatrywanie w nim programu streszczającego się w postulacie, by nie używać nazw

pozornych, jak tylko pod warunkiem, że zdania, w których one występują, potrafimy dzięki definicjom wyrugować przez zdania równoznaczne, lecz wolne od tych nazw pozornych. Wymagałoby to arbitralnego przyjęcia, że za nazwy o znaczeniu rzeczy wolno z sensem podstawiać tylko nazwy rzeczy. Recenzent przyznaje przy tym, iż „język taki zaleca się tym, że znika w nim [...] szereg kłopotów filozoficznych dezawuujących się na tym tle jako problemy pozorne”. W uwadze tej dostrzegam pewną przychylność dla takiego programu, choć nie gotowość przyjęcia go i realizowania. Myślę jednak, że w następnych latach ewolucja poglądów Kazimierza Ajdukiewicza zbliżała go do stanowiska *Elementów* w tej części reizmu semantycznego. Ja zaś z podanych poprzednio powodów uznaję taki program za dobroczynny i godny zalecenia, pod warunkiem że z umiarem wcielamy go w życie. Umiar taki pozostaje w pełnej zgodzie z poglądami twórcy reizmu semantycznego. Tadeusz Kotarbiński nigdy nie domagał się rezygnacji z używania onomatoidów, czyli nazw pozornych, ani usuwania sformułowań, w których te niby-nazwy występują. Doradzał tylko, aby w kluczowych fragmentach wywodu unikać takich sformułowań, a przynajmniej nie poprzestawać na nich, i zastępować je jak najwierniejszymi przekładami, wolnymi od tych imitacji nazw, lub choćby być gotowym czynić to na życzenie odbiorców. Uważał bowiem, że wysłowienie zawierające onomatoidy, które najczęściej ma charakter przenośni, nie oddaje adekwatnie naszych myśli, te bowiem faktycznie dotyczą odpowiednich rzeczy materialnych. W uznaniu onomatoidalnych sformułowań za ostateczne lub w oznajmieniu, że niemożliwe jest podanie ich wiernego przekładu na sformułowanie literalne, widział tolerowanie nonsensu. Zarazem jednak doceniał stylistyczne walory sformułowań onomatoidalnych i dostrzegał takie ich zalety, jak – często – lapidarność umożliwiającą zwięzłe przedstawienie rzeczy i obrazowość ułatwiającą nieraz zrozumienie i zapamiętanie. Najlepiej świadczy o tym własny styl pisarstwa autora *Elementów*.

Swę uwagi na temat reizmu semantycznego Kazimierz Ajdukiewicz zamyka słowami:

[...] wiele pierwiastków tkwiących w reizmie semantycznym, rozumianym jako program dotyczący używania języka, uważamy za pierwiastki zdrowe. Deklarujemy, że gotowi jesteśmy tak mówić, aby nie uważać wszelkich wyrażen rzeczownikowych za wyrazy tej samej kategorii semantycznej, że np. wyrazu „białość” i wyrazu „stół” nie zaliczamy do tej samej kategorii semantycznej, traktując raczej wyraz „białość” i wyraz „bieleje” jako wyrazy tej samej kategorii semantycznej. Nie godzimy się jednak co do miejsca, w którym Autor przeprowadza wśród zwrotów rzeczownikowych granicę między wyrażeniami różnych kategorii semantycznych. Nie godzimy się też z postulatem sprowadzania wszystkich zdań zawierających wyrażenia rzeczownikowe do zdań zawierających zwroty rzeczownikowe jednej i tej samej kategorii semantycznej. Nie twierdzimy też, aby taki podział wyrażen na kategorie semantyczne był zastany w języku polskim, ani też, żeby każdy inny podział był wadliwy. (Kotarbiński, 1961, s. 615)

Myślę, że deklaracja Ajdukiewicza „gotowi jesteście tak mówić, aby nie uważać wszelkich wyrażań rzeczownikowych za wyrazy tej samej kategorii semantycznej, że np. wyrazu «białość» i wyrazu «stób» nie zaliczamy do tej samej kategorii semantycznej” chyba zadowalała Tadeusza Kotarbińskiego, bo akceptowała to, na czym mu zależało, mianowicie – na przedsięwzięciu środków chroniących nasze wypowiedzi przed hipostazami. Sprzyjałby też innym niż jego własne wysiłkom, zmierzającym odmienną drogą do tego samego celu. Wiadomo, dlaczego reizm semantyczny przedsięwziął taką właśnie meliorację języka nauki. We własnej relacji Tadeusza Kotarbińskiego czytamy, że jego namysł nad reizmem podążył drogą złożoną z następujących etapów: codzienne posługiwanie się mową prowadzi do odróżnienia w niej wypowiedzi, które rozumiemy dosłownie, od takich, w których wyczuwa się użycie przenośni, ale nie w celach ornamentacyjnych, lecz dla uniknięcia nonsensu – w potocznym znaczeniu, a więc po to, by się wyrzec wyrażania myśli urągającej zdrowemu rozsądkowi. Następuje zastanowienie, dlaczego tak się dzieje. Odpowiedzi popartej powszechnym i powszechnym doświadczeniem dostarcza życie: wszystko, z czym mamy do czynienia – zarówno jako ludzie poznający świat, jak jako sprawcy czynów oraz autorzy utworów i producenci wytworów – są to ciała: żywe lub martwe, doznające lub nie doznające. Tego rodzaju pewność rodzi się w nas i z dnia na dzień przybiera na sile, dzięki coraz to nowym naszym danym poznawczym, dotyczącym bytów, które rzeczywiście istnieją, i odróżniania ich od bytów, o których wprawdzie mówimy, ale które faktycznie nie istnieją, lecz tylko przez nas, przez nasz język, zostały powołane na świat. Dochodzimy więc do wniosku, że nazwy jednych i drugich powinniśmy od siebie oddzielić, a ponadto oddzielić orzekanie o pierwszych od orzekania o drugich.

Niejedno zdaje się wskazywać, że i refleksje semantyczne oraz ontologiczne Kazimierza Ajdukiewicza postępowały podobną drogą, co mogło dlań być motywem sformułowania przytoczonej sojuszniczej deklaracji. Przykładów przemawiających za potwierdzeniem tego domysłu jest niemało. Jednym z nich wydaje się to, że wśród reguł znaczeniowych języka przyjął regułę empiryczną. W rozprawie *Epistemologia i semiotyka* (Ajdukiewicz, 1948) stwierdził, że zdań o rzeczywistości pozajęzykowej nie da się sprowadzić do zdań o języku, ponieważ pojęcie oznaczania i pojęcie prawdy zakładają zachodzenie stosunku między wyrażeniami języka a ich obiektywnymi korelatami. W rozważaniach zatytułowanych *W sprawie pojęcia istnienia* (Ajdukiewicz, 1965c) wskazuje, że odpowiedź na pytanie, czy coś istnieje, zawsze wymaga odniesienia do języka, w którym ją formułujemy, po czym odróżnia od siebie dwa języki powstałe z języka ontologii Leśniewskiego, mianowicie język intencjonalny od empirycznego, i zwraca uwagę na różnicę znaczeń słowa „jest”, gdy występuje ono między nazwami przedmiotów rzeczywistych oraz gdy występuje między nazwami przedmiotów intencjonalnych. W polemicznej rozprawie *W sprawie artykułu prof. A. Schaffa o moich poglądach filozoficznych* pisze: „O tym, że domy, drzewa, ludzie itd. istnieją naprawdę, a nie tylko jako moje lub czyjekolwiek mrzonki, dowiadujemy się na drodze praktyki i doświadczenia” i dodaje:

[...] terminu „istnieje intencjonalnie” nie mogę na swój język przetłumaczyć [...], [...] dlatego, że faktycznie nie posługuję się w swym języku terminem równoznacznym z terminem „istnieje intencjonalnie” i nie mam ochoty języka swego o taki termin wzbogacać [...].

Wolałem [...] tego nie robić, aby swego języka nie kalać terminem o tak złej reputacji, jak termin „istnieje intencjonalnie”. (Ajdukiewicz, 1965a, s. 190)

Wreszcie w rozprawie *Zagadnienie empiryzmu a koncepcja znaczenia* (Ajdukiewicz, 1965d) oznajmia, że odchodzi od swej koncepcji języka powstałej w latach trzydziestych i od drugiej połowy lat czterdziestych zbliża się do koncepcji języka zgodnej z poglądami empiryzmu metodologicznego. Postawa ta bliższa jest stanowisku reizmu niż dawniejszy Ajdukiewicza radykalny konwencjonalizm z okresu pisania recenzji *Elementów* i zawartej w niej krytyki doktryny Tadeusza Kotarbińskiego.

W dalszym ciągu swej recenzji Ajdukiewicz przechodzi do analizy reizmu rzeczowego. Zgodnie z metodą stosowaną w semantycznej teorii poznania, a przedstawioną w rozprawie *Problemat transcendentального idealizmu w sformułowaniu semantycznym* (Ajdukiewicz, 1960d), przedmiotem swej analizy czyni twierdzenia, które reizm rzeczowy, czyli ontologiczny, głosi. Doprowadza to Recenzenta do konstatacji, iż naczelną tezę reizmu rzeczowego stanowi zdanie, że każdy przedmiot jest rzeczą. Uznaje zdanie to za truizm, co uzasadnia w następujący sposób: „«Kaźde a jest B» znaczy bowiem «przy wszelkim  $x$ , jeżeli  $x$  jest A, to  $x$  jest B, i pewne  $x$  jest A» (Kotarbiński, 1929, s. 233)<sup>2</sup>.

Ajdukiewicz wyjaśnia, że zdanie to jest truizmem, bo:

Truizmem jest [...], że pewne  $x$  jest przedmiotem. Ponieważ zaś w języku reisty „ $x$ ” może jako wartości przyjmować tylko nazwy rzeczy [...], przeto wszelka wartość zmiennej „ $x$ ” sprawdzająca poprzednik sprawdza i następnik wypisanego powyżej okresu warunkowego, który to okres tym samym musi stale być prawdziwy. (Ajdukiewicz, 1961, s. 613)

Do tego spostrzeżenia Ajdukiewicz dodaje uwagę, że reizm rzeczowy ponadto głosi wiele tez negatywnych, np. takich jak „stosunek nie istnieje”, „cecha nie istnieje”. Tezy te Krytyk uznaje za niekonsekwencję, jeżeli zostały wygłoszone w „literalnym” języku reisty, gdyż w tym języku nie mają sensu; jeśli zaś reista głosi je w sensie przenośnym, to są fałszywe. Ten swój werdykt uzasadnia w następujący sposób:

W języku „literalnym” reisty można z sensem (bo fałszywie) powiedzieć „Ziemia nie istnieje”. Atoli nazwa „Ziemia” będąca nazwą rzeczy nie może być z sensem zastąpiona przez nie będącą taką nazwą termin „stosunek”. Gdy się więc mówi „stosunek nie istnieje”, mówi się bez sensu. Z drugiej strony w języku przenośnym zwrot „stosunek nie istnieje” znaczy może np. tyle co: „przy wszelkim R

<sup>2</sup> Na stronie 233 przedstawiono odpowiedni fragment rachunku nazw według systemu Stanisława Leśniewskiego.

nieprawda, że przy pewnym  $x$  oraz  $y$ ,  $xRy$ ”, to zaś zdanie jest notorycznym fałszem. (Ajdukiewicz, 1961, s. 613–614)

Gdy czytam to uzasadnienie, zadaję sobie pytanie: a jak potoczyłby się wywód Krytyka, gdyby ten zaczął od „w języku «literalnym» reisty można z sensem (bo prawdziwie) powiedzieć «Ziemia istnieje»”. Wówczas ostatnie z przytoczonych zdań przybrałoby postać: „z drugiej strony w języku przenośnym zwrot «stosunek istnieje» znaczy może np. tyle co: «przy pewnym  $R$  to prawda, że przy pewnym  $x$  oraz  $y$ ,  $xRy$ », to zaś zdanie jest prawdziwe”. I właśnie to twierdzi reista, przy czym dodaje, iż zdanie „stosunek istnieje” należy traktować jako skrótowe i w razie potrzeby zastąpić je rozwinięciem nie zawierającym przenośni, takim właśnie jak podane.

W dalszym ciągu swych uwag krytycznych Recenzent dochodzi do wniosku, że:

[...] to z reizmu rzeczowego, co się da utrzymać, sprowadza się (w literalnym języku reisty) do truistycznej tautologii „każdy przedmiot jest rzeczą”; unicestwienie stosunków, cech itd. nie da się w żadną tezę sensowną a prawdziwą ująć. (Ajdukiewicz, 1961, s. 614)

Tu należy z naciskiem powtórzyć: „w literalnym języku reisty”. Byłoby to zatem wezwanie, by reista tak poprawił swój język, aby można w nim było literalnie powiedzieć, że stosunki, cechy itd. nie istnieją, zachowując przy tym takie samo znaczenie słowa „istnieć” jak w zdaniu „Ziemia istnieje”. A jeśli się to nie powiedzie, reista musi się pogodzić z tym, iż wypada mu tymczasem poprzestać na takim jedynie prowizorycznym sformułowaniu swego przekonania ontologicznego, że Ziemia istnieje, a stosunki, cechy itd. nie istnieją. Prowizorycznym, gdyż taka np. genetyka molekularna, stosując kodowanie genetyczne, już od kilkudziesięciu lat potrafi przyporządkować abstrakcyjnej cesze jej odpowiednik w postaci substancji białkowej, a więc pewnego ciała, materialnego konkreту. W konsekwencji zatem mogłaby nastąpić rewizja poglądu reisty, że cechy nie istnieją w sensie materialnym. Nie jest wykluczone, iż kolejne badania empiryczne sprawią, że i niektóre inne abstrakcje zasilą szeregi rzeczy materialnych, tym samym zubażając populację tzw. „subsistentiów”.

Tytułem dygresji: mówiąc, że cechy nie istnieją w sensie materialnym, dziś przekonanie to reista wysławia ciągle jeszcze za pomocą przenośni, w języku, w którym orzeczenia „nie istnieją” nie rozumie tak, jak kiedy mówi, że nie istnieje na Ziemi szczyt wyższy od Mount Everest. Myślę, że tego rodzaju prowizorium językowe nowej teorii nie należy do rzadkości. Nieczęsto bowiem się zdarza, by język teorii będącej *in statu nascendi* rodził się jednocześnie z nią. W początkowym okresie twórca powstającej teorii jest zmuszony do korzystania z języka potocznego, obfitującego w przenośnie. Dopiero z czasem stopniowo język ten dostosowuje do potrzeb literalnego formułowania swojej teorii. Podkreślam przy tym, że takie skrótowe i zastępcze sformułowania jak „cechy nie istnieją”, nie są nieprzekładalne na wersję literalną. Stanowczo bowiem odrzucam pogląd, iż pewnych rzeczy nie można powiedzieć inaczej jak tylko

w sposób przenośny, gdyż jakoby niektóre przenośnie są nieprzekładalne na sformułowania literalne. Sądzę, że pojęcie nieprzekładalnej przenośni jest sprzeczne, tak jak wyrażenie „brat jedyńaka”. Pojęcie przenośni jest relatywne: wyrażenie, jeśli jest przenośne, to w stosunku do innego wyrażenia, którego jest przekładem – bliskoznacznym, ale nie równoznacznym. Relacje bycia przekładem danego wyrażenia, jak również bycia jego przenośnią są – każda z nich – symetryczne. Nie do pomyślenia byłaby przenośnia nie mająca pary, pojęcie wyrażenia maksymalnie bliskoznacznego z nie istniejącym partnerem od pary. Z kolei ścisła równoznaczność przenośni z jej literalnym partnerem jest – jak wspominałem – nieosiągalna. Niemożliwa także wydaje się ścisła równoznaczność dwóch różnych leksemów, zarówno w tym samym języku, jak należących do dwóch różnych języków etnicznych, niekoniecznie wyrażenia literalnego i jego przenośni. Osiągnięcie ścisłej równoznaczności wymagałoby ścisłej identyczności zarówno kontekstów słownych, jak i sytuacyjnych każdego z wystąpień egzemplarzy leksemów. Ponieważ konteksty sytuacyjne dwóch wystąpień leksemów równokształtnych nie mogą być ściśle identyczne, bo różnią się choćby momentem czasowym wystąpienia każdego z nich, zatem teoretycznie rzecz ujmując, nawet dany leksem i jego powtórzenie, choć należą do tego samego języka, nie mogą być ściśle równoznaczne.

Po dygresji na temat równoznaczności wracam do uwag Recenzenta, mianowicie do jego opinii, że z reizmu rzeczowego: „to [...], co się da utrzymać, sprowadza się (w literalnym języku reisty) do truistycznej tautologii: «każdy przedmiot jest rzeczą»” (Ajdukiewicz, 1961, s. 614).

W uwadze tej nie trudno wyczuć przyganę: słowem „truizm” nazywamy pogląd oklepany, wszystkim dobrze znany. Ale dodajmy – pogląd prawdziwy. To istotne. Niejeden dzisiejszy truizm wczoraj był prawdą ważną i odkrywczą, która właśnie dlatego stała się tak powszechnie uznawana, że obecnie jej powtarzanie nie wnosi nic nowego w stosunku do tego, co kiedyś zostało trafnie powiedziane i dlatego powszechnie przyjęte. Istnienie zabobonów i przesądów, uporczywa ich żywotność, przemawia za tym, by wyrozumiałe przyjmować truizmy wspomagające usuwanie każdego przejawu ciemnoty i z należytych szacunkiem owe truizmy traktować. Z rezerwą też podchodzę do uwagi, że „unicestwienie stosunków, cech itd. nie da się w żadną tezę sensowną a prawdziwą ująć” (Ajdukiewicz, 1961, s. 614). W *Elementach* bowiem nie ma mowy o unicestwieniu cech ani stosunków.

W ważnej rozprawie Kazimierza Ajdukiewicza pt. *W sprawie „uniwersaliów”* (1934) znajduje się fragment poświęcony reizmowi, zawierający istotne uzupełnienie uwag, które Krytyk ten zamieścił w swej recenzji *Reizm* (1930). Przeczytanie tej rozprawy należy polecić każdemu, kto po lekturze recenzji *Elementów* nabrał błędnego przekonania, że Ajdukiewicz odrzuca poglądy Kotarbińskiego, a w szczególności wytyka reście, że nie potrafi sensownie sformułować nawet takich swych głównych twierdzeń, jak to, że cechy nie istnieją i stosunki nie istnieją. Tymczasem zarówno w swej recenzji, jak i we wspomnianej rozprawie Kazimierz Ajdukiewicz, wówczas radykalny konwencjonalista,

upomina się o to tylko, aby twierdzenia ontologiczne i teoretycznopoiznawcze relatywizować do języka teorii, w której się je formułuje. W rozprawie o uniwersaliach pisze:

Reizm Kotarbińskiego daje się sformułować przy pomocy terminu „nazwa najogólniejsza” w następujący sposób: „Kaźda nazwa najogólniejsza jest równozakresowa z nazwą «rzecz»”. Dla jednoznaczności tego sformułowania potrzeba koniecznie dodatku, w jakim języku tak ma być. Jeśli się powie, że tak jest w każdym języku dopuszczalnym jako możliwa precyzacja mowy potocznej, twierdzenie to jest, jak się zdaje, fałszywe. Jeśli się zaś powie, że tak jest w odniesieniu do języka Kotarbińskiego, to zawarte w tej tezie twierdzenie, że nie ma dwóch nazw najogólniejszych, które by nie były równozakresowe, jest dla tego języka słuszne. Osobnego rozpatrzenia domaga się twierdzenie, że ta jedyna nazwa najogólniejsza jest w języku Kotarbińskiego równozakresowa z nazwą „rzecz”. Twierdzenie to jest równoważne temu, iż w języku Kotarbińskiego ma walor zdanie „Kaźda i tylko rzecz jest przedmiotem” [...]. Otóż niewątpliwie ma walor w języku Kotarbińskiego zdanie „kaźda rzecz jest przedmiotem”. Czy jednak walor posiada również zdanie „kaźdy przedmiot jest rzeczą”? W języku Kotarbińskiego obowiązują reguły ontologii Leśniewskiego przetransponowane na mowę potoczną, a nadto reguły mowy potocznej. Otóż zarówno jedne, jak i drugie wydają się nam niewystarczające dla zdecydowanego rozstrzygnięcia pytania: „Czy kaźdy przedmiot jest rzeczą?”. Jedyną drogą prowadzącą do rozstrzygnięcia tego pytania wydaje się nam [...] jeszcze dalej posunięte wzbogacenie reguł mowy potocznej [...]. Zatem rozstrzygnięcie pytania: „Czy kaźdy przedmiot jest rzeczą?” jest znowu sprawą takiego czy innego sprecyzowania znaczeń wyrazów mowy potocznej. Dopóki taka precyzacja nie zostanie dokonana, teza reistyczna „kaźdy przedmiot jest rzeczą” jest również złą metafizyką, jak twierdzenie „istotą świata jest wola” lub tp., gdyż jest twierdzeniem, którego ani uzasadnić nie można, ani obalić. Nie może ono przed sprecyzowaniem języka, w którym się je głosi, rościć sobie nawet pretensji do tego, by je uznawać (jak chce Kotarbiński) za „credo hipotetyczne”. Albowiem do tej roli rościć sobie pretensje mogą tylko takie zdania, których konsekwencje są zasadniczo rozstrzygalne, tzn. takie, które przez dostatecznie obfite, wytrwałe i konsekwentne stosowanie reguł języka i przy dostatecznym materiale doświadczalnym dają się rozstrzygnąć. [...] w rezultacie sądzę, że aby mieć prawo do wygłoszenia tezy reistycznej, musiałby Kotarbiński w taki sposób sprecyzować znaczenia wyrazów mowy potocznej, aby przez to reguły tej mowy konwencjonalnie wzbogaciły się o takie, dzięki którym teza ta stałaby się bądź aksjomatem, bądź konsekwencją aksjomatów, lub przynajmniej zdaniem empirycznie rozstrzygalnym. Reizm może być więc najwyżej sprawą konwencji [...]. (Ajdukiewicz, 1960c, s. 207–208)

W roku 1953, a więc po dziewiętnastu latach, Kazimierz Ajdukiewicz przypomina swoje uwagi na temat reizmu zawarte w rozprawie *W sprawie „uniwersaliów”*. Oto odpowiadając na krytykę swoich poglądów napisaną przez Adama Schaffa, zamieszcza polemikę pt. *W sprawie artykułu prof. A. Schaffa o moich poglądach filozoficznych*. Pisze tam m.in.:



[...] odrzuciłem, jako papierową i fikcyjną, koncepcję języków zamkniętych i spójnych, jak również koncepcję języków nieprzekładalnych. [...] Wraz z odrzuceniem koncepcji języka zamkniętego odpada też związana z nią definicja znaczenia, którą uważałem za jeden z głównych wyników moich prac z teorii języka. Do zrezygnowania z tej definicji skłoniło mnie jednak nie tylko odrzucenie koncepcji języka zamkniętego, niezbędnej do jej skonstruowania, lecz również i to, że definicja ta dopuszczała, iż dwa wyrażenia mogą mieć to samo znaczenie, a mimo to różnić się swym zakresem. Równoznaczność zaś musi być tak zdefiniowana, aby równość znaczeń pociągała równość zakresów (choć nie na odwrót), jeżeli odnośna definicja znaczenia ma być merytorycznie adekwatna. Zmieniłem też mój pogląd na dyrektywy empiryczne [...]. Wycofałem się więc ze stanowiska radykalnego konwencjonalizmu [...]. Wycofanie to nie następuje dopiero teraz. Dokonało się jeszcze w roku 1936 i zostało zakomunikowane publicznie w dyskusji na III Polskim Kongresie Filozoficznym w Krakowie [...]. (Ajdukiewicz, 1965a, s. 175–176)

Przyпускаjąc, że gdyby Ajdukiewicz w latach pięćdziesiątych napisał recenzję *Elementów* Kotarbińskiego, nie zawierałaby niektórych zarzutów sformułowanych dwadzieścia kilka lat wcześniej.

Tadeusz Kotarbiński na recenzję Ajdukiewicza zareagował w trojaki sposób. Oto w drugim wydaniu *Elementów* (1961) nie tylko skrupulatnie zebrał i w jednym miejscu, w swej *Przedmowie*, przypomniał wszystkie zarzuty i uwagi krytyczne uczynione przez Recenzenta, ale – jak wspomniałem – całą recenzję opublikował za jego zgodą w aneksie do drugiego wydania *Elementów*. Postąpił tutaj tak, jak dowódca atakowanych wojsk, który by armię przeciwnika, rozpuszczoną już do domu, sam na powrót zmobilizował, przeprowadził jej koncentrację i uszykował przeciw sobie do boju. Po drugie, w tymże aneksie zamieścił kilka swych własnych artykułów, w których ustosunkował się do pewnych zarzutów Ajdukiewicza i zaproponował możliwości ich odparcia. Po trzecie, tekst *Elementów* „przejrzał”, o czym informuje podtytuł, i ogłosił z niewielkimi zmianami, które wylicza we wspomnianej *Przedmowie do drugiego wydania*, datowanej na 23 listopada 1959 r. *Przedmowa* ta przynosi też wyjaśnienia owej trojakię decyzji.

Kotarbiński, przypominając uwagi krytyczne postawione swemu dziełu, pisze:

Krytyka nie szczędziła *Elementów* i słusznie. Uderzyła zwłaszcza w nieopatrzne wypowiedzi typu „Żaden przedmiot nie jest cechą” lub „Żaden przedmiot nie jest stosunkiem” itp. Przecie to nonsensy, jeżeli „cecha” i „stosunek” uznać za nazwy pozorne, a więc nie nadające się do roli orzeczników po spójce „jest” użytej w sensie zasadniczym. Snując wnioski z tego i z innych spostrzeżeń, krytyka podała w wątpliwość samą istotę głoszonego w książce „reizmu”, zarówno w postaci ontologicznej („Každy przedmiot jest rzeczą”), jak w postaci semantycznej, jako postulatu rugowania wszystkich „nazw pozornych”. Postawiła veto przeciwko definiowaniu „znaczenia” przez „wyrażanie pośrednie”, skoro wyrażanie pośrednie musi być odniesione do jakiegoś języka, a więc do jakiegoś systemu wyróżnionego wedle znaczeń słów składowych. Skrzywiła się na wytłumaczenie powiedzenia „*N* jest nazwą przedmiotu *P*”, głoszące, że to tyle, co „*N* nadaje się na orzecznik

zdania prawdziwego o przedmiocie *P*<sup>3</sup>: przyimek „o” nie zadowalał krytyki w roli ostatecznego eksplikatora. Zakwestionowała poprawność interpretacji doktryn Arystotelesa na temat rodzajów nazw i na temat uniwersaliów i wytknęła splotyce nie jego teorii definicji skutkiem poniechania koncepcji definicji jako charakterystyki istoty rzeczy i poprzestania na problematyce definicji werbalnych itd., itd. Słowem, postawiono książce w mowie lub w druku wiele poważnych zarzutów, a ileż było nadto uwag krytycznych pod adresem szczegółów i drobiazgow!

Z kolei *Przedmowa* informuje, jak autor książki zareagował na krytykę.

Cóż tedy uczynił autor, sam również zauważywszy niejedną przywarę swego utworu, przez innych nie zauważoną? [...] Przeczytał tom od deski do deski, [...] usunął kilka drobnych fragmentów notorycznie nieudanych [...]. Nie przerobił natomiast całej książki stosownie do wszystkich wymagań racjonalnej krytyki ani nie zmodernizował jej przez zużytkowanie tego, co było nowe a cenne w piśmiennictwie ostatnich lat trzydziestu. Równałoby się to bowiem napisaniu nowego dzieła, czego nie mógł zmieścić obecnie w swych planach. Zaproponował natomiast przedruk dawnego tekstu ze zmianami wskazanymi powyżej oraz dodanie doń kilku późniejszych utworów własnego pióra, w których mowa o zagadnieniach rozważonych w *Elementach*. Remont gruntowny starego domu zastąpić dodaniem przybudówek: taka była idea. Podobny obraz nie oddaje wszelako pewnej myśli istotnej. Książka całkowicie zmienia charakter i przeznaczenie. Przestaje być podręcznikiem. Staje się pozycją lekturową dla miłośników rozczytywania się w perypetiach walki namysłu z problemami, w dokumentach borykania się domysłów z atakami dyskutantów, w zawiłościach kształtowania się pomysłu (mam na myśli ów „reizm”) od fazy początkowego ryzykanctwa do fazy usiłowanej stateczności z zachowaniem rdzenia tendencji istotnej. [...] Niechaj czytelnik zestaw i tekst tej książki, i teksty artykułów późniejszych z tym, czego się domagał recenzent, i niechaj sobie wyrobi zdanie własne o wszystkich sprawach tu i tam poruszonych<sup>3</sup>. (Kotarbiński, 1961, s. 5–6)

Wzmianka o dodaniu kilku późniejszych utworów własnego pióra dotyczy zwłaszcza trzech artykułów Kotarbińskiego umieszczonych przezeń w aneksie: *O postawie reistycznej, czyli konkretystycznej* (Kotarbiński, 1949), *Fazy rozwojowe konkretyzmu* (Kotarbiński, 1958), *Humanistyka bez hipostaz* (Kotarbiński, 1952b). Również pewne fragmenty artykułów *Z zagadnień klasyfikacji nazw* (Kotarbiński, 1954), *Przegląd problematyki logiczno-semantycznej* (Kotarbiński, 1947) i *Pojęcie „istoty rzeczy”* (Kotarbiński, 1956) rzucają światło na te sprawy, które Autor pragnął podnieść w dyskusji z uwagami Ajdukiewicza.

Wyliczenie i przypomnienie w drugim wydaniu *Elementów* ogółu zarzutów postawionych im przez krytykę, a głównie przez Kazimierza Ajdukiewicza, odebrałem z szacunkiem i uznaniem dla Tadeusza Kotarbińskiego za to, że rycerskim obyczajem staje na placu z otwartą przyłbicą. Dla kogoś, kto poznał Profesora, mając lat siedemnaście, i znajdował się w pobliżu aż do jego śmierci, krok ten nie jest zaskoczeniem. Tym bardziej, że również pozostaje w zgodzie

<sup>3</sup> Podkreślenia moje – J.P.

z programową skromnością, którą zawsze objawiał. Wyrażał ją nawet w swych niskich ukłonach – jak określali mniej Mu życzliwi – japońskich, także będąc już rektorem, doktorem honoris causa kilku uniwersytetów, prezesem Institut International de Philosophie i Prezesem PAN: zarówno wobec dygnitarzy, jak osób cztery razy młodszych od siebie. Przy tym wynika z zasady, której hołdował: *nemo iudex in causa sua*, nikt nie powinien być sędzią we własnej sprawie. Z teźże zasady wypływa decyzja, by w aneksie do drugiego wydania *Elementów* opublikować *in extenso* recenzję *Reizm*, napisaną przez Ajdukiewicza bezpośrednio po ukazaniu się ich pierwszego wydania w roku 1929.

Zarazem tekst *Elementów* dzięki autorskiemu *nihil obstat, imprimatur* ukazuje się bez istotnych zmian, wzbogacony w aneksie liczącym sto pięćdziesiąt stron dwunastoma nowszymi rozprawami z lat 1947–1957 i przedrukiem jednej przedwojennej z roku 1937. Domyślam się dwóch powodów tego rozwiązania. Po pierwsze, Tadeusz Kotarbiński był w tamtych latach bardzo obciążony sprawowaniem funkcji Prezesa PAN, obrosłej w dodatku protokolarnymi uciążliwymi obowiązkami bywania, przemawiania, przycinania wstęp, ale i zaproszeniami na premiery, koncerty i wystawy, z czego wraz z żoną chętnie i często korzystali. Nie miałby więc czasu na „remont gruntowny starego domu”. Ale po drugie, co bardziej istotne, był – jak myślę – przekonany o słuszności swych głównych idei, powtórzył je więc, tu i owdzie wzmocnił, podbudował oraz uzupełnił, a następnie zgodnie z zasadą *audiatur et altera pars* ponownie skonfrontował z zarzutami krytyki.

Decyzję Tadeusza Kotarbińskiego, aby „zachować rdzeń tendencji istotnej”, tj. główne myśli reizmu, zarówno w zakresie ontologii, jak i semantyki, powitałem z satysfakcją i przyjąłem ze zrozumieniem jako *ceterum censeo* filozofa przekonanego o swej słuszności. Kapitulacja i rezygnacja Autora *Elementów* z trwania przy reizmie sprawiłyby mi zawód. Natomiast utrzymanie swych pozycji tym większą chwałą okrywa ich obrońcę, że silna osobowość Ajdukiewicza czyniła ludzi podatnymi na jego sądy. Kotarbiński tę siłę odczuwał. Na przykład, kiedy pokazywał fotografię Ajdukiewicza w szatach rektorskich, zdjęcie – jak go zawsze nazywał – „swego starego druha” opatrywał komentarzem „Kazimierz Wspaniały”. Istotnie, spoglądał z portretu nie żaden *ultimus inter pares*, który w rewanżu za to, że postępuje zgodnie z zasadą *leben und leben lassen*, otrzymał berło rektorskie od kolegów, pewnych, że nikomu kłopotu nie sprawi, lecz prawdziwy Rector Magnificus, posępny majestat, nakazujący posłuch. Było to zgodne z żartobliwą hierarchią, którą ustanowił Ajdukiewicz: według niej on sam był cesarzem, a poddanymi – synowie szlachecka i synowie stróża, rozróżnieni przezeń wedle kryteriów moralnych oraz intelektualnych, ze względu na postawę życiową i sposób postępowania, a nie ze względu na herby, pochodzenie społeczne i wykonywany zawód. Oprócz tego „Cesarz”, oficer frontowy czasu i wojny światowej – choć nigdy o tym nie mówił – chyba innym okiem patrzył na cywilów, co prochu nie wączali, niż na tych, których uznawał za towarzyszy broni, wszystko jedno z której armii i z której wojny. Myśmy mogli tę różnicę uchwycić, gdy „Cesarz” wspominał, że Kotarbiński w czasach studenckich pluł,

kiedy przy nim opowiadano koszarowe rubaszne dowcipy. Ale warto też pamiętać, że ów cywil Kotarbiński był ochotnikiem, który zgłosił się do szeregów obrońców ojczyzny, odrzuciła go jednak komisja lekarska. On zaś, i przedtem, i potem, wielokrotnie okazywał męstwo, tyle że była to odwaga cywilna, jak wiadomo, mniej przez ludzi ceniona od tej na polu, które obłaskawiamy eufemizmem „pole chwały”. I chociaż pacyfista, z respektem niejednokrotnie opowiadał nam o czynach bojowych, których dokonał jego „stary druh” jako dowódca pociągu pancernego w czasie i wojny światowej i oficer odznaczony za odwagę. Ajdukiewicz zaś nieco oficerskich nawyków zachował do swych późnych lat. Na przykład, gdy w roku 1954 przeniósł się z Poznania do Warszawy, poprosił Tadeusza Kotarbińskiego, aby mu ze swego Zakładu Logiki UW „wypożyczył” któregoś z młodszych pracowników. Kotarbiński, pragnąc Ajdukiewiczowi pomóc najlepiej, jak umiał, delegował jednego z kolegów, oczywiście za zgodą delegowanego, doktora filozofii wykształconego zagranicą i znającego kilka języków. Ale Ajdukiewicz po pierwszym spotkaniu ze swym *in spe* pomocnikiem „zwrócił” podarunek i na własną rękę wyszukał sobie w naszym Zakładzie Logiki UW kogoś innego: potrzebował szeregowca-ordynansa, a nie adiutanta-oficera. Oficerom zaś, także tym „na przepustce”, wydawał rozkazy: „jutro po śniadaniu idziemy na Gęsią Szyję” (byliśmy tamtego lata wszyscy „skoszarowani” w Zakopanem); to wtedy – jak wspomina Klemens Szaniawski – Ajdukiewicz, zdobywszy szczyt, oddał się marzeniom o pełnym szczęściu: „chyba jeszcze tylko bomba zimnego piwa...”. A gdy państwo Ajdukiewiczowie spędzali wakacje w Kowańcu pod Nowym Targiem, rozkaz – chyba telegraficzny – wezwał nas z Zakopanego, a Mariana Przełęckiego bodajże z Zubrzycy pod Babią Górą, do stawiennictwa pociągiem o tej i tej godzinie, bez żon; zadanie: pasmo Gorców, zabrać prowiant na cały dzień. Władczej sile Ajdukiewicza, miłościwie rektorującemu wówczas w Poznaniu, podporządkowała się posłusznie nawet Straż Pożarna w Lesznie, w połowie dystansu z Poznania do Wrocławia, której rozkazał, aby grupę logików przybyłych o 4.30 rano pociągiem z Warszawy przewiozła z Leszna do Osiecznej swoim wozem gańniczym, a gdy się spóźniała, Magnificencja, nie na żarty rozżłoszczony, wołał na cały uśpiony jeszcze peron do doktora Zbigniewa Czerwińskiego, późniejszego profesora ekonomii: „Zbysiu, dzwoni do nich, gdzie jest, do cholery ciężkiej, ta fajerwera!”.

Zmianę charakteru *Elementów* z podręcznika na dzieło naukowe, zadeklarowaną przez ich Autora w jego *Przedmowie do drugiego wydania*, uważam za ich awans, bo z kategorii książek użytkowych zostały przeniesione do kategorii dzieł mających skupiać na sobie uwagę dojrzałych myślicieli i stanowić dla nich bodziec do kontynuowania dociekań. Zarazem jednak należy liczyć się z tym, że ilościowe oddziaływanie tej książki będzie nadal spadać, zwłaszcza że młodzi czytelnicy – nie od dzisiaj i nie bez winy niektórych swych profesorów w średnim wieku – sięgają niemal wyłącznie po tytuły w języku angielskim i naiwnie myśląc dyscypliny przyrodnicze i techniczne z filozofią, w pogoni za aktualnością kierują się datą „najnowszych amerykańskich odkryć i wynalazków”. Tymczasem w filozofii łatwiej o zmieniające się mody niż

o wynalazki i odkrycia. Nie wstydzę się tego, że na moim biurku często goszczą „starocie”, w dodatku po polsku, bo ciągle się uczę z pism moich nauczycieli, klasyków złotego okresu naszej filozofii.

Choć może zakrawa to na herezję ze strony byłego przez długi czas pracownika Zakładu Logiki, katedry kierowanej przez Tadeusza Kotarbińskiego na Uniwersytecie Warszawskim, a równocześnie Zakładu Logiki Kazimierza Ajdukiewicza w Polskiej Akademii Nauk, mimo że zarzuty Ajdukiewicza zawarte m.in. w jego recenzji *Elementów* uważam za słuszne, jednakże – narażając się na uzasadnioną naganę za niekonsekwencję – swoje na ich skutek odejście od reizmu potraktowałbym tak, jak odrzucenie mądrych i trafnych myśli dlatego, że zostały zapisane w języku niewolnym od usterek gramatycznych i ortograficznych, albo jak odrzucenie udanego projektu budżetu, bo księgowość dopuściła się omyłki w dodawaniu.

Zdaję sobie sprawę, że w porównaniu tym odważyłem się na jaskrawą przesadę, zdaniem niejednego – niewybaczalną. Zarazem jednak biorę pod uwagę charakter publikacji: recenzja, oraz czego to była recenzja: podręcznika. Od recenzji wymagamy bowiem, aby wytknęła wszelkie niedociągnięcia w analizowanym dziele, także w tych jego fragmentach, z którymi recenzent się zgadza. W ten sposób przyczynia się on do udoskonalenia utworu. A gdy przedmiotem recenzji jest podręcznik, odpowiedzialność recenzenta jeszcze się powiększa, gdyż spada nań społeczny obowiązek współnauczyciela. Ktoś taki jak Kazimierz Ajdukiewicz podszedł do swego zadania w sposób zgodny z określeniem, którym go obdarzył Tadeusz Kotarbiński, nadając mu miano „profundysty”, tj. człowieka, który draży w głąb i wnikliwym spojrzeniem penetruje do dna. Biorę też pod uwagę i tę okoliczność, że była to recenzja o pracy bliskiego kolegi jeszcze z czasów ich wspólnych lat akademickich, może i niewolnych od współzawodniczenia z sobą, a w dodatku pisana w wieku, kiedy w krytyce i polemice okazujemy mniej wyrozumiałości od tej, której przybędzie nam z latami. Wspominałem już, że Kazimierz Ajdukiewicz – w czasie, gdy pisał swą recenzję: radykalny konwencjonalista – miał poglądy filozoficzne w wielu kwestiach bardziej odległe od zapatrywań Kotarbińskiego aniżeli później, gdy stał się empirystą metodologicznym. Ale i w tamtym okresie swego radykalnego konwencjonalizmu napisał:

Reista sądzi [...], jak przypuszczamy, że gdyby ktoś zyskał bezpośredni kontakt ze światem [...], to nie znalazłby w nim nic prócz rzeczy. Gdyby reicie naprawdę coś takiego w myśli majączyło, to nie moglibyśmy się z nim solidaryzować, nie dlatego, żebyśmy sądzili, iż w bezpośrednim kontakcie ze światem znalazłoby się coś więcej prócz rzeczy, lecz dlatego, że sama koncepcja takiego kontaktu, takiego poznania, które dokonywałoby się w oderwaniu od wszelkiego języka, którym się operuje, od wszelkich form myślenia, jest mrzonką<sup>4</sup>. (Ajdukiewicz, 1961, s. 614)

---

<sup>4</sup> Podkreślenia moje – J.P.

Pogląd wiążący poznanie z językiem, czy szerzej: z tym czy innym systemem semiozyicznym, jest mi bliski. Podzielam go z zastrzeżeniem, że obejmie nie tylko ludzi, ale i – *mutatis mutandis* – inne gatunki zoologiczne. Myślę, że użycie przez Kazimierza Ajdukiewicza dwukrotnie słowa „wszelki”, mianowicie „wszelkiego języka” i „wszelkich form myślenia”, dopuszcza różne systemy semiozyiczne, jak również myślenie odmienne od ludzkiego.

## 2.2. Janina Kotarbińska

Tadeusz Kotarbiński w *Przedmowie* do pierwszego wydania *Elementów* napisał:

Trudno mi znaleźć dość ważkie słowa podzięki za nieocenioną pomoc, którą mi okazała przy pisaniu tej książki Dr Dina Szejnberg, obecnie starsza asystentka Seminarium Filozoficznego Wydziału Humanistycznego w Uniwersytecie Warszawskim [...]. Pracowaliśmy nad [tym podręcznikiem] razem. Nie ustalałem najdrobniejszych nawet części tekstu bez wysłuchania Jej opinii, a w niezliczonej ilości przypadków wprowadzałem ulepszenia dydaktyczne lub teoretyczne, idąc za Jej kompetentną radą... Mogę i muszę powiedzieć, że książka, którą Czytelnik ma przed sobą, nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu moją pracą: jest raczej naszym wspólnym dziełem. (Kotarbiński, 1929, s. VII–VIII)

Dina Szejnberg, a w czasach wojny Janina Kamińska, po zawarciu zaś małżeństwa z Tadeuszem Kotarbińskim, Janina Kotarbińska, jest autorką wybitnej rozprawy *Kłopoty z istnieniem (rozważania z zakresu semantyki)* (1971a). Zarówno okoliczności poprzedzające *Kłopoty z istnieniem*, a więc udział Janiny Kotarbińskiej w pracach nad pierwszym wydaniem *Elementów*, jak współczesne powstawaniu Jej artykułu – emocjonalna więź rodzinna z ich Autorem – rzucają światło na obiektywizm analizy reizmu i niezależność propozycji dotyczących modyfikacji tej doktryny. Janina Kotarbińska trzeźwo ją osądza. Czyni to z właściwą sobie wnikliwością, sumiennością i budzącą respekt bezstronnością krytyczną. Jako świadectwo tych właściwości krytycyzmu Autorki, bardzo daleko posuniętego, może posłużyć Jej następująca uwaga:

Na gruncie reizmu założenie [...], w myśl którego [...] wypowiedzi z nazwami pozornymi [...] nie są niczym innym jak tylko skrótami zastępczymi dla zdań sformułowanych [...] w języku literalnym, [...] jest hipotetyczne, niepewne, uzasadnione tylko częściowo [...]. Zasięg obserwacji, na których jest ono oparte, nie wykracza poza przypadki najprostsze, jako że wszelkie próby znalezienia adekwatnego przekładu na język reistyczny zdań bardziej skomplikowanych – mamy tu na myśli zdania o cechach cech, o stosunkach między cechami itd. [...] – kończyły się, jak dotąd, niepowodzeniem [...]. W tych warunkach wykonalność tego zadania w odniesieniu do owych zdań bardziej skomplikowanych jest w wysokiej mierze problematyczna, tym samym zaś i w tej samej mierze problematyczna jest również sensowność tych zdań, skoro uzależniło się ją definicyjnie, jako od warunku zarazem koniecznego i wystarczającego, od ich przekładalności na język literalny.

Otóż w tym właśnie punkcie dotarliśmy do głównego źródła trudności, z którymi boryka się reista [...]. Do zdań wspomnianego rodzaju należą m.in. twierdzenia matematyki, jak zresztą wszystkich [...] nauk posługujących się aparatem pojęciowym matematyki [...]. Konflikt z naukami ścisłymi zarysowuje się zatem dostatecznie wyraźnie. (Kotarbińska, 1971a, s. 258–259)

Po tych uwagach Autorka przystępuje do działań w ramach „kooperacji pozytywnej” – według terminologii Tadeusza Kotarbińskiego z jego prakseologicznego *Traktatu o dobrej robocie* (2019) – i proponuje zabiegi opiekuńczo-sojusznicze, wyrosłe z troski o wspólne dobro. Kieruje się przy tym wytyczną, aby uniknąć wymienionych trudności, a zarazem nie rezygnować z dążeń najbardziej dla reizmu istotnych. W tym celu, tak jak *Elementy*, wśród zdań typu „A jest B” rozróżnia dwa rodzaje zależnie od tego, czy łącznik „jest” został użyty w znaczeniu podstawowym, czy w znaczeniu zasadniczym. Ponieważ przymiotniki „podstawowy” i „zasadniczy”, użyte przez Autorkę, są bliskoznaczące, więc nie sygnalizują dostatecznie wyraźnie różnicy między tymi dwoma rodzajami znaczenia, a przy tym w *Elementach* występują na przemian jako miana tego samego specyficznego reistycznego ich sensu, pozwolę sobie zastąpić je innymi terminami: „«jest» w znaczeniu reistycznym”, w skrócie „jest<sub>R</sub>”, oraz zwykłe „jest”, w znaczeniu obiegowym i powszechnym, przyjętym w ogólnym języku polskim, a zapisywane jako „jest” bez żadnych dodatkowych wyróżnień.

Jak wiadomo, w *Elementach* „jest<sub>R</sub>” występuje w jednostkowym zdaniu empirycznym „A jest<sub>R</sub> B”, np. „Demostenes jest<sub>R</sub> mówcą”, „Atlantyk jest<sub>R</sub> głęboki”, z czego – zgodnie z przyjętym przez reizm systemem ontologii Stanisława Leśniewskiego – wynika, że istnieje desygnat podmiotu A. W zdaniach takich na miejscach podmiotu a i orzecznika B występują nazwy. Janina Kotarbińska proponuje za nazwy uznać terminy ostensywne, czyli deiktyczne, lub definiowalne za pomocą takich terminów. Zgodnie z tezą reizmu semantycznego przyjmuje też jako warunek sensowności omawianego zdania rozumianego literalnie, aby spójka, czyli łącznik, występowała w nim w znaczeniu reistycznym, a zatem jako „jest<sub>R</sub>”. Za *Elementami* Autorka rozróżnia nazwy i tzw. onomatoidy, czyli nazwy pozorne, jak np. onomatoidy rzeczownikowe „postęp”, „braterstwo” i onomatoidy przymiotnikowe, będące przydawkami onomatoidów rzeczownikowych, jak „stały” o postępie. Jako warunek sensowności zdania zbudowanego z podmiotu, łącznika oraz orzecznika i z nazwą pozorną w podmiocie lub orzeczniku *Elementy* uznają przenośne rozumienie tego zdania, a zatem rozumienie go jako „A jest B”, nie zaś jako „A jest<sub>R</sub> B”; to drugie byłoby nonsensem. Uzasadnienie tego spostrzeżenia nazwał Tadeusz Kotarbiński „naiwno-intuicyjnym i pospolicie indukcyjnym”, a Janina Kotarbińska posuwa się o krok dalej i – jak wspomniałem – uważa je za założenie „z natury rzeczy [...] hipotetyczne, niepewne, uzasadnione tylko częściowo” (Kotarbińska, 1971a, s. 258).

Nie zgadzam się z deprecjacją spostrzeżeń intuicyjnych, jeżeli źródłem naszych intuicji jest indukcyjne uogólnienie wielkiej liczby jednostkowych konstatacji empirycznych. „Pospolitość” doświadczeń przemawia moim zdaniem za

powstałymi w nas intuicjami oraz za wnioskiem podpowiedzianym nam przez tak ukształtowane intuicje i uzyskany na podstawie owych doświadczeń.

Autorka jako cel stawia sobie zrealizowanie głównego ontologicznego postulatu reizmu jako doktryny konkretystycznej i pansomatystycznej. Aby wykonać to zadanie, podejmuje liberalizację reizmu semantycznego.

Metoda zasadnicza: rozszerzyć pojęcie nazwy tak, by obejmowało ono swoim zakresem zarówno te wyrażenia, które reista uznaje za nazwy właściwe, czyli „nazwy rzeczy”, jak i te, które zalicza do nazw pozornych; uzależnić jako od warunku koniecznego zasadnicze [zwykle, powszechne] rozumienie terminów „jest” i „istnieje” od ich występowania przy nazwach, rozumienie podstawowe [reistyczne] natomiast – od występowania przy nazwach rzeczy; uniezależnić sensowność wypowiedzi o abstraktach od ich przekładalności na język reistyczny<sup>5</sup>. (Kotarbińska, 1971a, s. 263)

Z kolei Janina Kotarbińska wyjaśnia, że można to uczynić w dwojaki sposób:

Albo:

[1] Traktuje się nazwy jako wyrażenia należące do różnych kategorii syntaktycznych, uważa się bowiem, że każda nazwa nadaje się do roli podmiotu, *respective* do roli orzecznika, w takim tylko zdaniu o strukturze „A jest B”, które spełnia nadto pewne dodatkowe warunki, dla różnych rodzajów nazw różne. Rozmaitość tych warunków wyznacza właśnie rozmaitość kategorii nazwowych. (Kotarbińska, 1971a, s. 263)

Albo też:

[2] Przypisuje się wszystkim nazwom te same funkcje składniowe – nadawanie się zarówno do roli podmiotu, jak i do roli orzecznika w dowolnym zdaniu typu „A jest B” – i związku z tym zalicza się je do tej samej kategorii syntaktycznej<sup>6</sup>. (Kotarbińska, 1971a, s. 263)

Autorka nie informuje, za którym z tych dwóch sposobów się opowiada.

Przykładem zastosowania metody [1] jest wielokategorialna koncepcja nazwy przyjęta przez Kazimierza Ajdukiewicza w rozprawie *W sprawie „uniwersaliów”*.

W myśl przyjętych [tam] założeń można wyróżnić pośród nazw w sposób różnicujący nieograniczenie wiele kategorii składniowych, układających się w pewną hierarchię: do kategorii najniższej, czyli kategorii rzędu zerowego, należą nazwy nadające się wyłącznie do roli podmiotów w zdaniach o strukturze „A jest B” (nazwy indywidualne), nazwami pierwszego rzędu są nazwy nadające się do roli

<sup>5</sup> W nawiasach dodałem swoje uzupełnienia – J.P.

<sup>6</sup> Tamże.



orzeczników w zdaniach typu „A jest B”, w których podmiotami są nazwy indywiduowe [...] itd., wedle zasady: nazwami  $k$ -go rzędu [...] są nazwy nadające się do roli orzeczników w zdaniach kształtu „A jest B”, w których podmiotami są nazwy  $k-1$  rzędu. Wielokategorialność nazw pociąga za sobą [...] wielokategorialność, a tym samym i systematyczną wieloznaczność wszystkich funktorów od argumentów nazwowych.

Język o takiej składni [...] uważa Ajdukiewicz, i chyba słusznie, za jedną z dopuszczalnych interpretacji mowy potocznej. Jest to, jak widać, język wielopiętrowy, składający się z szeregu języków cząstkowych [...]. Wielopiętrowy jest również system rachunku nazw, na którym się taki język opiera [...]. Zdania typu „A jest B”, „istnieje A”, „A jest przedmiotem” itd. występują [...] na wszystkich piętrach [takiego] języka, na wszystkich piętrach mają te same strukturalne warunki prawdziwości, ale różne znaczenia. Przypuśćmy teraz, że język najniższego piętra spełnia te warunki, które nałożone są na gruncie reizmu na język rzeczy, podczas gdy pozostałe języki cząstkowe mówią nie o rzeczach, lecz o abstraktach. Spójka „jest” [...] występuje [...] w znaczeniu podstawowym [reistycznym] wyłącznie w języku rzeczy, czyli na piętrze najniższym.

Przy tych założeniach ani sensowność, ani prawdziwość wypowiedzi o strukturze zdań elementarnych z terminami abstrakcyjnymi w charakterze podmiotów nie zależy od przekładalności tych wypowiedzi na język rzeczy [...]. Uznawanie [zaś] zdań o abstraktach nie kłóci się [...] z naczelnymi dyrektywami reistycznymi, ponieważ żadne z takich zdań nie zakłada istnienia abstraktów przy podstawowym rozumieniu terminu „istnieje”<sup>7</sup>. (Kotarbińska, 1971a, s. 264–265)

Z kolei przykładem zastosowania metody [2], w której występuje jednokategorialna koncepcja nazwy, jest semantyka w *Elementach*: reistyczna, konkretyzyczna zarazem i pansomatystyczna.

Mamy tu do czynienia z językiem jednopiętrowym, w którym terminy „jest” i „istnieje” (podobnie zresztą jak wszystkie pozostałe funktory od argumentów nazwowych), użyte w roli zasadniczej [zwykłej, powszechnej] występują w tym samym znaczeniu niezależnie od tego, czy argumentami ich są nazwy konkretów, czy też nazwy abstraktów. W języku tym można więc stwierdzić prawdziwie przy zasadniczym rozumieniu słowa „istnieje”, zarówno to, że istnieją takie a takie indywidua, jak i to, że istnieje klasa tych indywiduów, klasa klas tych indywiduów, itd. [...]. Przy rozumieniu podstawowym [reistycznym] natomiast [...] tylko o rzeczach można orzekać prawdziwie, że istnieją. (Kotarbińska, 1971a, s. 265)

A zatem

[...] reista może uznawać istnienie przedmiotów abstrakcyjnych najrozmaitszych rodzajów, nie narażając się na niezgodność z własną doktryną, bez względu na to, czy odnośne zdania egzystencjalne dają się zinterpretować jako wypowiedzi o rzeczach. I na tej drodze konflikt z matematyką jest wobec tego uchylony. (Kotarbińska, 1971a, s. 265–266)

---

<sup>7</sup> W nawiasach dodałem swoje uzupełnienia – J.P.

Do powyższego wniosku Autorka dochodzi, powołując się na fakt, że nie tylko tezy reizmu są przeciwne niż jego oponentów, ale i program wysunięty przez Tadeusza Kotarbińskiego w artykułach dodanych przezeń do drugiego wydania tej książki. Mianowicie w *Fazach rozwojowych konkretyzmu* (1958) Autor „przerzuca nawet główny punkt ciężkości z tez na program”, „Domaga się [...] tego, by [...] nie ustawać w poszukiwaniu metod umożliwiających w coraz to szerszym zakresie sprowadzanie zdań o abstraktach do zdań o konkretach i «z maksymalną uporczywością [...] uwalniać się wszędzie od nazw pozornych»” (Kotarbińska, 1971a, s. 266).

Zdaniem Autorki przemawiają za tym następujące argumenty:

- a) zgodność interpretacji reistycznej ze zwykłą praktyką językową: gdy używamy w mowie potocznej terminów abstrakcyjnych, z pozoru tylko mówimy o abstraktach, naprawdę zaś – ze względu na intencje właściwe – o rzeczach;
- b) pożyteczność takiej interpretacji na terenie dociekań filozoficznych: zagadnienia będące przedmiotem niekończących się i jałowych dyskusji upadają często natychmiast jako zagadnienia źle postawione, jeśli trzymamy się hasła, by w ostatecznym wykładzie nie używać innych nazw jak tylko nazw konkretów;
- c) psychologiczną naturalność dyrektywy reistycznej: dopiero wtedy chwytamy sens intuicyjny wypowiedzi o abstraktach, gdy potrafimy przetłumaczyć je na zdania o konkretach. (Kotarbińska, 1971a, s. 267)

Janina Kotarbińska, gdy w roku 1967 pisała te słowa, od lat około pięćdziesięciu – bo od swych czasów studenckich, przez całe więc dorosłe życie – pozostawała pod wpływem semantycznej „indoktrynacji” reistycznej. Na mnie reizm oddziałuje już od lat przeszło siedemdziesięciu, bo tyle czasu upłynęło od moich lat studenckich do dzisiaj. Mimo że jako wychowanek *Elementów* i zwolennik reizmu jestem żywo zainteresowany rozpowszechnieniem jego idei i zapewne nie potrafię się zdobyć na obiektywizm, oceniając jej walory, zasięg i rozpowszechnienie, z pewnym sceptycyzmem odnoszę się do pierwszej części argumentu (a) przytoczonego przez Autorkę. Z tego, co słyszę naokół i czytam, odnoszę wrażenie, że praktyka językowa nie jest dziś zgodna z interpretacją reistyczną, lecz w coraz większym stopniu wymaga reistycznej terapii odwykowej. Przyglądając się temu, jak ludzie obecnie mówią i piszą, zanotowałbym raczej inne zjawiska: skłonność do nominalizacji wypowiedzi, a zarazem ich – *sit venia verbis* – „abstrakcjonizowania” czy „abstraktyfikacji”, np. zamiast „skoczył” – „oddał skok”, zamiast „porozumieli się” – „uzyskali consensus”, zamiast „wiedzą” – „mają wiedzę”. Taki jest stan faktyczny i takie tendencje. Natomiast solidaryzuję się z drugą częścią argumentu (a) oraz z argumentami (b) i (c).

Tadeusz Kotarbiński nie odpowiedział na tę rozprawę Janiny Kotarbińskiej. Nie wiem, czy Jego milczenie należy sobie tłumaczyć według zasady „*qui tacet, consentire videtur*”, czy też tym, że po dacie publikacji *Kłopotów z istnieniem* (Kotarbińska, 1971a) chyba tylko raz ogłosił artykuł o reizmie, mianowicie *Reism: Issues and Prospects* (Kotarbiński, 1968), a przeważnie pisał na tematy

prakseologiczne oraz etyczne. Zresztą data opublikowania tego artykułu wskazywałaby, że mógł powstać wcześniej, niekoniecznie po ukazaniu się lub napisaniu *Kłopotów z istnieniem*.

### 2.3. Marian Przełęcki

W roku 1984 ukazał się znakomity artykuł Mariana Przełęckiego *Argumentacja reisty* (1984). Przypuszczam, więcej: jestem przekonany, że gdyby Autor swe rozważania ogłosił przed ukazaniem się drugiego wydania *Elementów* (1961), Tadeusz Kotarbiński umieściłby je w *Aneksie* do swego dzieła, obok recenzji *Reizm* Kazimierza Ajdukiewicza. Szkoda więc, że tej wnikliwej, głębokiej i celnej analizy argumentacji reisty twórcy reizmu nie mógł poznać i – co za tym idzie – nie mógł odpowiedzieć na uwagi krytyczne w niej zawarte.

Echa analityczno-krytycznych wypowiedzi Kazimierza Ajdukiewicza i Janiny Kotarbińskiej na temat reizmu Tadeusza Kotarbińskiego, rzecz naturalna, dotarły do wszystkich, którzy później myśleli lub pisali o tej sprawie. Poglądy te oddziaływały w pewnej mierze m.in. i na stanowisko Mariana Przełęckiego. A na moje własne – również niektóre zapatrywania Przełęckiego.

Przełęcki przyjmuje Ajdukiewiczowskie rozróżnienie: reizmu ontologicznego, głoszącego, że istnieją tylko rzeczy, czyli – jak czytamy w *Elementach* – przedmioty będące kiedyś, gdzieś i fizycznie jakieś, oraz reizmu semantycznego, według którego naprawdę mówimy tylko o rzeczach. Oprócz tego wprowadza odróżnienie zdania reistycznego od niereistycznego. Zdanie reistyczne nie pociąga formalnie istnienia innych przedmiotów niż rzeczy, zdanie zaś niereistyczne pociąga formalnie istnienie nierzeczy. Pozwala to sformułować następującą tezę semantyczną (TSsz) reizmu: „Wszelkie sensowne zdanie niereistyczne języka [naszej wiedzy] jest przekładalne na pewne jej zdanie reistyczne”. Zgodnie z *Elementami* zdanie niereistyczne występuje w postaci przenośni, a zdanie reistyczne – w formie literalnej. Semantyczna teza reizmu przybiera też odmienny kształt, mianowicie jako TSpz (Wszelkie prawdziwe zdanie niereistyczne jest przekładalne na zdanie reistyczne), np. sformułowanie typu „X-owość przysługuje Y-kowi” jest przekładalne na sformułowanie typu „Y jest X-owy”. Za najbardziej reprezentatywną postać reizmu semantycznego uważa Przełęcki tezę semantyczną, sformułowaną w języku reistycznym mającym strukturę logiczną ontologii Stanisława Leśniewskiego, w której zdaniami podstawowymi są zdania typu „A jest B”. Reizm przyjmuje, że zdania takie, rozumiane literalnie, są sensowne, gdy łącznik „jest” wiąże nazwy rzeczy. Wówczas mocniejszą tezę reizmu semantycznego można wysłowić w następujący sposób: TSsj (Wszelkie sensowne zdanie języka niereistycznego jest przekładalne na pewne zdanie języka reistycznego), i odpowiednio TSpj (Wszelkie prawdziwe zdanie języka niereistycznego jest przekładalne na pewne zdanie języka reistycznego), np. „Nieprawda, że białość jest przysługująca śniegowi”, które nie jest zdaniem języka reistycznego, bo zawiera nazwę nierzeczy, mianowicie „białość”, ale jest zdaniem reistycznym, bo – na gruncie ontologii – nie pociąga istnienia białości. Tadeusz Kotarbiński

argumentuje, że łącznik „jest” ma sens podstawowy tylko wtedy, gdy zdanie mające formę „A jest B” jest zdaniem spostrzeżeniowym, a takim jest tylko wtedy, gdy A i B są spostrzegalne, spostrzegalnymi zaś przedmiotami są wyłącznie rzeczy.

Przełęckiego ta argumentacja nie przekonuje. Uważa, że zdanie „Białość jest przysługująca śniegowi” jest spostrzeżeniowe na równi ze zdaniem „Śnieg jest biały”. Ja mam w tej sprawie odmienną opinię, ponieważ w moim odczuciu u podłoża uznania zdania „Białość przysługuje śniegowi” za spostrzeżeniowe tkwiłaby myśl, że potrafimy postrzegać białość, a na to trudno mi się zgodzić. Przyjąwszy teoretycznomościową interpretację własności, musiałbym przyznać i na to, że postrzegalne są zbiory w sensie dystrybutywnym.

Różnimy się też z Marianem Przełęckim, ale tylko częściowo, w innej kwestii. Sądzi On mianowicie, że charakter metodologiczny zdania „A jest B” zależy od sensu słów „A” i „B”, nie zaś od sensu łącznika „jest”, i że ten zachowuje jednakowy sens w zdaniach różnego typu metodologicznego. Mnie zaś się wydaje, że na charakter metodologiczny tego zdania wpływa zarówno sens wyrazów „A” i „B”, jak sens łącznika „jest”. Obustronne sąsiedztwo oddziałuje na sens łącznika stojącego pośrodku. Przy tym sugestią postrzegalności wywiera zwłaszcza rzeczownik „białość”, a nie zwrot nominalny „przysługująca śniegowi”. Wystarczyłoby dla eksperymentu zmienić na „Skład chemiczny jest przysługujący śniegowi” albo „Mądrość jest przysługująca Atenie”, a wrażenie postrzegalności by niemal całkiem znikło. Przykładów zaś fluktuacji sensów łącznika „jest” dostarcza zestawienie takich zdań, jak: „Paryż jest stolicą Francji”, „Kiliński jest szewcem”, „Szewc jest rzemieślnikiem”.

Jak więc się przedstawia sprawa „odpowiedzialności” za przenośny charakter zdania „Białość jest przysługująca śniegowi”, podczas gdy wypowiedź „Śnieg jest biały” traktujemy jako literalną? Przełęcki słusznie uważa, że przenośne rozumienie zdania „Białość jest przysługująca śniegowi” to rezultat przenośnego charakteru zwrotu „przysługująca śniegowi”. Dodałbym tylko, że jądrem tego charakteru jest przenośne użycie słowa „przysługuje” oraz że poprawne sformułowanie, choć ciężkie i sztuczne pod względem stylistycznym, brzmiałoby „białość przysługuje śniegowi”, natomiast już np. w języku angielskim zachodziłaby różnica znaczeniowa między odpowiednikami wyrazu „przysługuje” i zwrotu „jest przysługująca”, ten drugi bowiem wprowadza tzw. *progressive form* operującą imiesłowem czynnym jako orzecznikiem.

Nasuwa się też inna kwestia. Tutaj „kwestia” to „pytanie”, gdyż muszę przestać na postawieniu pytań, na które w tym artykule nie mogę udzielić wyczerpującej odpowiedzi, bo rozsadziłaby ramy obecnych rozważań. Nawiązując do uwag zapisanych na marginesie recenzji Kazimierza Ajdukiewicza, w których wspomniałem, że moim zdaniem, jeśli dane wyrażenie uznajemy za przenośne, to zawsze w stosunku do jakiegoś innego wyrażenia, które traktujemy jako literalne, pragnę uzupełnić tę opinię. Otóż wśród przekładów z przenośnego na literalne, z reguły – jak wspomniałem – tylko bliskoznaczących, nie zaś ściśle równoznaczących, a więc wśród pewnego rodzaju parafraz, proponuję rozróżnić

dwa rodzaje. Do pierwszego zaliczyłbym nieliczne parafrazy, dokonane za pomocą tego samego wyrazu, raz użytego w sposób przenośny, a po sparafrazowaniu – w sposób literalny. Do drugiego zaś rodzaju należałyby o wiele częstsze od poprzednich parafrazy wyrazu przenośnego dokonane za pomocą innych wyrazów niż parafrazowany wyraz przenośny. Jeśli posłużymy się terminem „literalizacja przenośni”, będzie można powiedzieć, że rozróżniliśmy dwa jej rodzaje. Przykład literalizacji podany przez Mariana Przełęckiego, mianowicie parafraza zdania „Białość jest przysługująca śniegowi” na „Śnieg jest biały”, nasuwa spostrzeżenie, że są takie słowa, np. właśnie „przysługiwać” – w odróżnieniu od „przysługiwać się”, „przysłużyć się (komuś)” – które mają tylko charakter przenośny. Nie podważa to spostrzeżenia, że dane sformułowanie uznajemy za przenośne zawsze i tylko w stosunku do innego potraktowanego jako literalne. W tym wypadku świadczy o tym literalizacja w postaci „Śnieg jest biały”.

Literalizację przenośni musi poprzedzić identyfikacja jednych wyrazów, wyrażań lub wypowiedzi jako przenośnych, innych zaś jako nieprzenośnych. Na jakiej podstawie dokonujemy identyfikacji danej jednostki tekstu jako literalnej, a innej jako przenośnej? Np. dlaczego „Jan ma żal do Pawła” mamy traktować jako przenośne, a „Jan jest rozżalony na Pawła” – jako literalizację poprzedniego zdania? Podobnie: „Jan ma pragnienie”/„Jan jest spragniony”. Czy literalizacja wymaga nadania zdaniu struktury „A jest B”? Czy zawsze polega na rozwinięciu sformułowania przenośnego? Co jest przenośne, a co literalne: osobne wyrazy, konteksty złożone z co najmniej dwóch słów, czy może sposoby użycia tych ostatnich? Za tym trzecim bym się opowiadał. Czy własność bycia użyciem przenośnym (literalnym) w danym kontekście słownym i sytuacyjnym jest klasyfikacyjna, a więc niestopniowalna, dane zatem użycie albo jest przenośne (nieliteralne), albo nieprzenośne (literalne), czy też – jak sądzę – typologiczna, czyli stopniowalna, a więc dane użycie w tym a tym kontekście słownym i sytuacyjnym jest bardziej/mniej przenośne (literalne) aniżeli inne użycie? Wszystkie wyliczone tu zagadnienia, i nie tylko one, zasługują na osobne opracowanie. I jeszcze jedno. Zarówno w *Elementach*, jak i w komentarzach, którymi obrosły, często się powtarza uwaga, że sformułowania zawierające onomatoid(y) są „skrótkowo-zastępcze”, a ich literalizacje, wolne od onomatoidów, nazywa się „rozwinięciami” owych skrótkowo-zastępczych. Nie zawsze tak bywa. Zdarza się też, że wypowiedzi onomatoidalne są dłuższe niż wypowiedzi oczyszczone z onomatoidów, np. „Jan odniósł zwycięstwo nad Piotrem”/„Jan zwyciężył Piotra”. Dlatego należałoby dawne określenia zastąpić nowymi terminami i zamiast wyrażenie „skrótkowo-zastępcze” oraz jego „rozwinięcie literalne” mówić: „sformułowanie onomatoidalne”, czyli zawierające onomatoidy (nazwy pozorne) jako swoje składniki, a wypowiedzi po usunięciu z nich nazw pozornych nazywać „sformułowaniami nieonomatoidalnymi”. Wprawdzie można by się rozejrzeć za pojedynczym terminem, takim jak „dezonomatyzacja” czy „dezonomatyzat”, ale bynajmniej nie zachęcam do używania tych neologizmów, bo usiłując postępować według rady Władysława Tatarkiewicza, jednego z moich nauczycieli, który wzorując się na „brzytwie Ockhama”, ukuł maksymę *nomina non*

*sunt multiplicanda prater necessitatem*, tj. „nazw nie należy mnożyć bez koniecznej potrzeby”.

Ale *revenons à nos moutons*. Marian Przełęcki, powołując się na opinię Kazimierza Ajdukiewicza zawartą w recenzji *Reizm*, według której nie przy każdej precyzacji języka powszechnego, zwanego też „ogólnym” lub „naturalnym”, semantyczne poglądy reisty są prawdziwe, podaje zmodyfikowane wersje swojej tezy TS, mianowicie TSAz (Wszelkie sensowne (prawdziwe) zdanie niereistyczne jest przekładalne, przy pewnej dopuszczalnej precyzacji języka *J*, na pewne zdanie reistyczne) oraz TSAj (Wszelkie sensowne (prawdziwe) zdanie nie będące zdaniem języka reistycznego jest przekładalne, przy pewnej dopuszczalnej precyzacji języka *J*, na zdanie języka reistycznego). Ponieważ jestem przekonany, że w języku powszechnym przekładalność, o której tu mowa, zachodzi między wypowiedziami bliskoznacznymi, a nie ściśle równoznacznymi, empiryczny charakter tych tez ani przez chwilę nie budził moich wątpliwości, potraktowanie zaś przez Tadeusza Kotarbińskiego uzasadnienia semantycznych tez *Elementów* jako „naiwno-intuicyjnego i pospolicie indukcyjnego” w najmniejszej nawet mierze nie podważa mojego do nich zaufania. Zastanawiam się natomiast, czy – tak jak to czyni Przełęcki – tezy semantyczne, zmodyfikowane w powyższy sposób, w dalszym ciągu uznawać za semantyczne tezy reizmu, czyli to, co głosi reista, czy też są to ich interpretacje sformułowane przez niereistę, np. Kazimierza Ajdukiewicza. A zatem mam wątpliwości, czy za Przełęckim przyjąć, że w związku z powyższą modyfikacją tez semantycznych reizmu zaproponowaną przezeń – również reistyczna teza „Naprawdę mówimy tylko o rzeczach” miała by przybrać postać „Możemy mówić tak, aby mówić tylko o rzeczach”. Myślę, że reista twierdzi to pierwsze i sądzi, że jakkolwiek formułujemy swoje zdania, faktycznie są one o rzeczach. Druga zaś opinia wyraża pogląd niereisty, który myśląc o obu językach: reistycznym i niereistycznym, przyznaje, że i ten pierwszy jest dopuszczalny. Przypuszczam, że tę różnicę w omawianej sprawie między stanowiskiem Mariana Przełęckiego i moim udałoby się usunąć za pomocą zanalizowania znaczeń zdań „naprawdę mówimy tylko o rzeczach” i „możemy mówić tak, aby mówić tylko o rzeczach” oraz zwrotów „język reistyczny”, „język, którym mówi reista” i „zdanie języka reistycznego”. Podstaw do takiej analizy dostarcza i jej kierunek wskazuje twierdzenie TP sformułowane przez Przełęckiego „zdanie z należy do wiedzy w wtedy i tylko wtedy, gdy należy do niej reistyczny przekład *Z*”. Zwłaszcza zwrot „zdanie języka reistycznego” dopuszcza dwojaką interpretację: a) zdanie, w którym występują wyłącznie nazwy rzeczy jako jego składniki nominalne, b) zdanie typu (a), jeżeli nie stwierdza ani żeń nie wynika, że nie tylko rzeczy istnieją. Zdania typu (b) wyrażają pogląd reisty, podczas gdy zdania typu (a) – niekoniecznie.

Z kolei *Argumentacja reisty* (Przełęcki, 1984) przystępuje do analizy uzasadnienia semantycznej tezy reizmu za pomocą tezy ontologicznej TO (Istnieją tylko rzeczy); tego rodzaju próba uzasadnienia znajduje się w *Aneksie do Elementów*, mianowicie w artykule Tadeusza Kotarbińskiego *O postawie reistycznej, czyli konkretystycznej* (1949). Przełęcki słusznie twierdzi, że TO pociąga logicz-

nie najsłabszą wersję tezy semantycznej, a więc TSpz (Wszelkie prawdziwe zdanie niereistyczne jest przekładalne na pewne zdanie reistyczne), natomiast nie pociąga bezpośrednio tezy TSsz (Wszelkie sensowne zdanie niereistyczne jest przekładalne na pewne zdanie reistyczne) ani tezy TSsj (Wszelkie sensowne zdanie nie będące zdaniem języka reistycznego jest przekładalne na pewne zdanie języka reistycznego). Zauważa jednak, że teza TO będzie pociągać logicznie tezę TSsz, a także tezę TSsj, jeśli przyjmiemy założenie, według którego zapewniając prawdziwość tezie TSpz, tym samym zapewniamy ją tezie TSsz, a zwłaszcza tezie TSsj. Ponadto Autor zwraca uwagę na to, że z tezy TO bezpośrednio wynika logicznie teza semantyczna, zmodyfikowana zgodnie z Ajdukiewiczą tezą TSAz (Wszelkie sensowne zdanie niereistyczne jest – przy pewnej dopuszczalnej precyzacji języka *J* – przekładalne na pewne zdanie reistyczne). Skoro teza semantyczna TSpz, jak również powyższa teza Ajdukiewiczza, są konsekwencją logiczną ontologicznej tezy TO – rozumuje Przełęcki – uzasadnienie każdej z nich przez TO jest wnioskowaniem dedukcyjnym, a zatem tezy TSpz oraz Ajdukiewiczowska teza semantyczna TSAz są uzasadnione w tym samym stopniu co teza ontologiczna TO. Wniosek analizy dokonanej przez Autora jest następujący: punkt ciężkości zostaje przesunięty z uzasadnienia tezy semantycznej na uzasadnienie tezy ontologicznej.

W trzecim rozdziale swych rozważań Przełęcki przypomina, że we wstępie do swego artykułu wyraził pogląd, iż

[...] właściwe uzasadnienie tez reistycznych przebiega w sposób odwrotny do ostatnio omawianego. To nie teza semantyczna jest uzasadniana przez tezę ontologiczną, lecz na odwrót: teza ontologiczna jest uzasadniana przez tezę semantyczną. (Przełęcki, 1984, s. 13)

Z opinią, że nastąpiło tu odwrócenie kierunku uzasadniania tez reistycznych w stosunku do stosowanego w *Elementach*, niezupełnie się zgadzam.

Wydaje mi się, że swą tezę ontologiczną, a więc tezę o świecie czy wszechświecie, według której jest on pewną złożoną rzeczą, oraz o umeblowaniu świata jako składającym się wyłącznie z rzeczy Tadeusz Kotarbiński od początku opierał nie tylko na doświadczeniach sprawcy i odbiorcy działań językowych i zachowań językowych, a właściwie semiozycznych, tj. zarówno mowy, jak używania wszelkich innych znaków, ale także na doświadczeniach każdego człowieka jako mającego do czynienia wyłącznie z rzeczami, a więc sprawcy także innych działań, niejęzykowych, i świadka, uczestnika lub podmiotu zachowań jako polegających – by użyć metonimii *pars pro toto* – na manipulowaniu rzeczami, czyli – według *Elementów* – przedmiotami będącymi gdzieś, kiedyś i fizykalnie jakimiś. W mowie i piśmie rzeczami są poszczególne egzemplarze wyrazów, wygłaszane lub napisane, a poza sferą języka wszelkie przedmioty, składniki wszechświata, zarówno doznające, jak nie doznające, zarówno żywe, jak nie ożywione. Równoległe zaś, na przemian z tamtym tokiem rozumowania, semantyczną tezę reizmu, według której „naprawdę mówimy tylko o rzeczach” – jak skrótowo sformułował ją Marian Przełęcki – od początku, tak jak tezę onto-

logiczną, Autor *Elementów* opierał na takich samych podstawach dwojakiego rodzaju, mianowicie zarówno na doświadczeniach semiozycznych, jak na doświadczeniach poznawczych i sprawczych życia w świecie wyłącznie rzeczy.

Przypuszczam, że Tadeusz Kotarbiński, gdy w artykułach pisanych w dwadzieścia – trzydzieści lat po opublikowaniu pierwszego wydania *Elementów* odtwarzał w swej pamięci przebieg kształtowania się idei reizmu i zdawał sprawę z ówczesnego toku własnych myśli, uzupełnił swą relację, wplatając w nią rozróżnienie reizmu semantycznego i reizmu ontologicznego dokonane przez Ajdukiewicza. I gdy przypominał sobie bieg zdarzeń, rozmieścił je zrazu w kolejności chronologicznej swoich przeżyć, m.in. spostrzeżeń i rozumowań, wśród których moim zdaniem można rozróżnić dwie fazy: (a) pierwszą fazę, naprowadzania na pomysł reizmu ontologicznego, które przebiegało od osobistych doświadczeń: zarówno semiozycznych, jak poznawczych i sprawczych, a więc prakseologicznych, do intuicji zrazu, a następnie sformułowania ontologicznej idei konkretyzmu, czyli pansomatyizmu, i związanej z nią teoretycznopoznawczej idei realizmu radykalnego, oraz (b) drugą fazę, uzasadniania tej idei ontologicznej, ukształtowanej już za pomocą osobistych własnych i zaobserwowanych powszechnych doświadczeń semiozycznych, poznawczych i prakseologicznych. U źródła były doświadczenia człowieka mówiącego i piszącego, który dostrzegał przerośny charakter wypowiedzi o abstraktach i zastanawiał się, czym ów charakter został spowodowany. Odpowiedź na to pytanie ostatecznie przybrała postać tez reizmu semantycznego. Do refleksji na temat mowy dołączyły się doświadczenia każdego z nas jako postrzegającego wyłącznie rzeczy i posługującego się wyłącznie rzeczami, a na tym fundamencie wyrastała konstrukcja ontologiczna. Ale w rzeczywistości zapewne nie nastąpiło to w dwóch krokach. Myślenie o tym, z czego się składa otaczający świat, było procesem, który trwał oraz rozwijał się przez dłuższy czas i może przebiegał wahadłowo lub jego składniki przeplatały się ze sobą i po tym czy owym kroku ku przodowi następował krok w tył, powrót do myśli, już – zdawałoby się – rozważonej, by ją zrewidować, wzbogacić, uzupełnić. Na przykład na niejednym etapie, gdy uwaga skupiała się na mowie i gdy wyrastało pytanie, czego naprawdę dotyczą nasze wypowiedzi o cechach, zdarzeniach, stosunkach czy powszechnikach, konstatacja, że są to przerośnię, które faktycznie mówią o rzeczach, przychodziła pod wpływem refleksji, iż tylko z rzeczami mamy do czynienia w życiu. Innym znów razem następstwo logicznych członów rozumowania ulegało zmianie, bo na odpowiedź czekało inne pytanie: na jakiej podstawie twierdzisz, że tylko rzeczy cię otaczają. Wtedy jako uzasadnienie powracało wspomnienie owego przerośnego charakteru zdań rzekomo odnoszących się do nierzeczy, wielokrotnie przez nas obserwowanego.

Wydaje mi się zatem, że w procesie dochodzenia do idei reizmu, a następnie jej rozwoju występuje interakcja dwóch czynników, semiotycznego i ontologicznego, które wzajemnie się wspomagają. Powraca tu pytanie: z jakiego powodu niektóre sformułowania identyfikujemy jako przerośne? W rozważanym wypadku dlatego, że doświadczenie codzienne, wyniki naszych spostrzeżeń, przebieg



naszych działań umacniają w nas przekonanie, iż otaczają nas wyłącznie rzeczy. Z tym przeświadczeniem podchodzimy do dekodowania wypowiedzi i stawiania diagnozy w sprawie ich literalnego czy przenośnego użycia i wypowiedzi o rzekomych nierzeczach traktujemy jako przenośnie. Z kolei innym razem poczucie, że dane sformułowanie jest przenośne, wywiera wpływ na inwentaryzację otaczającego świata i skłania nas do pojmowania go jako złożonego wyłącznie z rzeczy. I tak np. ze zdarzenia oznaczanego zwrotem „bieg na bosaka” usuwamy byty <bieg> i <bosak>, a pozostawiamy biegnącego boso. Gdyby ten ruch tam i z powrotem odbywał się w obrębie jednego rozumowania dokonanego w dwóch krokach – wypowiedź jest przenośna, więc odnosi się faktycznie tylko do rzeczy, oraz istnieją tylko rzeczy, więc wypowiedź o nierzeczach jest przenośna – zagrażałoby błędne koło bezpośrednio. I doszłoby doń, gdyby ogólną tezę semiotyczną uzasadniać za pomocą ogólnego twierdzenia ontologicznego, ogólną zaś tezę ontologiczną – za pomocą ogólnego twierdzenia semiotycznego. Ale mechanizm rozumowania był, jak się zdaje, inny. Ten ruch wahadłowy – od rozpoznania przenośności do identyfikacji bytu materialnego i z powrotem – jest nie tylko rozciągnięty w czasie, ale dotyczy coraz to innego przedmiotu. Do każdej z reistycznych tez ontologicznych, mających ograniczony zakres, prowadziło osobne rozumowanie indukcyjne, oparte na jednostkowych lub szczegółowych przesłankach wspomnianych typów, np. do sądu „czerwość tego oto maku nie jest rzeczą” prowadziło zdanie „wypowiedź «czerwość przysługuje temu oto makowi» jest przenośnią, która naprawdę znaczy «ten mak jest czerwony»” oraz zdanie „ten oto czerwony mak jest jedną rzeczą, czerwonym makiem, a nie dwiema: bezbarwnym makiem i czerwością”. W podobny sposób przebiegały, każde z nich osobno, kolejne rozumowania indukcyjne, prowadzące do twierdzenia, że jakaś inna cecha tegoż maku nie jest rzeczą, czy też – do twierdzenia, że nie jest rzeczą dana cecha, np. czerwość, ale przysługująca innemu przedmiotowi, np. krwi, itd. Podobne rozumowania dotyczyły relacji oraz kolejno innych bytów abstrakcyjnych. Na następnym etapie dochodziło się do szerszych uogólnień, np. na temat cechy bycia dowolnego koloru, czy też cechy bycia takim a takim stosunkiem; w każdym wypadku oddzielnie. I w każdym wypadku przesłankami były zarówno zdanie semantyczne, jak zdanie ontologiczne. Przepływały się z nimi rozumowania indukcyjne prowadzące do uogólnień semantycznych. Jak w poprzednich, które kończyły się wnioskiem ontologicznym, za podstawę służyły w nich dwojakiego rodzaju przesłanki: ontologiczne i semiotyczne. Powtarzała się też gradacja uogólnień. I dopiero na końcu nastąpiły dwa rodzaje najszerszych uogólnień w postaci ontologicznej tezy reizmu „Istnieją tylko rzeczy” i semantycznej tezy reizmu „Naprawdę mówimy tylko o rzeczach”. Sądzę więc, że błędnego koła nie ma. Ale też wniosek nie jest całkowicie pewny, jak zawsze w rozumowaniach indukcyjnych. I ta jednak pewność, którą one w tym wypadku ofiarują, jest nie do pogardzenia. Na taki przebieg rozumowań Tadeusza Kotarbińskiego, jako złożonych z serii indukcji, których wnioski były coraz to ogólniejsze w miarę wspinania się na kolejne piętra, zdają się wskazywać Jego uwagi w artykułach opublikowanych w *Aneksie* do

drugiego wydania *Elementów*, m.in. relacja w rozprawach *Fazy rozwojowe konkretyzmu i Humanistyka bez hipostaz*.

A zatem ściślej niż Marianowi Przełęckiemu wydaje mi się związek obu odmian reizmu: semantycznej i ontologicznej. I dlatego w rozumowaniu Tadeusza Kotarbińskiego nie upatruję istotnego zwrotu, mającego polegać na wspomnianej zmianie kierunku uzasadniania.

Wracam do uwag na temat poglądów Autora *Argumentacji reisty*. W dalszym ciągu swych wywodów Marian Przełęcki pisze, iż jeśli przyjmiemy założenie, że teza ontologiczna TO (Istnieją tylko rzeczy) została sformułowana w języku *J*, czyli w języku, którym mówi reista i o którym mówią ostatnie dwa wyrazy w tezie semantycznej TSsj (Wszelkie sensowne zdanie języka niereistycznego jest przekładalne na pewne zdanie języka reistycznego), to z powyższej tezy semantycznej TSsj będzie wynikać logicznie teza ontologiczna TO, prawdziwa na mocy języka reistycznego, respektującego zasady ontologii Stanisława Leśniewskiego. A zatem, aby uzasadnić TO, reista uzasadnia TSsj. Przełęcki uznaje to uzasadnienie za „mało przekonujące”, a samą tezę za „wysoce problematyczną”. W tym miejscu nasze poglądy się rozchodzą, być może dlatego, że Autor ma na myśli przekładalność z zachowaniem równoznaczności, podczas gdy ja – bliskoznaczności, skoro oczekiwanie równoznaczności byłoby nierealistyczne. Z kolei *Argumentacja reisty* zauważa, iż jeśli tezę semantyczną TSsz (Wszelkie sensowne zdanie niereistyczne jest przekładalne na pewne zdanie reistyczne) zmodyfikujemy w sposób zaproponowany przez Kazimierza Ajdukiewicza, a więc sformułujemy w postaci TSAsz (Wszelkie sensowne zdanie niereistyczne jest przekładalne – przy pewnej dopuszczalnej precyzacji języka *J* – na pewne zdanie reistyczne), to sama teza TSAsz nie będzie pociągała tezy ontologicznej TO, a ponadto TO „nie [będzie] miała w *J* z góry zagwarantowanej prawdziwości”. Różnię się tu z Przełęckim: mnie ten brak gwarancji udzielonej z góry nie zniechęca do sądu „Istnieją tylko rzeczy”, skoro potwierdzają go miliony doświadczeń, a nie podważa żadne doświadczenie przeciwnie.

Następnie Marian Przełęcki przygląda się słabszej wersji tezy semantycznej TSpz (Wszelkie prawdziwe zdanie niereistyczne jest przekładalne na pewne zdanie reistyczne) i zauważa, iż owa słabsza wersja sama nie pociąga tezy ontologicznej TO, natomiast jest jej konsekwencją logiczną. Wobec tego reista, nie mogąc dedukcyjnie wyprowadzić tezy TO z tezy TSpz, obiera inną drogę, redukcyjną: w sposób niezależny od TO uzasadnia TSpz, a następnie uzasadnia TO, która jest racją logiczną tezy semantycznej TSpz, ujmując ją jako hipotezę empiryczną, tłumaczącą tezę TSpz. Autor nieufnie podchodzi do takiego uzasadnienia, nazywa jego wartość uzasadniającą „wysoce dyskusyjną”. Nie całkiem się zgadzam z tą oceną, jeśli ma się odnosić do rozumowania reisty w rozważanej przezeń kwestii, a nie ogólnie do tego rodzaju wnioskowania.

Zdaniem Mariana Przełęckiego otwarta jest przed reistą także inna droga: aby z tezy TSpz móc wyprowadzić TO, potrzeba jakichś dodatkowych założeń. Jako jedno z nich – jak pisze, „wedle spotykanego niekiedy poglądu” – wymienia brzytwę Ockhama. Ja jej w tej roli nie spotykałem. W normie tej, mianowicie

*Entia non sunt multiplicanda praeter necessitatem*, którą Autor oddaje słowami „nie należy mnożyć bytów ponad konieczność”, *Argumentacja reisty* przyjmuje następującą eksplikację *E* słowa „konieczność”: „Konieczne jest istnienie przedmiotów pewnej kategorii ontologicznej, jeśli nasza wiedza w pociąga logicznie ich istnienie”, a w związku z tym całą normę traktuje jako założenie umożliwiające przejście od pewnych twierdzeń semantycznych do ontologicznych. Przełęcki pisze:

Jeżeli prawdą jest to, co głosi reistyczna teza semantyczna [TSpz] [...], twierdzenia te [reistyczne] nie zakładają istnienia przedmiotów innych kategorii ontologicznych prócz kategorii rzeczy. A zatem przyjęcie istnienia przedmiotów innych niż rzeczy nie jest konieczne, (Przełęcki, 1984, s. 14)

więc – jak radzi Ockham – nie należy przyjmować ich istnienia. W tym punkcie uwaga Autora kieruje się ku rozważaniom, czy dyrektywa Ockhama jest słuszna, i Marian Przełęcki wyraża następujący pogląd: zasadę Ockhama można stosować w dwojaki sposób, mianowicie albo tak, aby służyła jako uzasadnienie reistycznej tezie ontologicznej TO, albo tak, aby służyła jako uzasadnienie twierdzeniu metodologicznemu TM (Tylko o rzeczach można zasadnie twierdzić, że istnieją). W pierwszym wypadku zasada Ockhama musiałaby się opierać na założeniu ontologicznym ZO (Istnieją tylko takie przedmioty, których istnienie zakłada wiedza W). Autor negatywnie ocenia to założenie i pyta „Dlaczego istnieć miałyby tylko takie przedmioty, o których istnieniu wiemy?” (Przełęcki, 1984, s. 9); przypuszcza, że przyjmujemy ZO, ponieważ utożsamiamy je z innym założeniem, metodologicznym, ZM (Tylko o takich przedmiotach można zasadnie twierdzić, że istnieją, których istnienie zakłada wiedza W); uważa je za „nie budzące wątpliwości, prawdziwe na mocy samej definicji wiedzy jako obejmującej ogół uzasadnionych twierdzeń oraz ich konsekwencji logicznych”. Zarazem zauważa, iż ZM, użyte jako przesłanka, nie wystarcza do wyprowadzenia reistycznej tezy ontologicznej TO z reistycznej tezy semantycznej TSpz (Wszelkie prawdziwe zdanie niereistyczne jest przekładalne na pewne zdanie reistyczne). Zgadzam się z tymi opiniami o ZO i ZM oraz ze spostrzeżeniem w sprawie użyteczności ZM i TSpz do wyprowadzenia z nich TO.

W tym miejscu przerwę referowanie tego pomysłowego wywodu kilkoma zdaniem komentarza. Otóż inaczej niż Marian Przełęcki rozumiem słowo *necessitas* w dyrektywie Ockhama, mianowicie rozumiem je jako konieczność praktyczną, którą Tadeusz Kotarbiński eksplikuje mniej więcej w następujący sposób: „w sensie praktycznym musi być pod pewnym względem tak a tak”, to tyle co „jeśli nie będzie tak, jak być musi, to stanie się gorzej pod danym względem”; tym, do kogo lub czego relatywizujemy daną konieczność praktyczną, często bywa m.in. sprawca czynu. Zwłaszcza w metodologicznym założeniu ZM opowiadałbym się za tym, że mowa w nim o konieczności praktycznej, skoro metodologia ma za swój przedmiot metody, a te – także według Kotarbińskiego – są systematycznie stosowanymi sposobami robienia czegoś, a więc pewnego rodzaju praktyki; dlatego brzytwę Ockhama przekładam słowami „Nie należy

mnożyć bytów bez koniecznej potrzeby”; ostatni z wyrazów tego sformułowania ma zawierać aluzję do praktyki właśnie. Tymczasem, jak wspomniałem, Marian Przełęcki skłania się do logicznego rozumienia słowa *necessitas* w zasadzie Ockhama, za czym mogłyby przemawiać słowa „pociąga logicznie”, użyte przez Autora *Argumentacji reisty* w eksplikacji tej zasady. Wypada się zastrzec, że nie znam kontekstu, w którym Ockham umieścił swą „brzytwę”, a dopiero przeczytanie „brzytwy” w kontekście przybliżyłoby trafną interpretację wyrazu „konieczność”. (Mimo to mam chyba prawo uważać się za znawcę golenia brzytwą, bo należę do tych, bardzo już nielicznych, którzy w młodości je praktykowali: po części ulegając opinii fryzjerów-tradycjonalistów, wyznawców maksymy *Gut einseifen – halb rasieren*, niechętnych maszynce do golenia, wynalazkowi z roku 1904, gdyż odbierała im zarobki, więc utrzymujących, że „brzytwa wybiera włos ze środka, a żyłką nigdy się szanowny pan tak nie ogoli, bo ona tylko skrobie po wierzchu i do południa jest pan na powrót zarośnięty”, a po części dlatego, że w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku żyłki, czyli nożyki do golenia, były tępe mimo „ostrzenia” ich we wnętrzu szklanki. Dziś zawansowane golarki elektryczne i „trymery” elegancki mężczyzna reguluje tak, aby pozostawiały półmilimetrową albo milimetrową szczecinę, zapewniającą jakoby wygląd „trendy” i „sexy”).

Co się tyczy założenia metodologicznego ZM, nie potrafię pokonać wrażenia, iż ociera się ono o błędne koło spowodowane obecnością personifikacji „wiedza w zakłada istnienie”. Założenie jest – jak wiadomo – twierdzeniem, z którego ma(ją) wynikać logicznie zakładane twierdzenie(-a). Wiedza składa się z ogółu uzasadnionych twierdzeń. Zatem wiedza zakładająca istnienie składa się z ogółu uzasadnionych twierdzeń o istnieniu tego a tego, a więc zdań typu „istnieje X”. Twierdzenie, że istnieje X, jest uzasadnione, gdy twierzący wie, że istnieje X, to znaczy: wierzy, że istnieje X, twierdzi, że istnieje X, jego twierdzenie, że „X istnieje”, jest uzasadnione. Wiedza danej osoby na jakiś temat może być aktualna lub potencjalna, tzn. składa się zarówno ze zdań, które owa osoba aktualnie stwierdza, jak ze zdań, które gotowa jest stwierdzić, wśród tych ostatnich ze zdań – wprawdzie aktualnie przez nią nie stwierdzanych, ale wynikających logicznie ze zdań aktualnie stwierdzonych lub stwierdzonych w przeszłości. Skoro więc: a) moja wiedza w zakłada, że można – zapewne w sensie logicznym – twierdzić, iż istnieją, tylko o takich przedmiotach, których istnienie owa wiedza w zakłada, to – pomijając pośrednie człony rozumowania – np. z takiego składnika tego założenia, tj. tej mojej wiedzy, jak „wiem, że istnieją moje okulary”, wynika logicznie twierdzenie „wiem, że istnieją moje okulary”, a w owym „wiem” jednym z elementów jest „twierdzę”, mniej skrótowo: w definicji zdania „wiem, że p” jednym ze składników definiensa jest zdanie „twierdzę, że p”.

Przechodzę do innej sprawy: w pierwszej chwili zaskoczyło mnie to, że analizując argumentację reisty, Marian Przełęcki sięgnął po brzytwę Ockhama. Wprawdzie ontologiczne i semantyczne poglądy tego czternastowiecznego filozofa i logika były w niejednym zbieżne z zapatrywaniami reisty, ale jak wiadomo, zasada czy norma zwana później „brzytwą” została sformułowana z intencją

ograniczenia nadmiernej liczby scholastycznych drobiazgowych dystynkcji wśród bytów. A przecież ontologia proponowana przez reizm i tak jest zgoła wyposzczona, więc wezwania do zachowania przez tę doktrynę diety byłyby nieuzasadnione. Wybór padł na brzytwę Ockhama dlatego, że norma ta – wyjaśnia Autor – przyjęta w charakterze założenia, umożliwia wyprowadzenie ontologicznej tezy reizmu TO z tezy semantycznej TSpz. Oto jak dochodzi do tego wyprowadzenia: Ockham sądzi, że nie należy przyjmować istnienia jakichś przedmiotów, jeśli to nie jest konieczne. Przełęcki zaś dopowiada, że można to rozumieć w następujący sposób: „przyjęcie istnienia przedmiotów danej kategorii ontologicznej ma być konieczne wtedy, gdy wiedza w [...] pociąga logicznie twierdzenie o ich istnieniu” (Przełęcki, 1984, s. 8). A zatem jeżeli prawdziwa jest reistyczna teza semantyczna TSpz, jeżeli więc to prawda, że każde prawdziwe zdanie niereistyczne jest przekładalne na pewne zdanie reistyczne, to wówczas twierdzenia składające się na naszą wiedzę, właściwie rozumiane, „nie zakładają istnienia przedmiotów innych kategorii ontologicznych prócz kategorii rzeczy” (Przełęcki, 1984, s. 8), więc też przyjęcie istnienia owych przedmiotów innych kategorii ontologicznych nie jest konieczne i w myśl zasady Ockhama nie należy ich przyjmować. Zarówno zastrzeżenie „jeżeli prawdziwa jest reistyczna teza semantyczna TSpz”, jak uzupełnienie przez Przełęckiego przesłanki tego entymematu dyskusyjną – moim zdaniem – eksplikacją E słowa „konieczność”, według której oznacza tam ono konieczność logiczną zrelatywizowaną do „naszej wiedzy” W, sprawiają, że rozpatrywany wywód nie umożliwia wyprowadzenia TO z TSpz, co *Argumentacja reisty* stwierdza i poprzestaje na przyjęciu tezy metodologicznej TM (Tylko o rzeczach można zasadnie twierdzić, że istnieją) oraz założenia metodologicznego ZM (Tylko o takich przedmiotach można zasadnie twierdzić, że istnieją, których istnienie zakłada wiedza W).

Analogiczne rozumowanie entymematyczne stosuje Marian Przełęcki, aby dodając jako przesłankę brzytwę Ockhama, z tezy semantycznej w sformułowaniu zmodyfikowanym według sugestii Ajdukiewicza, a więc słabszej, mianowicie z twierdzenia TSAsz (Wszelkie sensowne zdanie niereistyczne jest przekładalne – przy pewnej dopuszczalnej precyzacji języka *J* – na pewne zdanie reistyczne), wyprowadzić reistyczną tezę ontologiczną TO. Przede wszystkim więc przysposabia „brzytwę” do nowego użytku i odmiennie eksplikuje pojęcie konieczności zrelatywizowane do wiedzy W. Według tej odmiennej eksplikacji przyjęcie istnienia przedmiotów danej kategorii ontologicznej uważa się za konieczne, gdy każdy sposób sformułowania wiedzy w zakłada istnienie takich przedmiotów. Wówczas zasada Ockhama nie pozwala przyjąć, że istnieją przedmioty nie spełniające tego warunku. Założeniem ontologicznym, na którym się opiera referowane wnioski, jest ZOA (Istnieją tylko te przedmioty, których istnienie jest założone przez każdy sposób sformułowania wiedzy W), założeniem zaś metodologicznym jest ZMA (Tylko o takich przedmiotach można zasadnie twierdzić, że istnieją, których istnienie jest zakładane przez każdy sposób sformułowania wiedzy W). Według założenia ZOA dyrektywa Ockhama nie pozwala przyjmować istnienia przedmiotów innych niż rzeczy, ponieważ tylko

rzeczy istnieją, a według założenia ZMA – dlatego, że tylko o rzeczach można zasadnie twierdzić, iż istnieją. Przełęcki ocenia ZOA jako „wysoce problematyczne”. Natomiast wprawdzie uważa ZMA za „intuicyjne” i „przekonujące”, ale – jak słusznie twierdzi – nie można zeń wyprowadzić TO.

Przystępuje więc z kolei do analizowania argumentacji epistemologicznej, którą – zdaniem Przełęckiego – Tadeusz Kotarbiński zastosował, aby uzasadnić ontologiczną tezę reizmu TO. Autor *Elementów* porusza zagadnienia epistemologiczne we fragmencie rozprawy *Fazy rozwojowe konkretyzmu* (Kotarbiński, 1958), w którym przypomina swoje poglądy z zakresu realizmu radykalnego; *Fazy* zostały następnie przedrukowane w *Aneksie* do drugiego wydania *Elementów* (Kotarbiński, 1961, s. 504–514). Przełęcki, powoławszy się na tę rozprawę, pisze, że istotę argumentacji epistemologicznej:

można, w upraszczającym [...] skrócie, wyrazić za pomocą następującego, formalnie poprawnego sylogizmu:

Tylko rzeczy są poznawalne,  
istnieją tylko przedmioty poznawalne,  
a zatem istnieją tylko rzeczy.

Wnioskowanie to uzasadnia konkluzję w stopniu takim, w jakim uzasadnione są jego przesłanki. W tekstach autora tej argumentacji spotykamy próbę uzasadnienia pierwszej przesłanki powyższego sylogizmu. Uzasadnienie to sprowadza się do dwóch tez: „Tylko przedmioty spostrzegalne są poznawalne”, „tylko rzeczy są spostrzegalne”. (Przełęcki, 1984, s. 17)

Ścisłe mówiąc, powyższy sylogizm Przełęckiego – SP – nie jest „upraszczającym skrótem” analizowanej przezeń argumentacji epistemologicznej z *Faz rozwojowych konkretyzmu*, lecz rozwiniętą rekonstrukcją dwóch napomknięć, które znajdują się w tym artykule. Rozprawa ta zawiera nie tyle wywody, a w nich rozwinięte uzasadnienie, ile właśnie napomknięcia, w których Autor *Elementów* powtarza swą myśl, wielokrotnie już wyrażaną gdzie indziej. Ale nie to jest najważniejsze. Istotne jest to, że przypomina ją, żeby uzasadnić swe twierdzenie semiotyczne TS, nie zaś reistyczną tezę ontologiczną TO. Oto Tadeusz Kotarbiński pisze:

[...] konkretyzm próbuje obejść się z obrazami immanentnymi tak, jak się obszedł był z cechami, stosunkami, stanami rzeczy, zdarzeniami i powszechnikami: ilekroć mowa z pozoru o nich, naprawdę mowa jest o rzeczach. W wypowiedzi ostatecznej, nie zastępczej, znikną nazwy obrazów immanentnych, zostaną tylko nazwy rzeczy. Bo tylko o rzeczach można mówić, bo tylko o rzeczach można myśleć, gdyż tylko rzeczy są przedmiotami poznania. Albowiem poznawać – to w każdym razie jakoś reagować na bodźce, a jedynymi bodźcami są rzeczy. (Kotarbiński, 1961, s. 507)

Rozumiem te słowa w następujący sposób: twierdzeniem uzasadnianym jest semantyczna teza reizmu TS, która głosi, że wypowiedzi pozornie o bytach nie

będących rzeczami są zastępcze, natomiast po przełożeniu sformułowań na ostateczne staną się wypowiedziami o rzeczach. Uzasadnienie zaś tego sądu zaczyna się od słowa „bo” i trzonem tego uzasadnienia jest twierdzenie epistemologiczne TE, iż tylko rzeczy są przedmiotami poznania, co z kolei zostaje uzasadnione twierdzeniem, że jedynymi bodźcami są rzeczy. Aby uniknąć nieporozumień, dodam, że zdania „tylko o rzeczach można mówić, [...] myśleć” oraz „tylko rzeczy, a więc jedyne bodźce, są poznawalne”, oraz „poznawać [...] to reagować na bodźce” traktuję jako wyrażające przekonanie Autora, iż faktycznie mówimy i myślimy wówczas o rzeczach, a nie jako jego opinię, że nie wolno formułować wypowiedzi, używając do tego onomatoidów, czyli nazw pozornych „oznaczających” rzekome byty abstrakcyjne i nazw bytów fikcyjnych, albo myśleć sobie o takich bytach jednego czy drugiego rodzaju.

Kilka stron dalej czytamy w *Aneksie* do drugiego wydania *Elementów*:

W początkach [...] lubiło się powtarzać przede wszystkim, że każdy przedmiot jest ciałem, ostatnio zaś lubi się mówić, że w wypowiedziach ostatecznych giną wszystkie nazwy pozorne. Ale co to znaczy, że coś jest główne? Punkt wyjściowy w wykładzie doktryny stanowi ta ostatnia teza o zabarwieniu semantycznym, owa zaś sentencja ontologiczna służy pogłębieniu jej uzasadnienia. [...] Mianowicie zauważa się częstokroć, że chcąc wytłumaczyć komuś właściwy sens wypowiedzi zawierających rzeczowniki, które nie są nazwami rzeczy, dochodzi się do wypowiedzi, gdzie nie ma już takich rzeczowników. Tak np. tłumacząc powiedzenie „Jan dał drapaka” wyjaśnia się przy pomocy zdania „Jan uciekł” [...]. I narzuca się przypuszczenie, że tak jest zawsze. Oto rdzeń konkretyzmu genetyczny i morfologiczny niejako. A z kolei przychodzi na myśl, że to pewnie dlatego, iż wszelki obiekt poznania jest rzeczą, bo czymże innym jest poznanie, jeśli nie pewną reakcją na bodziec będący jego obiektem: kto poznaje różne rzeczy, ten reaguje jakoś na te rzeczy. I to jasne, że tylko rzeczy bywają bodźcami [...]. Jeszcze krok dalej na drodze domysłów, jeszcze tylko założenie, że każdy przedmiot jest zasadniczo poznawalny, że jest zasadniczo możliwym obiektem poznania i że nie ma zatem innych przedmiotów – i gotów konkretyzm ontologiczny. (Kotarbiński, 1961, s. 511)

Pierwsze zdanie w zacytowanym fragmencie ze strony 511 *Elementów*, mianowicie „wszelki obiekt poznania jest rzeczą”, to konwersja zdania „tylko rzeczy są przedmiotami poznania” w przytoczonym przedtem urywku ze strony 507. Jak widać, w powyższym cytacie *Faz*, zaczerpniętym ze strony 511, nastąpiło pewne przesunięcie akcentów w porównaniu z poprzednim fragmentem, ze strony 507. Ale nadal tym, co się uzasadnia, jest twierdzenie o zachowaniu językowym, a tłumaczeniem tego twierdzenia rozpoczętym słowami „dlatego, iż” powołanie się na twierdzenia epistemologiczne TE, oparte na ontologicznych TO. Natomiast – w odróżnieniu od Przełęckiego – w żadnym z tych cytatów nie znajdują uzasadnienia ontologicznej tezy reizmu TO, za pomocą twierdzenia epistemologicznego TE.

Przełęcki utrzymuje, iż nie ma „żadnej próby uzasadnienia” zdania „istnieją tylko przedmioty poznawalne”, tj. „przesłanki drugiej”, w sylogizmie SP, który –

jak pamiętamy – jest Przełęckiego rekonstrukcją epistemologicznego rozumowania z *Faz rozwojowych konkretyzmu*, i stwierdza, że wobec tego przesłanka ta pozostaje „założeniem całkowicie arbitralnym”, które „nie może w jakimkolwiek stopniu uzasadniać konkluzji tego sylogizmu, ontologicznej tezy reizmu”, a zatem twierdzenia, że istnieją tylko rzeczy (Przełęcki, 1984, s. 17). Jako remedium proponuje zastąpić tę przesłankę jej wersją metodologiczną ZMP (Tylko o przedmiotach poznawalnych można zasadnie twierdzić, że istnieją). Wówczas jedyną uprawnioną konkluzją będzie – jak zauważa – teza metodologiczna TM (Tylko o rzeczach można zasadnie twierdzić, że istnieją), a nie teza ontologiczna reizmu TO.

Zgadzam się z Marianem Przełęckim, że jego własna, nie zaś Kotarbińskiego, teza metodologiczna TM, gdy ją oprzemy na przesłance ZMP, a więc na założeniu zmodyfikowanym znowu przez niego samego, jest lepiej uzasadniona niż Kotarbińskiego teza ontologiczna TO reizmu, gdy się opiera na przesłankach w sylogizmie SP skonstruowanym – pamiętajmy – przez Przełęckiego. Przyznając też, że druga przesłanka w tym sylogizmie, mającym być rekonstrukcją rozumowania reisty, mianowicie „istnieją tylko przedmioty poznawalne”, nieobecna zresztą w wywodach Kotarbińskiego, jest arbitralna. Ale arbitralność twierdzeń w wielu innych sprawach, między innymi, a może zwłaszcza, w zakresie naszych fundamentalnych przeświadczeń choćby metafizycznych jest tolerowana przez miliony ludzi. Czy mniej arbitralne są przesłanki, po które sięgają oponenti konkretyzmu-pansomatyzmu? A np. przesłanki zastosowane przez wyznawców religii rzymsko-katolickiej w procesie kanonizacyjnym: ten przewiduje przyjęcie dwóch przesłanek: po pierwsze, że pewne zdarzenie to cud, a nie jedynie coś, co się dotychczas nigdy nie zdarzyło, albo coś, co się niezmiernie rzadko zdarzało, albo wreszcie coś, czego zajścia nikt dzisiaj nie potrafi wyjaśnić przyczynowo; po drugie zaś, że ten cud się wydarzył dzięki wstawiennictwu kandydata na świętego, za jego sprawą, co notabene pozostaje w sprzeczności z określeniem cudu jako zdarzenia, którego wyjaśnienie przyczynowe jest niemożliwe. Co zaś dotyczy własnych rozumowań Kotarbińskiego, a nie ich rekonstrukcji dokonanej przez Przełęckiego, Autor *Elementów*, wspominając swe próby uzasadnienia tezy reizmu ontologicznego TO, pisał, iż chyba „zaczęło się” od zauważenia, że wypowiedzi, w których występuje(-ą) onomatoid(y), mają charakter przenośni oraz od zastanowienia, skąd się bierze takie ich rozumienie. Obchodził się przy tym bez brzytwy Ockhama jako dodatkowej przesłanki. Nasuwa się w związku z tym refleksja, że w gorszym położeniu niż reisci-pansomatycy są ich przeciwnicy i w ogóle przeciwnicy zapatrywań materialistycznych, bo nie przyjdzie im w sukurs przenośne rozumienie pewnych wypowiedzi, a zatwardziały reistów-pansomatystów trudno będzie odczytać krytycyzmu i przekonać, że zewsząd otaczają ich, między innymi albo wyłącznie, nierzeczy.

Przechodzę do drugiej sprawy. Przełęcki przypisuje Tadeuszowi Kotarbińskiemu dwa twierdzenia: „Tylko przedmioty spostrzegalne są poznawalne” i „Tylko rzeczy są spostrzegalne”. Mają one dla Autora *Elementów* stanowić uzasadnienie tezy „Tylko rzeczy są poznawalne”, która jest – jak pamiętamy –



pierwszą przesłanką sylogizmu sformułowanego przez Przełęckiego, nie zaś przez Tadeusza Kotarbińskiego. W *Argumentacji reisty* tezę tę opatrzone wprawdzie komentarzem, iż „(ową spostrzegalność ujmuje bardzo szeroko, utożsamiając ją z czysto logiczną możliwością spostrzeżenia)”, niemniej jednak uznano za „wyraszczonego stanowiska teoriopoznawczego, będącego swoistą odmianą sensualizmu” (Przełęcki, 1984, s. 10). Moim zdaniem opinia ta jest zbyt radykalna. Ani to, co Tadeusz Kotarbiński pisze we fragmencie *Elementów* ze strony 507, zacytowanym wyżej, ani jego przytoczone słowa ze strony 511 nie w pełni potwierdzają powyższą opinię Przełęckiego, że Kotarbiński był sensualistą, jeśli – za *Elementami* – słowo „sensualizm” będziemy rozumieć w następujący sposób:

Sensualizmem [...] przyjęto nazywać doktrynę, wedle której wszelkie postrzeganie sprowadza się do zewnętrznego [...], wszelkie treści wyobrażeń spostrzegawczych są wzrokowe, słuchowe itp., czyli należą do zmysłów, przy których pomocy postrzega się zjawiska fizyczne. Locke, który nie jest sensualistą, mniema, że postrzegamy dwoma sposobami, drogą [...], [która odpowiada] doświadczeniu zewnętrznemu, i drogą [która odpowiada] doświadczeniu wewnętrznemu [...]. Sensualistą był natomiast np. Condillac [...]. (Kotarbiński, 1961, s. 400)

Możliwe, że *Argumentacja reisty* posługuje się inną niż *Elementy* definicją sensualizmu. Kotarbiński uważał, że poznajemy nie tylko drogą ekstraspekcji, ale także introspekcji. Co prawda, próbował poznanie psychologiczne zredukować do ekstraspekcji. Do tematu poglądów Autora *Elementów* na introspekcję oraz inne zagadnienia teorii poznania i psychologii wróć jeszcze w części swych własnych uwag poświęconej realizmowi radykalnemu. Natomiast w tym miejscu ograniczę się do zreferowania niektórych spostrzeżeń Mariana Przełęckiego w tej sprawie.

Jak wiadomo, według tezy realizmu radykalnego nie istnieją treści wyobrażeń. Przełęcki utożsamia je z przedmiotami immanentnymi, ja zaś odróżniam je od drugich, myślę bowiem, że przedmiotem wyobrażenia genetycznie wytwórczego jest np. taka postać fikcyjna jak Wołodyjowski, podczas gdy na treść tego wyobrażenia składają się własności owego bohatera, m.in. ta, że jest małego wzrostu. Oczywiście z punktu widzenia reizmu nie istnieją ani treści wyobrażeń wytwórczych, ani przedmioty tego rodzaju wyobrażeń. Ani jedno, ani drugie nie są rzeczami. Zdaniem Autora *Argumentacji reisty* podział na rzeczy, czyli przedmioty będące gdzieś, kiedyś i fizykalnie jakies, i nierzeczy nie pokrywa się z podziałem na konkrety i abstrakty, bo

[...] abstrakty to przedmioty, którym w ontologii teoriomnogościowej odpowiada zbiorów. Są to więc przedmioty, które ani nie są kiedyś, ani nie są gdzieś, ani nie są fizykalnie jakies. Przeciwstawić im można konkrety jako przedmioty, którym przysługuje co najmniej jedna z owych charakterystyk. Treści wyobrażeń, nie będąc rzeczami (bo nie są ani gdzieś, ani fizykalnie jakies), są konkretami, a nie abstraktami (bo są kiedyś). Gdyby przyjąć takie pojęcie konkretności, a nie utożsamiać go, jak to czyni twórca reizmu, z pojęciem rzeczy, teza konkretyzmu głosząca, że

istnieją tylko konkrety, byłaby tezą słabszą od tezy reizmu. W tej sytuacji teza realizmu radykalnego, będąc konsekwencją tezy reizmu, nie byłaby konsekwencją tezy konkretyzmu, stanowiłaby w stosunku do tej ostatniej założenie dodatkowe [...]. Jako pogląd odrębny od poglądu konkretyzmu wymagałby on wtedy odrębnego uzasadnienia [...]. (Przełęcki, 1984, s. 18)

Za takie uzasadnienie Przełęcki uważa eksplikację zdania „*B* jest bezpośrednio dane osobie *A*” przyjętą przez Kotarbińskiego, mianowicie jako zdania „osoba *a* spostrzega *B*” i za przedmioty spostrzegania uznanie tego tylko, co oddziałuje na nasze narządy zmysłowe, a więc – rzeczy. Intrygujący jest dla mnie ten punkt powyższego wywodu, w którym *Argumentacja reisty* toleruje charakterystykę konkrety jako przedmiotu, któremu przysługuje co najmniej jedna z własności przypisywanych rzeczy: że jest gdzieś, kiedyś i fizycznie jakaś. W szczególności koncepcja czegoś takiego, co – wbrew nierozzerwalności więzi przestrzenno-czasowej – wystąpiłoby kiedyś, ale nie zarazem gdzieś, jest mi tak obca, że aż niezrozumiała. W konsekwencji trudno by mi było przystać na to, że treści wyobrażeń, choć nie są rzeczami, są jednak konkretami, bo są kiedyś. Co się tu ma na myśli: czy dlatego są kiedyś, że występują wtedy, gdy Jan wyobraża sobie to a to? Jeśli tak, to są także zlokalizowane przestrzennie: nie obejdą się bez Jana, nie wystąpią w innym miejscu niż tam, gdzie i on się znajduje. Akt wytwórczego wyobrażania sobie czegoś dokonywany w określonej chwili przez Jana występuje tam i wtedy, gdzie i kiedy jest oraz działa jego sprawca. A zatem nie niepokoi mnie to, że teza konkretyzmu wydaje się jakoby słabsza od tezy reizmu.

W czwartym rozdziale Przełęcki rozważa, czy którąkolwiek z tez reistycznych można uznać za dostatecznie uzasadnioną. Ogranicza się do tezy semantycznej, jako – jego zdaniem – podstawowej pod względem metodologicznym. Wskazuje, że zarówno w sformułowaniu TSsz, jak w postaci TSpz zdanie (Wszelkie sensowne (resp. prawdziwe) zdanie niereistyczne jest przekładalne na pewne zdanie reistyczne) zawiera dwa kwantyfikatory, ogólny i szczegółowy, a w wersji Ajdukiewiczowskiej TSA<sub>sz</sub>, zawierającej dodatek („przy wszelkiej dopuszczalnej precyzacji języka *J*”) – oprócz nich jeszcze jeden szczegółowy. Takich zaś twierdzeń nie można w sposób konkluzywny udowodnić ani obalić za pomocą skończonej liczby przykładów, a reista to właśnie usiłuje czynić. Jego próby okazania przekładalności pewnych zdań na język reistyczny Autor ocenia jako udane, co jednak nie dotyczy reistycznej parafrazy zdań matematycznych. Zgadzam się z tą oceną. Czy natomiast bez zastrzeżeń i w całej rozciągłości zgadzam się z Przełęckim, gdy nie tylko twierdzi, że wskutek tych niepowodzeń uzasadnienie semantycznej tezy reizmu jest „w najlepszym razie uzasadnieniem częściowym”, ale w dodatku „pozwala jej przypisać niewielki stosunkowo stopień pewności”, a nawet, że „w rzeczywistości sytuacja tej tezy przedstawia się gorzej”, bo „są racje przemawiające za jej fałszywością”, a „racjami takimi są właśnie pewne kontrprzykłady z dziedziny matematycznej” (Przełęcki, 1984, s. 12)? Otóż owszem, przyznaję, że uzasadnienie semantycznej tezy reizmu jest częściowe, nie zaś całkowite. Dodatek wyrażony słowami „pozwala jej przypisać

niewielki stosunkowo stopień pewności” uzupełniłbym słowami w rodzaju „jeśli obstajemy przy utrzymaniu obecnego zakresu jej zastosowań”. Wniosek „są raczej przemawiające za jej fałszywością” opatrzyłbym słowami: „w odniesieniu do zdań matematycznych”.

Przypuszczam, że Marian Przełęcki nie oponowałby przeciw takim modyfikacjom. Chyba również Janina Kotarbińska by przeciw nim nie protestowała. W każdym razie w podobnym kierunku zmierzają propozycje rozwiązań, które *Argumentacja reisty* przedstawia w drugiej części rozdziału IV:

1) [...] [TS] [...] wzięta w całej ogólności jest tezą fałszywą, [ale] jest to teza prawdziwa w pewnym zakresie ograniczonym, i [możemy] dążyć do wyraźnego sformułowania tych ograniczeń tak, aby tezie w ten sposób osłabionej zapewnić prawdziwość.

2) Prawdziwość tezie semantycznej zapewnić również możemy [...] przez traktowanie tej tezy jako definicji występującego w niej pojęcia sensowności [...]. Wówczas zdanie nieprzekładalne na język reistyczny byłoby na mocy definicji zdaniem niesensownym [...]. Sensowność, o którą tu chodzi, to nie sensowność czysto syntaktyczna, lecz semantyczna lub może raczej filozoficzna. Poprawne gramatycznie zdania niereistyczne nie posiadające parafraz reistycznych byłyby sensowne tylko syntaktycznie, ale nie semantycznie, i jako takie pozbawione by były klasycznie rozumianych własności prawdy i fałszu [...]. Wartość poznawczą ma tylko baza empiryczna nauki, utożsamiana tu z bazą reistyczną.

3) Można traktować postulowaną w [TS] przekładalność na język reistyczny nie jako warunek sensowności czy prawdziwości, ale [...] jako kryterium określonego „zaangażowania ontologicznego” [...]. Reizm w takim ujęciu pojmowany być może jako program [...] okazania przekładalności na język reistyczny tego wszystkiego, co się przełożyć da (i tak też pojmował go jego twórca w końcowej „fazie rozwojowej”). Tylko próby realizacji tego programu ustalić mogą granice owego „minimalistycznego” zaangażowania ontologicznego. (Przełęcki, 1984, s. 13–14)

Wszystkie trzy rozwiązania zasługują moim zdaniem na przyjęcie. Zresztą nie widzę takich niezgodności między tymi propozycjami, które by uniemożliwiały ich łączną akceptację. Przeciwnie, gdyby przyjęć pierwsze rozwiązanie, za czym się opowiadam – może po części dlatego, że do niego przywykłem, bo od kilkudziesięciu lat je stosuję – to wówczas sama by się rozwiązała kwestia poruszona przez Przełęckiego w powyższym punkcie (2). Występuje w nim m.in. uwaga:

[...] zdanie nieprzekładalne na język reistyczny byłoby na mocy definicji zdaniem niesensownym [...]. Sensowność, o którą tu chodzi, to nie sensowność czysto syntaktyczna, lecz semantyczna lub może raczej filozoficzna.

Zwracam uwagę na słowo „niesensowny”. Coś widocznie Autora powstrzymało przed użyciem wyrazów „bezsensowny” lub „nonsensowny”, zwykle spotykanych w takich razach. Słusznie sięgnął po neologizm terminologiczny. Nonsens jako pomieszenie kategorii wyłącznie syntaktycznych jest niemożliwy

w tekstach języka naturalnego. Gdy pseudo-zdanie „Albo jest trzymajcie” podaję jako przykład nonsensu polegającego na bezładzie wyłącznie syntaktycznym, to nie czynię nic więcej, jak tylko wydobywam na plan pierwszy syntaktyczne własności tego szeregu wyrazów, nie powiązanych jeden z drugim, a stronę semantyczną i pragmatyczną każdego z nich pomijam. Natomiast każdy ze składników tej trójwyrazowej całości, a także ona, ma komplet cech semiozycznych, a więc nie tylko syntaktyczne, ale i semantyczne oraz pragmatyczne. To właśnie kierując się znaczeniem każdego z użytych wyrazów, a więc cechą semantyczną, ustawiłem je w szeregu, tworząc niespójną całość. Nie dlatego jest ona niespójna, że wyłącznie kształt, a więc własność formalna powyższych słów, zdyskwalifikowała tę ich trójkę jako kandydatów do utworzenia sensownego zdania. Przyпускаjąc, że to właśnie miał na myśli Przełęcki, gdy napisał, że chodzi mu o sensowność filozoficzną. Husserl używał terminów „kategoria znaczeniowa” i „kategoria semantyczna”; drugi wyraz w tym zwrocie występował w szerszym sensie, odpowiadającym słowu „semiotyczny”. Gdy Kazimierz Ajdukiewicz pisze, iż pojęcie, jakie Husserl wiązał z terminem „kategoria semantyczna”, odpowiadałoby lepiej terminowi „kategoria składniowa” (Ajdukiewicz, 1965b, s. 350), ma – jak przypuszczam – na myśli, że bezładem semiotycznym, powstałym np. na skutek umieszczenia przyimków na miejscach przeznaczonych dla podmiotu gramatycznego i orzeczenia gramatycznego zajmuje się zwyczajowo składnia. Warto jednak zwrócić uwagę na to, że nawet w nazwach takich części mowy jak „rzeczownik” tkwi m.in. diagnoza znaczeniowa, „słowo oznaczające rzecz”, czyli semantyczna w węższym sensie.

W trzeciej ze swych propozycji Przełęcki wymienia „zaangażowanie ontologiczne” (z angielskiego *ontological commitment*). Termin ten, mający niepełnie sprecyzowane znaczenie, jest zabarwiony pragmatycznie, gdyż nasuwa myśl o naszej postawie czy nastawieniu w stosunku do treści wypowiedzi lub do których poglądów. Ontologiczne zamierzenia reisty nie pozostawiają wątpliwości: jego program przewiduje intelektualne obcowanie wyłącznie z konkretnymi, cielesnymi rzeczami.

Od dzieciństwa przywykłem do tego, że na ogół moje poglądy na większość spraw są albo takie same jak Mariana Przełęckiego, albo przynajmniej podobne do Jego zapatrywań. Traktuję to więc jako naturalny stan rzeczy, nie wymagający zastanowienia. Może dlatego, gdy niekiedy nasze opinie w jakiejś sprawie się różnią, wywołuje to pewne moje zaskoczenie i zadaję sobie pytanie, jakie może być źródło owej różnicy. Podczas lektury *Argumentacji reisty* kilkakrotnie tego doświadczyłem i jak zwykle starałem się dociec źródła niezgodności. Oto jedno z możliwych wyjaśnień.

Janina Kotarbińska w swej rozprawie *Spór o granice stosowalności metod logicznych* (1971b) opisuje i analizuje dwa stanowiska w obrębie filozofii analitycznej: rekonstrukcjonistów i deskryptywistów. Rekonstrukcjonista – zdaniem Autorki – traktuje analizę językową jako „metodę doskonalenia języka pod względem walorów logicznych” i w tym celu wyjaśnia i za pomocą definicji precyzuje znaczenia analizowanych terminów; interpretując zdania, stara się

sprowadzić je do postaci wypowiedzi zbudowanych według schematów zdaniowych logiki formalnej; rekonstruując rozumowania, usiłuje ukazać w nich zachodzenie wynikania logicznego między przesłankami a konkluzją; wreszcie, analizując teorie, dąży do budowania systemów czysto formalnych, odwzorowujących logiczną strukturę badanej teorii (Kotarbińska, 1971b, s. 216). Natomiast deskrytywista – za Ludwigiem Wittgensteinem jako autorem *Dociekań filozoficznych* (2004) i tzw. szkołą oksfordzką – twierdzi według Autorki, że metody stosowane przez rekonstruktywistów nie nadają się do analizowania języka naturalnego i zamiast ulepszania go pod względem logicznym proponuje możliwie najwierniejsze opisywanie zastanych własności tego języka i tą drogą badanie faktycznych sposobów jego funkcjonowania (Kotarbińska, 1971b, s. 217).

W związku z rozróżnieniem zarysowanym przez Autorkę przychodzi mi na myśl, że można by też mówić o dwóch typach rekonstrukcji. Ta, której dokonuje Przełęcki, to rekonstrukcja logiczna. Przedstawia się w niej coś, co w rzeczywistości nie zaszło, ale mogłoby, a może nawet powinno by było zajść, gdybyśmy rozumowali ściśle według kanonów logiki. Drugiego typu rekonstrukcja, zasługująca na nazwę faktycznej, to hipoteza na temat *res gestae*, domysły zmierzające do odtworzenia przeszłego przebiegu zdarzeń.

W powyższym wizerunku podejścia deskrytywisty pragnę zwrócić uwagę na zwrot „badanie faktycznych sposobów jego [tj. języka] funkcjonowania” użyty przez Janinę Kotarbińską. Sformułowanie to uwydatnia rolę czynnika pragmatycznego w analizach deskrytywistycznych. I słusznie, bo w podejściu deskrytywistycznym więcej niż w rekonstruktywistycznym miejsca oraz uwagi poświęca się zjawiskom i problemom pragmatycznym. Warto też odnotować, że każdy z tych dwóch portretów przedstawia pewien typ idealny. Trudno byłoby wskazać w rzeczywistości dokładne wcielenie jednego albo drugiego stanowiska. Przeważnie filozof analityczny jest po części rekonstruktywistą, a po części deskrytywistą, tyle że proporcje są w poszczególnych wypadkach różne. W szczególności myślę, że w poglądach Mariana Przełęckiego mniej jest ingrediencji deskrytywistycznych niż w moich. Ale są obecne także i w jego wypowiedziach, czemu daje świadectwo m.in. w swoich artykułach o metaforze albo w uwagach na temat uczuć i na tematy etyczne oraz estetyczne.

U podstaw Ajdukiewiczowskiego odróżnienia reizmu semantycznego od ontologicznego leży przeciwstawienie język – byt. Przeciwstawienie to jest semantyczne, nie zaś semiotyczne. Nie uwzględnia ono pragmatyki. Ta, wprawdzie *incognito* obecna już w czasach starożytnych, choćby w poetyce, retoryce, erystyce i medycynie, a o wiele później w pojęciach *parole* i *langage*, którymi się posługiwał Ferdinand de Saussure w swych wykładach językoznawstwa ogólnego (1906–1913), opublikowanych pośmiertnie (1916) przez jego uczniów na podstawie ich notatek, dopiero w 1938 roku uzyskała formalne prawo obywatelstwa dzięki Charlesowi Morrisowi i Rudolfowi Carnapowi (Morris, 1938). W czasach powstawania idei reizmu, a może i wcześniej, oraz ogłoszenia pierwszego wydania *Elementów* idee pragmatyczne były bliższe Tadeuszowi Kotarbińskiemu, na przykład jako autorowi prakseologicznej książki *Szkice praktyczne*.

*Zagadnienia z filozofii czynu* (1913), aniżeli Kazimierzowi Ajdukiewiczowi, choć i do jego twórczości z czasem utorowały sobie drogę, czego świadectwem *Logika pragmatyczna* (1965e). I na Kotarbińskiego, i na Ajdukiewicza wywarł pod tym względem wpływ nauczyciel ich obu, Kazimierz Twardowski (*O czynnościach i wytworach*, 1912). Kotarbiński nie przeciwstawiał mówienia działaniu, lecz uważał, że mówienie jest jednym z rodzajów działania. Oto między innymi utrzymywał, że uczenie się, nauczanie i wychowywanie – a przecież środki językowe grają w nich tak istotną rolę – polega na przerabianiu tworzywa, w tym wypadku człowieka lub zwierzęcia, z nie wiedzącego, jak jest bądź jak należy działać, na wytwór, tj. istotę, która to wie. Dla Kotarbińskiego język, a zwłaszcza mowa i mówienie, choć nie stosował tego rozróżnienia, są nie tylko narzędziem, ale i narządem. Służą nie tylko do opisywania tego, co robimy, i wyrażania tego, co myślimy, czujemy, co sobie wyobrażamy, ale również do udziału w naszych działaniach. Są ich partnerem, akompaniatorem i współsprawcą, którzy nam przypominają i podpowiadają, co mamy robić, oraz dozoruja przebieg wykonania zadań. Za pomocą mowy działamy w dwojakim sensie: samo mówienie jest działaniem, mianowicie językowym, ale zarazem wspomaga działania pozajęzykowe. Podobnie: sam „język” ciała (choć nie jest to „język” w tym samym sensie jak w zwrocie „język werbalny”) – a także sama „mowa” gestów (choć nie jest to „mowa” w tym samym sensie jak w zwrocie „mowa werbalna”), są rodzajami działania, a zarazem wspomagają mówienie, również będące działaniem. Przy tym język, którym nie tylko mówimy, ale i myślimy oraz działamy, nie jest obleczone w uniform logiczny, jak się kiedyś wyraził Quine, i nie maszeruje w takt bicia werbli: od racji do następstwa, od przesłanki do konkluzji, od tezy do uzasadnienia. Jest chwiejny, co przyznaje Marian Przełęcki, pełen wieloznacznych wyrazów, a z każdym z nich – zgodnie ze spostrzeżeniem Kazimierza Ajdukiewicza – wkracza nowy w sensie logicznym język, pełen wypowiedzi, z których każda występuje w innym kontekście sytuacyjnym i przeważnie coraz to nowym słownym, wskutek czego pojęcie ścisłej równoznaczności nie ma doń zastosowania. Refleksje Tadeusza Kotarbińskiego, nie tylko jako filozofa, ale i jako filologa, dotyczące takiego języka i takiej mowy, przyczyniły się do ukształtowania idei reizmu.

Podobnie jak Marianowi Przełęckiemu, mnie także wydaje się

[z]agadkowy i frapujący problem ogólny [...]: jaki jest sposób uzasadniania tez filozoficznych, w szczególności [...] tez ontologicznych? I jaki jest [...] charakter metodologiczny takich tez. Czy sposób ich uzasadniania nie wykracza poza metody stosowane w nauce? (Przełęcki, 1984, s. 5)

Według mnie w rozmyślaniach nad bytem najczęściej nie tylko rozum bierze udział: także uczucia, wyobrażenia i wola. Oto na przykład nierzadko indywidualny instynkt samozachowawczy oraz instynkt zachowania gatunku, jak również związany z nimi strach przed unicestwieniem, wspólne wszelkim stworzeniom, splatają się z uczuciami religijnymi oraz zrodzonymi z nich poglądami i ludzie o pewnego typu konstytucji psychicznej naginają do tego zespołu nastawień

swoje sądy ontologiczne, także te oparte na innej podstawie, na doświadczeniu oraz krytycznym rozumowaniu, i snują marzenia lub fantazjują na temat wiecznego trwania swego, swoich bliskich, życia i całego świata. Inni znów lub ci sami opierają się na tym, co wielokrotnie spostrzegali: że każdy wytwór i utwór ma swego osobowego sprawcę, istotę doznającą, ludzką lub zwierzęcą. Rozumując przez analogię, dochodzą do wniosku, że i wszechświat, i jego mieszkańcy, i wszelkie jego składniki muszą mieć swojego autora, który wszystko powołał do istnienia, otacza opieką, nagradza lub karze, czuwa nad postępowaniem albo funkcjonowaniem każdej istoty, całość tę reguluje, konserwuje i w razie potrzeby naprawia. Taka wiara zaspokaja potrzeby psychiczne wielu ludzi, oni więc prze-ważnie ją w sobie pielęgnują, podtrzymują, wzmagają i spieszą jej z pomocą, aby zwyciężała, gdy dochodzi do sprzeczności między tym, co dyktują im zmysły i rozum, a tym, czego domagają się ich uczucia i pragnienia. W tym konflikcie między podpowiedziami doświadczenia i rozumu a głosem uczucia i wyobraźni, występującym w rozważaniach ontologicznych, sytuacja reizmu ontologicznego, konkretyzmu, pansomatyizmu, w niejednym wypadku bywa trudniejsza od sytuacji poglądów przeciwników, bo za jedyny oręż dopuszczalny w starciu merytorycznym reista-pansomatysta uważa argumenty racjonalne, a te okazują się nieskuteczne względem uczuć, wiary i wyobraźni oponentów. Niejeden spośród nich, choć uprawia dziedzinę empiryczną czy eksperymentalną, jak inżynier lub biolog, który choć przecież ma do czynienia wyłącznie z przedmiotami cielesnymi, jednak wbrew swym codziennym doświadczeniom wybiera irracjonalny pogląd na świat, a niejeden zawodowy kosmolog, postawiony przed wyborem między wynikami swych badań naukowych a wierzeniami, zajmuje przednaukowe stanowisko kosmogoniczne. Prowadzą wtedy „podwójną buchalterię”, jedną w pracy, drugą w domu, zwłaszcza w dni świąteczne, ci w niedziele, owi w piątki, a tamci w soboty. Z myślą o takich między innymi faktach jestem skłonny powtarzać, że *homo est animal irrationale* bardziej nieraz niż *rationale*. Bo mimo oczywistych różnic zarówno on, jak jego „młodszy bracia” – a właściwie starsi bracia – to *animalia*, istoty, które mają *anima*, czyli duszę, a więc, póki żyją, doznają, między innymi uczuć. I uczuciom nieraz ulegają.

Traktuję tę uwagę jako opartą na własnym i cudzym wieloletnim doświadczeniu złożonym z obserwacji przeżyć wielu osób: często w namyśle nad zagadnieniami ontologicznymi dostrzegamy ingerencję uczuć, wyobrażeń i woli, co czyni zeń tzw. *wishful thinking*. Natomiast nie odnoszę tych słów do drogi myślowej przemierzonej przez autora *Elementów*. Jak wiadomo, konsekwentny antyirracjonalizm i krytycyzm, jedno i drugie osiągnięte bodajże wbrew skłonnościom jego własnej osobowości, odróżniają myśl ontologiczną Tadeusza Kotarbińskiego od refleksji ontologicznych wielu innych ludzi, niekoniecznie filozofów. Za swój konkretyzm-pansomatyizm, realizm radykalny, realizm praktyczny i etykę uniezależnioną od wierzeń wpajanych przez rodzinę i żywych w tradycjach domowych płacił wysoką cenę, bo jego wrażliwemu sercu bliskie były emocjonalne pierwiastki religii lat własnego dzieciństwa, a zmysł arty-

styczny, przejawiający się w uzdolnieniach plastycznych i poetyckich, silnie reagował na estetyczną stronę obrzędowości i obyczajów.

Tyle moich notatek na marginesach *Argumentacji reisty* Mariana Przełęckiego.

Nie mogę nie przytoczyć końcowych słów tej znakomitej rozprawy. Nie tylko dlatego, że należy do klasyki filozofii polskiej, ale i dlatego, że wyraża wspólne – jestem o tym przekonany – myśli i uczucia osób, których pamięci te uwagi poświęcam, i moje własne:

Nie ulega dla mnie wątpliwości – pisze Marian Przełęcki – że najdonioślejszym rezultatem osiągniętym w tej dziedzinie jest dokonana przez samego twórcę reizmu i zawarta w jego dziełach reistyczna parafraza podstawowych problemów i twierdzeń takich fundamentalnych teorii filozoficznych, jak teoria języka, poznania i nauki. Mimo nieuniknionej szkieletowości jest to parafraza niezmiernie wnikliwa i głęboka, konsekwentna i jednolita [...]. W rezultacie umożliwia przedstawienie owych teorii filozoficznych z rzadko spotykaną jasnością, precyzją i prostotą. Toteż jakiegokolwiek by były dalsze losy programu reistycznego, reistyczna filozofia języka, poznania i nauki pozostanie osiągnięciem trwałym i imponującym – zasługującym na najwyższą uwagę i uznanie. (Przełęcki, 1984, s. 14)

### 3. REIZM UMIARKOWANY

#### 3.1. Umiarkowany reista

Podpisałem się słowami „zwolennik umiarkowanego reizmu”. Wypada więc wyjaśnić, co rozumiem przez „umiarkowany” reizm. Ten reizm, który jego twórca, Tadeusz Kotarbiński, pierwotnie wywodził ze swej własnej, ale i z powszechnej praktyki, zarówno poznawania świata, jak mówienia oraz innych rodzajów działania, reizm zatem wprawdzie w sformułowaniach radykalny i nie zawsze oględny, jeszcze nie utemperowany pod wpływem krytycznych uwag w recenzji Kazimierza Ajdukiewicza, więc nie w pełni dostosowany do potrzeb nauk formalnych, ale jakże pożyteczny w naukach empirycznych, filozofii, nauczaniu i w codziennym życiu.

Z siłą oczywistości przemówiły do mnie od pierwszej chwili wyniki całego dotychczasowego doświadczenia każdego nie filozofującego człowieka: że wszystko, z czym się stykamy, to rzeczy, ożywione albo nie ożywione, doznające albo nie doznające, osobne albo różnorako ze sobą połączone lub tak czy inaczej mające się do siebie. Oraz że o czymkolwiek mówimy, odnosi się to faktycznie do jakichś rzeczy. A nawet i wtedy, gdy myśląc, mówiąc czy pisząc żadnej konkretnej rzeczy nie wymieniamy, lecz na pozór cokolwiek innego, jak choćby ten czy ów fikcyjny przedmiot, któremu wyobraźnia nadała rzeczywiste kształty i barwy, albo innym razem – abstrakcję, wytwór mojego lub czyjegoś umysłu, zawsze nasza wypowiedź ma charakter przenośni, która po należytych rozszyfrowaniu doprowadza do orzeczenia o pewnej rzeczy lub o pewnych rzeczach. Choć więc mowa stwarza pokusy, by sięgać po nazwy pozorne lub puste, bo ich użycie pozwala na obrazowe przedstawienie sprawy lub zwięźlejsze jej ujęcie,



krytycyzm powinien skutecznie nas bronić przed zaludnieniem świata hipostazami i chwytnością za ster „duchami przepelnionej łodzi”. Z drugiej jednak strony zdrowy rozsądek wstrzymuje przed całkowitym unikaniem metaforycznego wysłowienia tego, co mamy na myśli, z wyjątkiem ostatecznych wniosków i twierdzeń kluczowych dla naszych rozważań. Korzystanie z przenośni bywa dogodne, bo nieraz krótsze i bardziej wyraziste. Słowem, w językach nauk przenośna ma uprawnienia do zameldowania na pobyt czasowy, a nie stały, i jako udogodnienie, a nie wykręt.

Uważam się za umiarkowanego reistę. Ten usiłuje postępować według rad Tadeusza Kotarbińskiego jako rzeczownika realizmu praktycznego. Realista praktyczny, zwolennik zdrowego rozsądku i przezorności „[...] patrzy trzeźwo na świat, bierze za punkt wyjścia to, co teraz istnieje, respektuje warunki i granice możliwości, wreszcie trafnie ustala hierarchię ważności względów przy wyznaczaniu dyrektyw czynów i planów konkretnych” (Kotarbiński, 1957a).

Jako kontrastowo różną od wyżej opisanej Autor wymienia postawę fantasty, człowieka „kaprysu, naiwnego marzyciela, utopisty, irracjonalisty-ryzykanta, który wzywa, by mierzyć siły na zamiary”, a to jego wezwanie jest nierozsądną zachętą, by „z motyką porywać się na słońce”, nie zaś słusznym i godnym odpowiedzi apelem, by – według słów Kotarbińskiego – „zwalczać małostkowość w ocenie własnych możliwości, tylko przez próbę czynu dających się wyznaczyć” oraz by nie unikać „spraw wymagających pełni wysiłku”. Etyczno-prakseologiczną stronę tego poglądu przypomniałem wyżej, pisząc o Andrzeju Grzegorzycy. Inną myśl takiego realizmu, ludową, z lekką zabarwioną – jeśli nie oportunizmem, to konformizmem – zawiera anegdota, którą mi opowiedział ojciec mego szkolnego kolegi, Feliks Gwiżdż, autor tekstu legionowej piosenki *Przybyli ulani pod okienko*, przed II wojną światową senator „pańskiej” Rzeczypospolitej Polskiej, w początkach wyzwolonej Polski Ludowej zamęczony przez UB w warszawskich kazamatach, a z urodzenia góral z Białego Dunajca. Oto stary gazda wyprawia syna na „nauki” do miasta i daje mu następującą radę: „Na przodek się nie pchoj, w zadku nie łostowej, śródka tyz się trzymać nie musis. Cicho siedź, swoje myślij, a sakiewke z dudkami zawse za pazuchom miej”. Podobne życiowe prawdy można znaleźć w przysłowiu „Lepsze jest wrogiem dobrego” i „Tak krawiec kraje, jak mu materii staje”, a Horacy wyraża je w wierszach zachwalających *aurea mediocritas* albo poprzestawanie na małym *parva seges satis est*.

Tadeusz Kotarbiński przedstawił swoje, realisty praktycznego, zapatrywania także mową wiązaną: „Miał śledzić słońce obroty wolę użyć źrenic / Do mikrokontemplacji przyziemnych gąsienic” oraz „Nieosiągalnych, człeczku, poniechaj zamierzeń / Sięgaj po to, co możesz mieć. Nie sięgaj szerzej” (1966, s. 66 i 78). Co zatem – jako zwolennik umiarkowanego reizmu – odważyłbym się zaproponować Twórcy tej doktryny, ośmielony faktem, że Autor ten nie darmo przecież napisał *Humanistykę bez hipostaz*, a nie „naukę bez hipostaz” ani zwłaszcza „matematykę bez hipostaz”? Przez „humanistykę” zaś rozumiał to, co później rozparcelowano, różniąc „nauki humanistyczne” – wolałbym „dyscypliny

humanistyczne” – i „nauki społeczne”. Ale zapewne nie uzyskałbym zgody Tadeusza Kotarbińskiego, gdyż pomysł zwykle się dopomina jak najszerzego urzeczywistnienia idei, którą niesie. A więc w sferze pragnień i oczekiwań ojciec tej idei staje po stronie maksymalizmu, ja zaś opowiadam się w tym wypadku za trwaniem przy minimalizmie projektów, którego *Elementy* uczą i który głoszą. Będąc wychowankiem reizmu, nie mogę się uwolnić od wrażenia, że przypomniane wyżej spostrzeżenia krytyczne na temat podstawowych myśli tej doktryny, wytknięte jej niedociągnięcia i wysunięte przeciw niej zarzuty, choć subtelne, wnikliwe i trafne, nie zagrażają konkretyzmowi w tym zakresie, w którym z tych poglądów czerpie ktoś, kto – tak jak ja – uprawia nie matematykę, lecz filozofię języka, nauki o poznaniu oraz filozofię dyscyplin empirycznych, a w dodatku ma predylekcję do tzw. małej filozofii i obcy mu jest maksymalizm i radykalizm w zakresie zapatrywań, pragnień i dążeń. Pamiętając o przestrzeganiu zasady *meden agan*, niczego nazbyt wiele, wszystko w miarę, realizm praktyczny pozwala mi korzystać z dobrodziejstw, którymi mnie reizm obdarza.

W *Elementach* termin „reizm” pojawił się po raz pierwszy w związku z uwagami ich Autora na temat odróżnienia w obrębie kategorii rzeczy. Pochodzi ono od Arystotelesa, który tzw. rzeczy pierwsze przeciwstawił rzeczom wtórnym. Niektórzy następcy Stagiryty kontynuowali to przeciwstawienie. Tadeusz Kotarbiński natomiast zaniechał tego odróżnienia, uznawszy, że tylko takie przedmioty istnieją, które występują w określonym czasie i miejscu oraz są takie a takie pod względem fizycznym, a zatem mogą jako bodźce oddziaływać na zmysły:

Owe rzeczy wtóre, powszechniki, przede wszystkim padają ofiarą rugującej analizy nominalizmu [...]. Rzeczy pierwsze natomiast, rzeczy w znaczeniu naczelnym, a dla nas po prostu rzeczy, wprost przeciwne przechodzą koleje. Cała bowiem redukcja kategorii [...] odbywa się na ich korzyść. Po dokonaniu tej redukcji okazuje się, że tylko ta jedna pozostaje kategoria przedmiotów, czyli że nie ma innych przedmiotów oprócz rzeczy, inaczej – każdy przedmiot jest rzeczą, cokolwiek jest, jest rzeczą. Gdy powiedzenia metaforyczne, skrótowe, obrazowe, w ogóle zastępcze, wyrugujemy przy pomocy zdań ostatecznych, rozumianych literalnie, nie będzie w nich już innych zwrotów, które by były z pozoru nazwami czego innego niż rzeczy. Będą to zdania o rzeczach wyłącznie. Ale tu trzeba wyraźnie podkreślić, że przez rzecz nie rozumiemy wyłącznie bryły martwej. Owszem, rzeczy bywają zarówno martwe, jak ożywione, zarówno bezduszne, jak „obdarzone życiem psychicznym”, zarówno więc rzeczy w węższym rozumieniu tego słowa, jak osoby. Tyle o redukcji kategorii przedmiotów do kategorii rzeczy. Stanowisko zwolenników takiej redukcji można by nazwać reizmem. (Kotarbiński, 1961, s. 25)

Jak widać, w powyższym urywku, powstałym przed opublikowaniem recenzji Kazimierza Ajdukiewicza, przeplatają się wprawdzie wątki semantyczne i ontologiczne, ale miano „reizmu” otrzymało stanowisko ontologiczne.

### 3.2. Reizm semiotyczny

#### 3.2.1. Semiotyczne kategorie wyrażen.

Realizm praktyczny obfituje w elementy pragmatyczne. Z postawy pragmatycznej wypływa dążenie, aby z języka, którym się posługujemy, uczynić narzędzie możliwie najsprawniejsze i przydatne do spełniania jak największej liczby różnorodnych funkcji. Kierując się tym dążeniem, dokonuję wyboru w kilku istotnych sprawach.

Pierwszą z nich jest decyzja w kwestii, którą podniósł m.in. Kazimierz Ajdukiewicz, a następnie Janina Kotarbińska: jedna kategoria wyrażen, zwłaszcza nominalnych, czy wielopiętrowy ich system. Tu istotny dodatek: mam na myśli kategorie semiotyczne, czyli syntaktyczno-semantyczno-pragmatyczne, nie tylko zaś syntaktyczne. Każdy bowiem wyraz, każde wyrażenie i każda wypowiedź języka etnicznego, zwanego też „językiem naturalnym”, czyli „ogólnym”, języka, w którym formułujemy mowę jako środek porozumiewania się oraz wyrażania myśli i uczuć, a także środek opisu, oceny i normowania wszelkich rzeczy, zdarzeń i zjawisk, każdy z tych znaków ma charakter semiozyczny, a zatem język ich opisu ma naturę semiotyczną, trójskładnikową. Wybieram system wielopiętrowy, bo wydaje mi się od jednopiętrowego bardziej uniwersalny. System taki można dostosować do potrzeb reisty. W tym celu wystarczy najniższe piętro gmachu zasiedlić wyłącznie – spośród nazw – nazwami empirycznie (w czasie  $t$ ) istniejących rzeczy, co pozwoli zbudować język reistyczny, dostosowany do formułowania twierdzeń ontologii konkretystycznej, czyli pansomatycznej. Na wyższych zaś piętrach, których liczba jest dowolna, a na które reista-pansomatysta może nie zaglądać, jeśli nie zechce, język taki nadaje się do wyrażania zapatrywań niereistycznych, m.in. do uprawiania teorii mnogości, matematyki, logik różnego rodzaju, filozofii idealistycznej, twórczości literackiej kreującej byty fikcyjne, mitologii oraz pewnych działów teologii, a także do mnożenia hipostaz, ile tylko ich dusza zapragnie, jak również do uznawania metafor i personifikacji za sformułowania ostateczne i o tyle niezbędne, że bez nich niektóre dziedziny lub dyscypliny byłyby bezradne, bo wyrzekłszy się przywdziewania maski przenośni, musiałyby zamilknąć. Przy tym taka struktura wielopiętrowa koresponduje z hierarchią metajęzyków i uporządkowaniem proponowanym przez teorię typów.

#### 3.2.2. Konkret.

Drugie zadanie to językowy projekt ustawienia mebli w pomieszczeniu na parterze tego domostwa. Mój umiarkowany reizm, w poprzedniej sprawie bardziej liberalny od rdzennego, w obecnej okazuje się bardziej odcinający od rygorystyczny. Wolałbym, aby wyrazy i wyrażenia nominalne, które są niepustymi nazwami korelatów semantycznych (A), czyli przedmiotów znajdujących się gdzieś, kiedyś i jakichś pod względem fizycznym, a zatem przedmiotów cielesnych, ciał

materialnych, zostały zdecydowaną granicą oddzielone od wszelkich innych wyrazów i wyrażeń nominalnych, godzących w pustkę, zarówno więc od tzw. pustych, czyli bezprzedmiotowych nazw korelatów semantycznych (B), tj. takich tworów fikcyjnych, jak np. krasnoludek, chimera, Apollo czy Guliwer, oraz od onomatoidów, czyli nazw pozornych, których korelatami semantycznymi są (C) cechy, stosunki, stany rzeczy, zdarzenia, zjawiska oraz uniwersalia. W moim odczuciu wyrażenie „bezprzedmiotowa nazwa konkretna” jest sprzeczne, bo przez słowo „konkret” rozumiem korelat semantyczny rzetelnej nazwy niepustej, cielesny przedmiot (A), podczas gdy w *Elementach* przez „konkret” rozumiane są zarówno (A), jak (B), jedne i drugie w przeciwieństwie do abstraktów (C). Odróżnienie konkretnych od abstraktów przyjęte przez Tadeusza Kotarbińskiego ma z grubsza charakter psychologiczny i teoretycznopozytywny: granica przebiega między tym, co może być przedmiotem wyobrażenia, także wyobrażania sobie genetycznie wytwórczego, w którym kreujemy byty fikcyjne, nie istniejące w rzeczywistości empirycznej, a tym, co stanowi treść pojęcia abstrakcyjnego; „z grubsza” zaś – dlatego, że takie abstrakty planimetryczne, jak punkt czy linia prosta, jakoś sobie wyobrażamy przedmiotowo, a nawet rysujemy, choć faktycznie ich podobizny są trójwymiarowymi bryłami. Autor wyjaśnia, że takie właśnie rozróżnienie przydaje mu się, gdy porusza pewne zagadnienia filozoficzne. Tymczasem moje odróżnienie tego, co konkretne, od tego, co nie jest konkretnym, opiera się na ontologicznej podstawie pansomatyzmu, czyli konkretyzmu: konkretnym jest dla mnie to, co – według *Elementów* – znajduje się gdzieś, kiedyś i jest jakieś pod względem fizycznym, a więc poszczególne istniejące ciało, a wszystko inne jest niekonkretne, choćby było wyobrażalne jako fikcyjne, nie istniejący empirycznie przedmiot wyobrażenia genetycznie wytwórczego, np. smok wawelski. Zarazem, kierując się wskazaniem realizmu praktycznego, deklaruję, że w razie potrzeby gotów jestem *ad hoc*, a więc w tej a tej sprawie, dla wykonania pewnego zadania teoretycznego, stanąć na chwilę na stanowisku *Elementów* i nazwę „syrena warszawska” potraktować jako bezprzedmiotową nazwę konkretną. Innym zaś razem wyraz „zieleń” – jako nazwę pewnego koloru, „równość” – pewnego stosunku, „spokój” – pewnego stanu, „zmiana” – pewnego zdarzenia, „powszechnik” – pewnego przedmiotu idealnego itd. W takich wypadkach stosuję zwykle termin „miano” dla odróżnienia od nazw rzetelnych. Ale na stałe pragnę mieć oddzielone od siebie: z jednej strony a) rzetelne nazwy istniejących – także kiedyś, jak „mamut” – cielesnych rzeczy, a z drugiej strony b<sub>1</sub>) puste miana niby-ciał występujących nie inaczej jak tylko w roli fikcyjnych przedmiotów wyobrażeń, zwłaszcza genetycznie wytwórczych, np. „centaur”, „Hermes”, „Zagłoba”, oraz różne od nich b<sub>2</sub>) onomatoidy, czyli pseudonazwy, niby-nazwy, a zatem nazwy pozorne, mianowicie:

[...] wszystkie „nazwy własności” (takie jak „biel”, „długość”, „wartość”), [...] „nazwy stosunków” (takie, jak „równość”, „podobieństwo”, „zależność”), [...] „nazwy stanów” (takie, jak „zdenerwowanie”, „agresywność”), [...] „nazwy wrzeń zmysłowych” (takie, jak „melodia”, „zapach”, „odcienie” [w tzw. wewnętrznym postrzeganiu], [...]) nazwy stanów wewnętrznych” (takie, jak „sen”), [...] „nazwy

zdarzeń” (takie, jak „lot”, „operacja”, „proces umysłowy”), [...] „nazwy stanów rzeczy” (takie, jak „sytuacja”, „zakłopotanie”, „fakt, że  $2 \times 2 = 4$ ”, „warunek”), [...] „nazwy środków wyrazu” (takie, jak „znaczenie”, „sens”, „konotacja”), „nazwy wielkości fizycznych” (takie, jak „prędkość”, „przyspieszenie”, „energia”), [...] „nazwy wielkości matematycznych” (takie, jak „klasa”, „liczba”, „funkcja”) i jakiegokolwiek inne nazwy, które nie są nazwami przedmiotów fizycznych, tj. materialnych całości<sup>8</sup>. (Kotarbiński, 1993a, s. 211–212)

Zarówno w *Elementach*, jak w powyższej publikacji z roku 1959, z której pochodzi zacytowany urywek, ich Autor trwał przy poglądzie, że nazwy pozorne, czyli onomatoidy, choć – tak jak nazwy puste – nie oznaczają żadnej rzeczy, jednakże należą do odrębnej kategorii semantycznej w szerszym sensie, a ściślej syntaktycznej, powiedzenia zaś zdaniokształtne, w których są podmiotami grammatycznymi lub orzecznikami, np. „Lenizm jest wadą”, okazują się nonsensowne, także i wtedy, gdy zostały zanegowane, np. „nie istnieją liczby”. Tymczasem nazwy puste, choć nic nie desygnują, wraz z nazwami jednostkowymi oraz ogólnymi zostały dopuszczone do tej samej kategorii nazw.

Idea, by onomatoidy uwolnić od winy za spowodowanie nonsensu jako bezładu syntaktycznego, natomiast obarczyć je, podobnie jak nazwy bezprzedmiotowe, odpowiedzialnością za fałszywość zdań, w których występują na miejscach podmiotu bądź orzecznika, zagościła na krótko w myślach Tadeusza Kotarbińskiego, mianowicie w rozprawie *Zasadnicze myśli pansomatyzmu* (1993b), ogłoszonej w roku 1935, a więc w pięć lat po recenzji *Reizm* Kazimierza Ajdukiewicza i być może pod jej wpływem. Oto w *Zasadniczych myślach pansomatyzmu* ich Autor zwraca uwagę na możliwość dwojakiego rozumienia takich słów, jak „cecha”, „stosunek”, „fakt”:

Bądź rozumie się [takie] słowa jako nazwy właściwe, bądź jako nazwy pozorne. Pierwszy przypadek zachodzi, jeżeli ktoś [...] np. słowo „stosunek” określa tak: „przez stosunek rozumie się coś, czego niepodobna spostrzec zmysłowo, ale co można sobie myślowo przedstawić jako pewne niejako wiązadło między rzeczami, dzięki któremu np. jedna jest większa od drugiej, jedna podobna do drugiej, jedna wpływa na drugą itp.”. Pomijając mętność powyższych określeń, [...] musimy stwierdzić, że tak określone słowa są nazwami właściwymi [i] powiedzenia „istnieją cechy”, [...] „pewne przedmioty są stosunkami” będą zdaniem poprawnie zbudowanymi, sensownymi i podległymi ocenie co do prawdziwości lub fałszywości [...]. Będą to jednak zdania fałszywe, a nazwy „cecha”, „stosunek” będą nazwami bezprzedmiotowymi [...], choć właściwymi. Przy tym więc rozumieniu omawianych terminów twierzymy po prostu, że nie istnieją cechy, stosunki, fakty, utrzymujemy po prostu, że żaden przedmiot nie jest ani cechą, ani stosunkiem, ani faktem. Ale można się też spotkać z innym rozumieniem omawianych terminów. Przy tym rozumieniu powiedzenie „stosunek braterstwa jest symetryczny” jest skrótem zastępczym zdania „jeżeli ktoś jest czymś bratem, to ten drugi ktoś jest

<sup>8</sup> Tekst polski jest rekonstrukcją oryginału, która powstała z przełożenia z powrotem na język polski przekładu angielskiego, dokonanego na podstawie rękopisu lub maszynopisu polskiego; oryginalny tekst polski zaginął.

bratem pierwszego" [...]. Ogólnie, przy tym rozumieniu słowa „cecha”, „stosunek”, „fakt” figurują tylko w zwrotach skrótowo-zastępczych i poza nimi nie mogą być sensownie użyte: w szczególności nonsensem strukturalnym byłaby wszelka wypowiedź, gdzie [...] na miejscu podmiotu lub orzecznika figurowałoby ktoś z tych słów. Nonsensami przeto byłyby powiedzenia „istnieją cechy”, „ pewne przedmioty są stosunkami”, podobnie jak nonsensami są powiedzenia „istnieją wobec”, „ pewne przedmioty są pracuje”. Różnica w tym, że powiedzenia w rodzaju ostatnich są nonsensami jawnymi, ponieważ słowa „wobec” lub „pracuje” nie są nazwami ani nie wyglądają na nazwy, gdy tymczasem słowa „cechy” lub „stosunki”, nie będąc nazwami, wyglądają jednak na nazwy. Są to zatem nie nazwy, lecz onomatoidy [...]. Otóż przy rozumieniu słów „cecha”, „stosunek”, „fakt” jako nazw pozornych „odrzućcie wszelkich powiedzeń implikujących [...], że pewne przedmioty są cechami lub stosunkami, lub faktami” nie polega na uznaniu ich za zdania fałszywe i głoszeniu ich negacji, lecz polega na likwidacji takich powiedzeń przez uznanie ich za zamaskowane nonsensy, czyli za powiedzenia będące z pozoru tylko zdaniami i nie podlegające przeto ocenie jako prawdziwe lub fałszywe. (Kotarbiński, 1993b, s. 140–141)

Opowiadam się za pierwszą interpretacją nazw pozornych, czyli onomatoidów, oraz wypowiedzi, zawierających owe onomatoidy jako składniki, a zatem za interpretacją, którą Tadeusz Kotarbiński odrzucił kilka wierszy dalej, w tym samym swym artykule. Uczynił to, ponieważ uznał, że zwolennicy takiej interpretacji uciekają się do mętnych określeń. Wbrew tej ujemnej ocenie przyznaję, że sam chyba bym w ten właśnie sposób wyjaśnił, jak rozumiem wyraz „stosunek” w wypowiedziach typu „między Janem a Piotrem zachodzi stosunek pokrewieństwa”. Otóż zwróciłbym uwagę na to, że stosunek nie jest żadną rzeczą, żadnym istniejącym przedmiotem materialnym, więc też nie jest postrzegalny za pomocą zmysłów, ale że jest czymś, co można sobie zmysłowo uprzytomnić jako pewnego rodzaju wiązadło, w tym wypadku między ludźmi lub między zwierzętami, a wreszcie, że całe powiedzenie zostało użyte w sposób nie dosłowny, lecz przenośny, i potrafimy je sprowadzić do formy nieprzenośnej, np. „Jan i Piotr są krewnymi”. Sformułowanie wyjściowe uznałby przeto za zastępcze, choć nie skrótowo-zastępcze, skoro okazało się dłuższe od literalnego. Zauważyłbym też, że powyższe wyjaśnienie, powtórzone za podanym przez Tadeusza Kotarbińskiego, nie jest w moim odczuciu bardziej „mętne” niż wersja, również Jego własna, także przenośna, wybrana przezeń dla obrony drugiego rozwiązania, które przyjął jako właściwe, mianowicie:

odrzućcie wszelkich wypowiedzi implikujących, że pewne przedmioty są cechami lub stosunkami, lub faktami, nie polega na uznaniu ich za fałszywe i głoszeniu ich negacji, lecz polega na likwidacji takich powiedzeń przez uznanie ich za zamaskowane nonsensy, czyli za powiedzenia będące z pozoru tylko zdaniami i nie podlegające przeto ocenie jako prawdziwe lub fałszywe. (Kotarbiński, 1993b, s. 141)

Względem tej wersji starałbym się ustalić, czy negacja w języku polskim ma wśród wielu swych funkcji semiotycznych pragmatyczną funkcję miotły do

uprzątnięcia nonsensów. Pytanie to wysunąłbym w związku z przenośnymi słowami Autora „likwidacja takich powiedzeń” za pomocą ich zanegowania. Odpowiedź może pomogłaby ustalić, z jakiego powodu mamy poprawnie zbudowane zdania języka polskiego uznawać za powiedzenia będące z pozoru tylko zdaniami, faktycznie zaś – zamaskowanymi nonsensami.

### 3.2.3. Znaczenia negacji i jej funkcje semiozyczne.

Proponuję odróżnić znaczenia zwrotów zanegowanych od semiozycznych funkcji negacji. Co innego znaczy „nie widzę” niż „nie słyszę”. Znaczenie słowa „nieduży” jest inne niż słowa „niemały”, analogicznie „niedużo” i „niemało”. Różnią się znaczeniem „nieczłowiek” oraz „niepies”, „niesosna” i „niebrzoza”, „nietydzień” i „niemiesiąc”. Na czym innym polegają różnice między semiozycznymi funkcjami, czyli rolami negacji. Negacja obejmująca zdanie służy m.in. do sterowania jego wartością logiczną: ze zdania prawdziwego „Kwiecień ma trzydzieści dni” czyni zdanie fałszywe „Nieprawda, że kwiecień ma trzydzieści dni”, sprzeczne z poprzednim, a ze zdania fałszywego „Jan Sebastian Bach był Szkotem” – zdanie prawdziwe „Nieprawda, że Jan Sebastian Bach był Szkotem”. Z kolei negacja poprzedzająca nazwę służy do sterowania zakresem tej nazwy, co ilustrują przykłady „człowiek” i „nieczłowiek”. Oprócz tych zmian semantycznych negacja wpływa i na pragmatyczne, np. pozwala na przejście od pejoratywnego przyimka lub partykuły „lada” do eufemicznego „nie lada”. Powyższe przykłady zdają się wskazywać na niesamodzielną izolowanej negacji pod wymienionymi względami, a zatem na jej charakter do pewnego stopnia synkategorematyczny. Wystąpienie samego „nie” na ogół nie pociąga za sobą omawianych skutków. Dopiero „nie” wraz z kontekstem słownym lub sytuacyjnym wywołują powyższe następstwa. Gdy np. w głosowaniu oddano kartkę z napisem „nie”, w istocie cała sytuacja zaopatruje tę partykułę nie napisanym ani nie wypowiedzianym uzupełnieniem w rodzaju „zgadzam się” i wraz z nim ta powstała całość, „nie zgadzam się”, zanegowane zdanie, nie zaś wyłącznie owo „nie”, wyraża wolę głosującej osoby. Gdyby temu samemu „nie” towarzyszyło inne zdanie domyślne i powstałaby całość „nie wyobrażam sobie lepszego kandydata”, głos przybrałby charakter entuzjastycznego poparcia.

Zastanowienia wymaga, jakiego rodzaju dodatek do partykuły „nie” byłby potrzebny, aby cały zwrot czy zdanie stały się likwidatorem nonsensu, czyli w tym wypadku bezładu syntaktycznego: „Nie pozwalam!”, „Nie mów tak!”, „Nie popełniaj nonsensu!”. Tymczasem w cytowanych rozważaniach Tadeusza Kotarbińskiego owo „nie” likwidujące nonsens lub odrzucające nonsens ma poprzedzać „wypowiedzi implikujące, że pewne przedmioty są cechami lub stosunkami, lub faktami” bądź powiedzenia „istnieją cechy”, „pewne przedmioty są stosunkami”, uznane przez Autora za nonsensy „podobnie jak nonsensami są powiedzenia «istnieją wobec», «pewne przedmioty są pracuje»”. Bliższa mi jest interpretacja, według której mamy tu „nie” w roli negacji zdania, mianowicie: „nieprawda, że pewne przedmioty są cechami lub stosunkami, lub faktami”, „nie

istnieją cechy”, czyli „nieprawda, że istnieją cechy (będące materialnymi rzeczami)” oraz „nieprawda, że pewne przedmioty (materialne) są stosunkami”.

Aby sprawdzić, czy trafne jest to moje wyczucie, że negacja „nie” dopiero wraz z odpowiednim kontekstem nadaje się w pewnych wypadkach do użycia jako narzędzie eliminujące nonsens, czyli bezład syntaktyczny, przyjrzyjmy się, jak na to patrzą językoznawcy. Oto np. *Inny słownik języka polskiego PWN* wymienia następujące funkcje wyrazu „nie” jako partykuły negacji:

Gdy poprzedza główny składnik zdania lub równoważnika zdania, zmienia jego treść na przeciwną [...]. Gdy poprzedza składnik zdania, zaznacza, że sytuacja opisana w zdaniu nie może mieć miejsca w odniesieniu do osoby, rzeczy, okoliczności itp. wskazanej tym składnikiem [...]. Gdy kontrastujemy dwa stany rzeczy, aby dokładniej wyeksponować jeden z nich [...]. Wyrażeniem „nie..., tylko...” łączymy dwa zdania lub wyrażenia, kiedy chcemy skorygować to, co powiedziane jest w pierwszym z nich, i zastąpić to tym, co powiedziane jest w drugim [...]. Może reprezentować zaprzeczenie poprzedniego zdania, jeśli jest to zdanie pytajne lub oznajmujące, ale nie zaprzeczone [...]. Słowa „nie” używamy w pytaniach, na które spodziewamy się odpowiedzi twierdzącej lub przeczącej [...]. Używamy [go] retorycznie w pytaniach, na które można by odpowiedzieć „tak” lub „nie”, jeśli chcemy podkreślić, że odpowiedź jest zbyteczna, gdyż prawdziwość tego, o czym mowa, jest oczywista [...]. Używamy [„nie”] w zdaniach pytajnych, aby zaznaczyć, że coś powinno być zrobione, albo wyrazić zdziwienie, że nie zostało zrobione [...]. Słowem „nie” poprzedzamy przymiotnik lub przysłówkę w stopniu wyższym, aby wykluczyć wyrażaną przezeń relację między jakimiś osobami, rzeczami, sytuacjami itp. [...]. Poprzedzamy przymiotnik lub przysłówkę w stopniu najwyższym, aby powiedzieć, że dana osoba, rzecz, sytuacja itp. jest całkowicie pozbawiona wymienionej cechy lub że cecha ta przysługuje jej tylko w małym stopniu [...]. Słowo „nie” umieszczamy między dwiema identycznymi formami tego samego wyrazu, gdy nie jesteśmy pewni, czy właściwie charakteryzuje on daną osobę, rzecz lub sytuację, [a także] aby powiedzieć, że niezależnie od tego, czy przekazuje on informację prawdziwą, to prawdą jest to, o czym mówi pozostała część zdania. Mówimy „nie”, aby: odpowiedzieć negatywnie na pytanie, zaprzeczyć temu, co powiedział rozmówca, odrzucić czyjąś propozycję albo odmówić spełnienia czyjejś prośby lub polecenia, sprostować coś [...], wyrazić jakieś emocje, zwykle zdumienie lub wzburzenie czymś, powstrzymać kogoś przed jakimś działaniem. Jeśli na zaprzeczone pytanie, na które można odpowiedzieć twierdząco albo przecząco, odpowiadamy „nie”, to potwierdzamy prawdziwość sądu zawartego w pytaniu [...]. Mówimy „co to, to nie”, stanowczo zaprzeczając czemuś lub odmawiając komuś [...].

Cząstkę „nie-” dodajemy do przymiotników i przysłówków w stopniu równym oraz do [...] rzeczowników, aby utworzyć wyraz o przeciwstawnym znaczeniu [...]. „Nie-” dodajemy też do imiesłowów przymiotnikowych, zwłaszcza gdy używane są przymiotnikowo, a nie czasownikowo [...]. „Nie-” tworzy od czasowników przymiotniki, które wyrażają niemożliwość zrealizowania tego, co nazywa czasownik [...]. „Nie-” tworzy od czasowników nazwy osób lub rzeczy, które nie wykonują lub nie wykonały czynności nazwanej przez czasownik [...]. (Bańko, 2000, s. 975–977)



Jak widać, *Inny słownik języka polskiego PWN* zarejestrował wiele funkcji negacji. Spośród nich interesuje nas zwłaszcza funkcja, a dokładniej funkcje, odrzucania tego, co zostało zanegowane, te bowiem wypadki najbliższe się wiążą z obecnymi rozważaniami. Aby rozstrzygnąć, czy związek taki istotnie zachodzi, należy przyjrzeć się przykładom owego odrzucania. Do pierwszej ich kategorii należą przykłady odrzucania ilustrujące sytuację, w której:

[...] słowem „nie” poprzedzamy przymiotnik lub przysłówek w stopniu wyższym, aby wykluczyć wyrażaną przezeń relację między jakimiś osobami, rzeczami, sytuacjami itp., [mianowicie np.]: „W chwili obecnej rozporządzają już laboratoriami nie gorszymi od naszych”, [...] „Znasz ją nie gorzej ode mnie”, [...] „Wróć nie wcześniej niż w poniedziałek” [...]. (Bańko, 2000, s. 976)

Kolejną kategorię użycia takiej negacji stanowią wypadki, w których posłużono się następującymi zdaniami, aby:

[...] odrzucić czyjąś propozycję albo odmówić spełnienia czyjejś prośby lub polecenia: „Poczęstuj się jeszcze. – Nie, dziękuję”, [...] „Możesz pożyczyć mi ją na parę dni? – Nie, nie mogę”, [...] „No, zgódź się, nie bądź taki. – Nie i już!”, [...] „Nie, drogi panie, do tego mnie pan nie zmusi”. (Bańko, 2000, s. 976)

Wreszcie przykładami użycia negacji, „aby kategorycznie odmówić komuś, nie podając przyczyny”, są: „Mówimy «nie i nie» [lub] «co to, to nie»” (Bańko, 2000, s. 976).

*Słownik języka polskiego* pod redakcją Mieczysława Szymczaka w haśle *negacja* wylicza wśród wielu m.in. jej funkcje: „przeczenie, odrzucenie, negocjowanie”, a w haśle „nie” wymienia użycie tego słowa w roli równoważnika zdania, kiedy wyraża ono odmowę, jako jej przykład zaś podaje: „Wspinać się dalej – nie, to przekracza moje siły” (Szymczak, 1979, s. 320).

Z kolei *Encyklopedia językoznawstwa ogólnego* w haśle *Negacja* autorstwa Stanisława Karolaka, przed laty uczestnika naszych naukowych zebrań semiotycznych, określa tytułowy termin słowami:

Elementarny (niedefiniowalny) predykat wyższego rzędu, (czyli taki, który otwiera pozycję dla argumentu propozycjonalnego), którego treścią jest przekonanie mówiącego o nieistnieniu stanu rzeczy stwierdzonego *explicite* lub suponowanego adresatowi wypowiedzi. Negacja jest zatem składnikiem semantycznej struktury wyrażenia zdaniowego, za pomocą którego mówiący odrzuca wydany uprzednio (lub domyślny) sąd. Zdanie reprezentowane przez to wyrażenie jest sprzeczne z tym, na które stanowi negatywną reakcję.

Negacja może zajmować pozycję w zdaniach o dwóch różnych perspektywach funkcjonalnych [...]. Przy pierwszej z nich pełni ona (samodzielnie) funkcję rematu w zdaniu, którego tematem jest cały uprzednio wydany sąd. Nazwijmy ją negacją rematyczną. Stanowi ona treść takich wyrażań, jak „nieprawda, że...”, „jest fałszem to, że...”, „odrzucam (twierdzenie, sąd, że)”, „zaprzeczam, jakoby...” i in.

Tu należy zapewne zaliczyć także partykułę negatywną poprzedzającą wyrażenie zdaniowe z wewnętrzną negacją, np. „Nie, człowiek nie jest śmiertelny”.

Negacja stanowiąca samodzielny remat może mieć za temat zarówno zdanie twierdzące, jak i przeczące. W tym ostatnim wypadku współwystępują ze sobą dwie negacje, np. „Nieprawda, że Francuzi nie lubią kobiet” [...]. Zdanie przeczące, które jest tematem w przytoczonym przykładzie, zawiera tzw. negację wewnętrzną. Występuje ona wtedy, kiedy tematem jest jeden ze składników wewnętrznej struktury zdania, a rematem jest nie sama negacja, lecz negacja współ z pozostałą częścią zdania. Jej wykładnikami są wtedy wewnątrzzdaniowe partykuły przeczące, w języku polskim „nie”, np. w zdaniu „Andrzej nie jest uprzejmy” tematem jest [...] „Andrzej”, rematem – pozostałe jego składniki. W odróżnieniu od zdań z negacją rematyczną ma ono strukturę typu: co do Andrzeja, to odrzucam sąd: Andrzej jest uprzejmy.

Negacja [...] dzieli się czasami na [...] zdaniową i [...] wyrazową. Podział ten ma charakter formalnosyntaktyczny i nie pokrywa się z podziałem na negację rematyczną i negację wewnętrzną. Za negację zdaniową [...] uważa się na ogół partykułę przeczącą przy orzeczeniu (czasowniku), za [...] wyrazową – partykułę przeczącą przy innej części zdania. W istocie rzeczy różnica między nimi jest związana z różnicą tematów. Tak np. w zdaniu „Janek nie mieszka w Warszawie” tematem jest wyrażenie „Janek”, natomiast w zdaniu „Janek mieszka nie w Warszawie” tematem jest wyrażenie „Janek mieszka”, rematem zaś wyrażenie „nie w Warszawie” [...].

Zdania przeczące z negacją przy wyrażeniu modalnym nie są sprzeczne ze zdaniami twierdzącymi, np. zdanie „Nie wątpię, że Anna popełniła błąd” nie jest odrzuceniem zdania „Wątpię, że Anna popełniła błąd”, czyli nie ma struktury typu: nieprawda, że wątpię, iż Anna popełniła błąd, lecz wyraża pewność co do tego faktu [...]. Zdanie z podwójną negacją, takie jak np. „Nie przypuszczam, żeby Piotr nie przyjechał” jest reakcją na zdanie twierdzące „Piotr przyjechał”, wprawdzie semantycznie inną, ale pod względem typu analogiczną do struktury: nieprawda, że Piotr nie przyjechał. Dowodem odrębności negacji w tych wypadkach jest fakt, że nie zaprzeczone wyrażenie modalne typu „wątpię”, „przypuszczam” itp. wraz ze zdaniem, które implikuje, może być użyte w takiej konstrukcji, w której jest tematem przy negacji rematycznej, np. zdanie „Nie, nie przypuszczam, że przyjedzie” w odpowiedzi na pytanie „Przypuszczasz, że Piotr przyjedzie?” ma sens „Nieprawda, że przypuszczam, iż przyjedzie”, a zatem różni się semantycznie od zdania „Nie przypuszczam, żeby Piotr przyjechał”.

Jeszcze inny status ma negacja stanowiąca wewnętrzny składnik predykatu derywowanego od odpowiedniego predykatu pozytywnego. Zdania z predykatem negatywnym nie są sprzeczne ze zdaniami zawierającymi predykat pozytywny, lecz im przeciwstawne. Tak np. zdania „Janek jest nieuprzejmy”, „Ten człowiek jest niewinny” nie są odrzuceniem zdań o Janku i o tym człowieku, że „Janek jest uprzejmy” i „Ten człowiek jest winny”, lecz orzekają cechę nieuprzejmości i niewinności, które są przeciwstawne cechom orzekanym za pomocą wyrażen „uprzejmy”, „winny”.

Wykładniki negacji bywają morfemicznymi składnikami zaimków i przysłówków przeczących, np. „nikt”, „nic”, „nigdzie” [...]. (Karolak, 1999, s. 389–390)

Słowniki, z których zaczerpnąłem i przytoczyłem informacje na temat negacji, uwzględniły tak wiele jej wystąpień w różnych rolach semiozyicznych i zilustrowały ten materiał tak wielu przykładami, hasło zaś *Negacja w Encyklopedii językoznawstwa ogólnego* zawiera tak wnikliwą interpretację danych, że można przypuszczać, iż moje wyczucie w sprawie działania negacji, nawet negacji opatrzonej kontekstem, jako narzędzia do usuwania bezładu syntaktycznego, nie zostałyby podważone przez jakiś nie uwzględniony przypadek ani nie spotkałoby się ze sprzeciwem ze strony cytowanych językoznawców. Wydaje się, że również pewien szczegół terminologiczny potwierdza moje zapartywania, mianowicie nazwanie wyrazu „nie” w niektórych jego rolach „partykułą negacji”. *Particula* to po łacinie cząstka, nie zaś cały leksem, samowystarczalny pod względem znaczeniowym. Ta właśnie niesamowystarczalność znaczeniowa cząstki „nie” przemawia dodatkowo za poszukiwaniem takiego jej kontekstu, z którym łącznie rugowałaby zdania w rodzaju „nie istnieją cechy, stosunki, stany rzeczy, zdarzenia, znaczenia” jako nonsensy, na równi z takim „albo jest któremu” czy „nie istnieją on wszakże ażeby”. Ja takiego kontekstu nie znalazłem. Między innymi dlatego opowiadałem się za tym, by powiedzenia typu „cechy nie istnieją, czyli nie są rzeczami” uważać nie za nonsensy, lecz za zdania prawdziwe, skoro zdaniem fałszywym jest „cechy istnieją, czyli są rzeczami”. Przypominam, że Tadeusz Kotarbiński w swej rozprawie *Zasadnicze myśli pansomatyzmu* (1993b) taką możliwość brał pod uwagę, ale ją odrzucił. Ja zaś ją wybieram – m.in. dlatego, że kieruję się następującą zasadą, którą sformułuję, naśladując brzytwę Ockhama: *prohibitiones non sunt multiplicandae prater necessitatem* („zakazów nie należy mnożyć bez konieczności”). Bo lepiej, by zakazu nie było, niż żeby był, lecz notorycznie bywał łamany. Uważam, że ta zasada jest godna przestrzegania nie tylko w obecnych rozważaniach.

### 3.2.4. „Egzystować” a „subsystować”.

Uważam, że zdanie języka naturalnego „Nie istnieją takie rzeczy jak zdarzenia” dobrze sobie radzi z wyrażeniem odpowiedniej myśli, a więc nie zasługuje na dyskryminację. Analogicznie rzecz się ma z wypowiedziami, że nie istnieją, tj. nie są rzeczami, o cechach, stosunkach, zjawiskach, uniwersaliach. Trzeba zatem pomyśleć o takim urządzeniu języka, aby można było tych właśnie słów użyć, a nie popełniać przez to nonsensu ani nie wymagać od reisty, aby ze swego parterowego języka wspinał się na któreś z wyższych pięter językowych, jeśli sobie nie będzie tego życzył albo jeśli nie będzie mu to do czegoś potrzebne. Nie miejsce tu oczywiście na szczegółowe przedstawienie sposobu, w jaki można by osiągnąć ten skutek. Trzeba więc poprzestać na zasygnalizowaniu możliwych środków. Wydaje się, że jednym z nich byłoby odróżnienie dwóch znaczeń czasownika „istnieć”: (a) „istnieć jako rzecz, czyli przedmiot cielesny”, (b<sub>1</sub>) „istnieć tylko jako immanentny przedmiot czyjś wyobrażenia zwłaszcza genetycznie wytwórczego” lub (b<sub>2</sub>) „istnieć tylko jako treść pojęcia”. Wspomniana granica oddzielałaby od (a) – zarówno (b<sub>1</sub>), jak (b<sub>2</sub>). W słownictwie filozoficznym wy-

stępują już gotowe terminy: (a) „egzystować”, (b) „subsystować”, natomiast w kategorii (b) nie ma jednowyrazowych terminów, które by służyły odróżnieniu (b<sub>1</sub>) od (b<sub>2</sub>). Reista mógłby, przystosowawszy wyraz (b) do potrzeb tego rozróżnienia, ignorować subsystencję i o tym, co tylko subsystuje, twierdzić, że nie egzystuje, czyli według niego nie istnieje, a wypowiedzi w rodzaju „istnieje Atena”, „istnieje Don Kichot” oraz „istnieje śmierć”, „istnieje śmierć X-a” traktować jako przenośnie. Jak widać z tych przykładów, w zasadzie pragnę respektować różnicę zaproponowaną przez Tadeusza Kotarbińskiego między nazwami pustymi a onomatoidami, jak również pośród jednych i drugich – między tymi, które choć nie oznaczają żadnego konkretnego, sugerują odmienną intencję znaczeniową: albo jednostkową, albo ogólną. Można by jeszcze wzbogacić te dystynkcje, uwzględniając intencję zbiorową i niezbiorową.

Co odróżnia wyrazy kategorii (b<sub>1</sub>) od wyrazów kategorii (b<sub>2</sub>)? Otóż (b<sub>1</sub>), po zliteralizowaniu, czyli przełożeniu na sformułowania dosłowne, sprowadzałyby się do zdań o kimś, jako o podmiocie (podmiotach) wyobrażających sobie wytwórczo to a to, podczas gdy (b<sub>2</sub>), po zliteralizowaniu informowałyby, że ktoś sobie tak a tak przedstawia pojęciowo. Według niektórych oponentów reisty pozostawałyby w mocy i w całej rozciągłości, także więc w zakresie ich założeń ontologicznych, subtelne spostrzeżenia Romana Ingardena o schematyczności tzw. przedmiotów intencjonalnych pod względem ich wyposażenia jakościowego, podczas gdy reista-teoretyk poznania i reista-psycholog, nie chcąc się angażować pod względem ontologicznym, odebrałyby te własności rzekomym, jego zdaniem, przedmiotom intencjonalnym, by przypisać je procesom poznawczym lub imaginacyjnym konkretnej osoby bądź osób, np. twórcy fikcji literackiej. Sam próbowałem tak postępować, poruszając pewne zagadnienia z zakresu filozofii literatury. Dzięki temu mogłem za słuszną uznać opinię, że postać literacka, w odróżnieniu od człowieka z krwi i kości, nie jest w pełni określona pod względem jakościowym i ma tyle tylko cech, iloma obdarzył ją autor. Mogłem przyznać rację tej obserwacji, pod warunkiem jednakże, iż twierdzenie to odniosę nie do wytworu procesu twórczego, np. do bohatera powieści, lecz, w skrócie, do procesu twórczego, do czynności autora, jako wyobrażającego sobie wytwórczo daną postać literacką, a po przełożeniu tego na sformułowanie dosłownie rozumiane – do twórcy jako imaginującego sobie owego bohatera. Z kolei teoretyk mnogości, matematyk lub logik matematyczny, na ogół usatysfakcjonowany swoimi sposobami wysłowienia twierdzeń, zostałby zwolniony od „gimnastykowania się” i starań, by „po reistycznym” wyrazić np. myśl, że „klasa klas równolicznych z klasą *M*-ów jest parzysta”, czyli w skrócie „ilość *M*-ów jest parzysta”, za pomocą – jak radzi Kotarbiński – zdania „*M*-y są parzyście liczne” (Kotarbiński, 1961, s. 513). W moim odczuciu jest to tylko wybieg stylistyczny i sformułowanie sztuczne. Wydaje mi się, że skoro specjalistom od danej dziedziny jest z jej terminologią wygodnie, to *cui bono* namawiać ich do zmiany, skoro reista wskazania realizmu praktycznego uznaje za słuszne, a ten doradza nam postępować pragmatycznie, więc w tym wypadku według zasady *volenti non fit iniuria*, czyli w wolnym przekładzie „skoro tego chcesz, nie dzieje ci się

krzywdą”. A wątplię, by matematyk odczuwał jako dolegliwość to, że operuje pojęciem zbioru w sensie teorii mnogości, a więc zbioru nie będącego cielesną rzeczą, albo tęsknił do dnia, kiedy będzie zdolny zastąpić je pojęciem zreifikowanego zbioru w sensie kolektywnym, jak wiadomo, narzędziem pojęciowym nie bardzo poręcznym.

### 3.2.5. Nazwy a onomatoidy.

W *Elementach* nie występuje termin „onomatoid”. Spotykamy w nich termin „nazwa pozorną”, a więc tylko z pozoru nazwa, w istocie zaś – nienazwa, oraz terminy oznaczające nazwy właściwe: „nazwa”, czasem z dodatkiem „rzetelna” lub „oznaczająca”, a pośród nazw rzetelnych – „jednostkowe” lub „ogólne”, oraz „nazwa pusta”, czyli „nazwa bezprzedmiotowa”, używana „z intencją jednostkową” albo „z intencją ogólną”, a oprócz tego „z intencją zbiorową” lub „z intencją niezbirową”. Na przykład zatem nazwa pusta, użyta z intencją jednostkową i zbiorową, „chór niewolników z opery Verdiego *Nabucco*”, miałyby oznaczać „na niby” swój semantyczny w węższym sensie pojedynczy korelat pozajęzykowy będący pewnym zbiorem, mianowicie nie istniejący, fikcyjny zespół śpiewaków, chór niewolników przedstawiony w libretcie do tej opery. Z kolei nazwa pusta użyta z intencją ogólną i zbiorową oznacza „na niby” więcej niż jeden nie istniejący zbiór, np. nazwa „chór będący zbiorową postacią przedstawioną w antycznej tragedii greckiej” – każdy oznaczony nią fikcyjny chór występujący w takich tragediach. Odpowiednio, nazwa „łuk Apolla”, pusta, niezbirowa, użyta z intencją jednostkową, oznacza pojedynczą fikcyjną rzecz, podczas gdy nazwa pusta, niezbirowa, użyta z intencją ogólną, jak zwrot „bóg olimpijski”, oznaczałaby więcej niż jedną nie istniejącą postać mitologiczną. Tadeusz Kotarbiński zalicza nazwy puste do kategorii nazw, mimo że słowa te – podobnie jak onomatoidy – nic faktycznie nie oznaczają, nie odnoszą się bowiem do żadnych przedmiotów w rzeczywistości empirycznej jako do swych korelatów semantycznych, ściślej, semantycznych w węższym sensie. Decyzję tę Autor *Elementów* podjął m.in. dlatego, że owe nazwy puste spełniają syntaktyczną definicję nazwy jako słowa lub zwrotu nadającego się – według pierwotnego określenia w podręczniku – na orzecznik, a według późniejszego na podmiot lub orzecznik w zdaniu „A jest B”, są – tak jak rzetelne nazwy – rzeczownikami, przymiotnikami lub imiesłowami przymiotnikowymi, czyli mają charakter imienny, należą do gramatycznej kategorii *nomen*, służą jako miana czegoś, co prawda czegoś nie istniejącego w rzeczywistości empirycznej, podlegają deklinowaniu. Wszystko to można przeczytać w *Elementach* albo wywnioskować z lektury podręcznika oraz rozprawy *Z zagadnień klasyfikacji nazw*, dołączonej doń w *Aneksie*.

Ale też wszystko to, z wyjątkiem jednego, można powtórzyć o nazwach pozornych, czyli onomatoidach. Oto onomatoid „śmierć” ma więcej niż jeden korelat semantyczny (w węższym sensie terminu „semantyczny”), onomatoid zaś „śmierć Emilii Plater” – jeden; żaden z nich nie jest rzeczą, jeżeli zwrot „śmierć

X-a” zdefiniujemy jako „to, że istota żywa X zakończyła życie”, nie zaś jako „istota X, która, przestaje być żywa”. Konotacja, czyli cechy współoznaczane łącznie przez każde z tych wyrażen, ma charakter zbiorowy, a termin „0”, jeśli został zdefiniowany tak jak w matematyce, jest niezbiorowy. Natomiast pod jednym względem nazwa bezprzedmiotowa różni się – według Tadeusza Kotarbińskiego – od pozornej: ta pierwsza, ponieważ *Elementy* zaliczyły ją do kategorii nazw, nie powoduje powstania nonsensu, gdy zostanie użyta jako podmiot lub orzecznik zdania kształtu „A jest B” i łącznikowi „jest” nadamy charakter zwany w tej książce „podstawowym”, a wzorowany na ontologii Leśniewskiego, podczas gdy onomatoid na miejscu a lub B, jako wykluczony z kategorii nazw, wywoła nonsens, czyli w tym wypadku bezład syntaktyczny. Notabene, użytkownik języka naturalnego nie uchwyci tego nonsensu intuicyjnie w wypowiedzi sformułowanej w tym języku i nieświadom, że dopuścił się nonsensu, wygłosi zdania „Nie istnieją znaczenia”, „Nie istnieje liczba cztery” na równi ze zdaniem „W Polsce nie istnieją góry wyższe niż Tatry” albo „Nie istnieje czapka niewidka”. Natomiast za nonsens każdy uzna taki szereg wyrazów, jak „Albo jest trzymajcie”.

Skąd się bierze taka różnica w naszych odczuciach językowych? Może stąd, że jesteśmy wrażliwi przede wszystkim na bezład gramatyczny, a więc na nonsens jako bezład głównie syntaktyczny, mniej zaś na zakłócenia semantyczno-pragmatyczne jedynie. Może zatem trafnie tradycyjna gramatyka podchwyciła tę różnicę w naszych reakcjach na sposób sformułowania wypowiedzi i dlatego słowa „śmierć”, „znaczenie”, „liczba”, „góra”, „czapka niewidka” zaliczyła pospołu do rzeczowników, w odróżnieniu od wyrazów „albo” i „trzymam”, oraz tylko dla tych pierwszych przeznaczyła miejsca podmiotu gramatycznego i orzecznika, dla „trzymać” zaś – podmiotu, w strukturze „A jest B”, jeśli w niej rozumienia słowa „jest” nie ograniczają rygory przyjęte w *Elementach*. Może zastany podział na części mowy bardziej odpowiada powszechnym intuicjom aniżeli semantyczno-ontologiczne rozróżnienia wśród słów i zwrotów, które ten podręcznik wprowadza. Może więc też i tamte stare ustalenia zasługują na uwzględnienie, tym bardziej że wykład obu rodzajów reizmu, tak jak i wykład realizmu praktycznego, realizmu radykalnego, prakseologii i etyki spolegliwego opiekuna, Tadeusz Kotarbiński powierzył mowie etnicznej, ta zaś ich nie respektuje?

Czym się kierował Autor zaliczając do nazw wyrazy bezprzedmiotowe, np. „Don Kichot”, „Pegaz”, a zatem uznając za nazwy słowa, które faktycznie nic nie nazywają i umieszczając je w jednej kategorii syntaktycznej, pospołu z nazwami kogoś istniejącego, np. „Mikołaj Kopernik” lub czegoś istniejącego, np. „sosna”? Odpowiedź przynosi rozprawa *O postawie reistycznej, czyli konkretystycznej*, umieszczona w *Aneksie* do drugiego wydania *Elementów*:

Nazwa pusta – to imię nie mogące być podmiotem zdania elementarnego, lecz definicyjnie sprowadzalne do takiego połączenia nazw oznaczających, iż inne nazwy, w ten sposób połączone, dają w całości nazwę oznaczającą [...]. Weźmy słowo „chimera”. Oto jest definicja wyczytana u poety starożytnego: z przodu lew, z tyłu

waż, a pośrodku koza [...]. Nazwa to zatem pusta. Zastąpmy jednak części jej, z osobna oznaczające (mianowicie słowa „lew”, „wąż” i „koza”), np. słowami, też z osobna oznaczającymi: „głowa”, „odwłok” i „tułów”, a otrzymamy całość: „z przodu głowa, z tyłu odwłok, pośrodku tułów”, ta zaś całość jest nazwą, która oznacza każdy stwór zwierzęcy, należący do świata owadów (w formie dojrzalej). (Kotarbiński, 1961, s. 496)

Podobną myśl zawiera poniższy fragment:

Mógłby ktoś [...] zapytać, dlaczego słowo „centaur” jest nazwą czegoś, co można sobie pomyśleć, a słowa „treść” lub „sąd”, podobnie jak słowa „od” lub „albo”, nie są nazwami czegoś, co można sobie pomyśleć, chociaż równie słusznie można powiedzieć, że słowo „centaur” nie oznacza niczego istniejącego, jak że tamte słowa niczego istniejącego nie oznaczają. Otóż różnica w tym, że centaury można sobie pomyśleć, ponieważ uprzytamniamy sobie wówczas myślowo jakąś rzecz, wprawdzie rzecz nie istniejącą, ale bądź co bądź rzecz, gdy w pozostałych przypadkach nic takiego się nie dzieje. Wszak centaur – to wedle definicji stwór złożony z połowy ciała człowieka i połowy ciała konia, jakaś tedy całość złożona z rzeczy ot tak jakoś, jak różne rzeczy bywają złożone z części będących rzeczami. Podobną legitymacją definicyjną nie mogą się natomiast poszczycić, ani „treść”, ani „albo”, ani inne tym podobne słowa [...]. (Kotarbiński, 1979a, s. 174–175)

W innym miejscu Autor podaje analogiczny argument związany z definicją znaczenia nazwy pustej:

Nazwą rzeczy jest także termin, który nie ma swojego desygnatu, ale jego znaczenie można określić za pomocą definicji analitycznej w rodzaju „*N* jest taką a taką rzeczą”. Na przykład znaczenie terminu „Pegaz” może zostać wskazane za pomocą definicji analitycznej powiadamiającej, że „Pegaz to uskrzydłony koń”. Jeśli nie zawahałem się podając ostatni z wymienionych przykładów, to dlatego, że przez rzecz rozumiem jakikolwiek obiekt fizyczny [...], a także całości składające się z obiektów fizycznych oraz ich elementy, takie jak mikroskopowe cząstki bądź złożone z nich całości [...]<sup>9</sup>. (Kotarbiński, 1993c, s. 218–219 i 231)

Jak widać, w drugim z przytoczonych urywków powraca argument, którym Autor posłużył się już w swym artykule *O postawie reistycznej, czyli konkretystycznej*, w *Aneksie* do drugiego wydania *Elementów*. Komentarza wymaga – jak sądzę – powiedzenie „można sobie pomyśleć”. Zdaniem Tadeusza Kotarbińskiego odnosi się ono jedynie do tego, „co można sobie pomyśleć”, gdy wymawiamy takie słowo jak „centaur” w odróżnieniu od takich słów jak „treść”, „sąd”, „od”, „albo”. Wydaje mi się, że jest inaczej, mianowicie w każdym z tych wypadków coś „można sobie pomyśleć”, tyle że tylko w związku z użyciem takich słów jak „drzewo” czy „centaur” owo pomyślenie polega między innymi na przedstawie-

<sup>9</sup> Tekst polski jest rekonstrukcją oryginału, która powstała z przełożenia z powrotem na język polski przekładu angielskiego, dokonanego na podstawie rękopisu lub maszynopisu polskiego; oryginalny tekst polski zaginął.

niu sobie obrazowym, czyli wyobrażeniu, natomiast w pozostałych razach na przedstawieniach nieobrazowych. Przecież bowiem i w tych drugich wypadkach nie występuje wyłącznie artykulacja, artykulacja izolowana od pomyślenia sobie czegoś w chwili jej dokonywania lub na skutek jej dokonania. Taka artykulacja nie połączona z odpowiednią myślą może – choć i to wątpliwe – zdarza się wtedy, gdy np., na wspak wymówimy „treść” („ćśert”), nie będące wyrazem żadnego języka. Natomiast, jak podpowiada introspekcja, przy wygłoszeniu, przeczytaniu lub przypomnieniu sobie dźwięku bądź wyglądu wzrokowego każdego ze słów poprzednio wymienionych dołącza się do odpowiednich doznań zmysłowych i w związku z nimi powstaje w nas ułamkowe choćby uświadomienie sobie znaczenia danego wyrazu. Jest ono bardziej lub mniej kompletne, ale występuje nawet w następstwie posłużenia się przyimkiem, np. inne w związku z „od” niż w związku z „do”, inne w związku ze spójnikiem „i” niż w związku z „a”.

Co zaś dotyczy spostrzeżenia na temat różnicy między definicją nazwy bezprzedmiotowej a definicją onomatoidu, nasuwają mi się następujące wątpliwości:

a) Dlaczego trójczłonowa struktura definiensu w definicji słowa „chimera” miałyby przemawiać za tym, by wyraz występujący w definiendum tej definicji został uznany za nazwę, co miałyby wpływ na funkcje semantyczne tego rzeczownika, pośrednio zaś na status ontologiczny jego nieistniejącego korelatu? A za nazwę zostałby uznany na tej podstawie, że definiens w definicji jakiegoś innego wyrazu, który jest rzetelną nazwą niepustą, też składa się z trzech, co prawda innych, członów będących nazwami.

b) w dodatku skoro według *Elementów* za nazwę uznajemy słowo lub zwrot, które w zdaniu mającym strukturę „A jest B” nadaje się – według pierwszej wersji – do wystąpienia jako *B*, a według drugiej wersji – również jako *A*, to – jak wspomniałem – tym syntaktycznym warunkom definicyjnym czynią zadość nie tylko wyrazy „sosna” i „nimfa”, oraz „Mikołaj Kopernik” i „Zeus” – ostatnie dwa, jeśli zrezygnujemy z odróżniania nazw pospolitych od nazw własnych – lecz również onomatoidy, m.in. wyrazy „postęp” oraz „narodziny” i „narodziny X-a”.

c) Jeśli zaś powyższą definicję obwarujemy wymaganiem semantycznym w węższym sensie, które sprowadza się do tego, że do roli nazw na miejscach *a* lub *B* nadają się tylko miana rzeczy, przy czym rzeczą jest przedmiot będący gdzieś, kiedyś i fizykalnie jakiś, to ani „nimfa”, ani „Zeus”, ani „Pegaz”, ani „narodziny”, ani „narodziny X-a”, nie są nazwami. „Nimfa”, „Zeus” nie są nazwami żadnej osoby, a „Pegaz” nie jest nazwą żadnego zwierzęcia, mimo że każda z tych fikcyjnych niby-ludzkich postaci jest „zbudowana” z głowy, tułowia i kończyn, a nieistniejące ciało fikcyjnego Pegaza „składa się” z konia i skrzydeł. Ale w jakim sensie wyrażen „jest zbudowana” i „składa się”, skoro Nimfa, Zeus i Pegaz nie są postaciami cielesnymi, lecz tylko wyobrażonymi? Zatem i części czy składniki każdej z tych postaci nie są kawałkami konkretnych tkanek. Mityczny Zeus jest zbudowany z mitycznych: głowy Zeusa, tułowia Zeusa i kończyn Zeusa, nie zaś z jakiejś konkretnej głowy, konkretnego tułowia i konkretnych kończyn. I gdyby w zmodernizowanej mitologii Zeus ofiarował



swą nerkę dla ratowania jakiegoś istniejącego człowieka – notabene, sam nic nie ryzykując, skoro jest nieśmiertelny – transplantacja nie pomogłaby pacjentowi, bo i nerka nie byłaby żywym organem, lecz – tak jak Zeus – tworem mitycznym.

W tym miejscu – dygresja. Wiadomo o najnowszych oszołamiających osiągnięciach transplantologii. Różnych organów zwierząt – albo już próbowano, albo niebawem się spróbuje użyć do wszczepienia ludziom. Profesor Religa podobno przemyślał nad posłużeniem się do transplantacji kardiologicznych sercem – *horribile dictu!* [...] – świni, jako podobnym do ludzkiego pod względem gabarytów i sposobu funkcjonowania; wywołało to natychmiast „zapobiegawcze” oburzenie wśród obrońców godności człowieka. Otóż gdyby dzięki takiemu zabiegowi zdołano uratować życie temu lub owemu posiadaczowi duszy nieśmiertelnej, fakt że po operacji taki pacjent składałby się (już bez cudzysłowu) z większego kawałka człowieka i mniejszego kawałka świni, nie zagrażałby na pewno jego empirycznemu istnieniu, właśnie uratowanemu dzięki transplantacji, ani jego ludzkiej tożsamości; i mimo że w jego ciele biłoby serce świni, nie utraciłby zdolności przeżywania stanów typu „smutno mi, Boże”.

Powyższe uwagi wiążą się z rozróżnieniem, które Tadeusz Kotarbiński przeprowadza we wspomnianym artykule *Z zagadnień klasyfikacji nazw*. Zwraca tam uwagę, że na nazwę można spojrzeć albo ze względu na to, czy a) wyraz w nadaje się do nazwania czegoś, i obojętne jest, czy owo coś istnieje i jaką ma naturę ontologiczną, albo b) ze względu na to, jak się wyraz w rozumie: czy jako odnoszący się do czegoś, co nie jest rzeczą, czy też tak, by jego korelatem(-ami) semantycznym(i) była(-y) rzecz(y).

W pierwszym wypadku:

[...] tak ustalając sposób mówienia, zawsze możemy powiedzieć „czego nazwą” jest dana nazwa, nawet jeżeli bezprzedmiotowa, nawet jeżeli pozorna. W ogóle, jeżeli „*N*” jest nazwą, a „*M*” – jej równoznacznikiem, to będziemy mówili, że „*N*” jest nazwą *M*-a. Otóż przy takim postawieniu sprawy nie będzie żadnej niekonsekwencji, jeżeli pewne wyrażenia będziemy opatrywali mianem nazw przedmiotów idealnych (np. nazwę „powszechnik”, zdefiniowaną, jak następuje: „przedmiot idealny, posiadający tylko cechy, składające się na sens jakiejś nazwy o intencji ogólnej”), nawet nie uznając egzystencji takich przedmiotów. A potrzebne nam są takie omówienia chociażby dlatego, by móc sformułować antytezy stanowisk w pewnych sprawach. Tak więc oto stwierdzamy, że przeciwstawia się często przedmioty realne przedmiotom idealnym i odpowiednio nazwy przedmiotów realnych i nazwy przedmiotów idealnych [...]. (Kotarbiński, 1961, s. 464–465)

W drugim wypadku przeciwstawia się np. nazwy konkretów, czyli ciał fizycznych i poszczególnych osób, nazwom abstraktów, mianowicie – cech, stosunków, znaczeń, jako będących zespołami cech lub stosunków, stanów rzeczy, zdarzeń, powszechników.

Na tle tego odróżnienia powstaje szereg zagadnień klasyfikacyjnych. Do którego z owych działów zaliczyć np. nazwy zdarzeń, faktów, jak „deszcz”, „burza”, „bi-

twą”? Inaczej wypadnie odpowiedź, jeżeli przez deszcz np. będziemy rozumieli całość złożoną z kropel wodnych spadających z obłoków, a więc pewną złożoną rzecz, pewne złożone ciało fizyczne. Inaczej – jeżeli ujmemy słowo „deszcz” jako skrót zwrotu „to, że krople wody spadają z obłoków”. Inną znowu kwestię klasyfikacyjną wzbudzają w związku z tą antytezą nazwy postaci fikcyjnych, o których mowa w opowieściach zmyślonych. Naszym zdaniem są to bezprzedmiotowe nazwy konkretów. A nazwy „obrazów immanentnych”, np. powidoków lub obrazów hipnagogicznych lub rozmaitych elementów treści wyobrażeń (jak ta oto plama czerwona, należąca do „wewnętrznego obrazu” słońca)? (Kotarbiński, 1961, s. 465)

Pozostańmy przy słowie „deszcz”, które Autor wybrał jako jeden z przykładów. A jako to, czego ono jest nazwą, przyjmijmy wyjaśnienia tego hasła znalezione w słownikach: „Opad atmosferyczny w postaci kropel wody spadających z chmury” (Szymczak, 1979, s. 387), „Krople wody spadające z chmury” (Bańko, 2000, s. 261).

Jak widać, oba słowniki kierują się tym, jak denotację wyrazu wyznacza jego konotacja, tj. zbiór własności współznaczanych tym wyrazem. Oczywiście mówiąc w ten sposób, uciekam się do użycia przenośni i personifikacji: przecież nie konotacja rzeczownika determinuje jego denotację, lecz czyni to osoba, która użyła danego słowa. W pierwszym z przytoczonych objaśnień słownikowych centralnym słowem jest onomatoid „opad”; zostało ono uzupełnione opisem, który się składa z nazw rzeczy, „krople wody”. Drugi słownik posłużył się opisem materialnych przedmiotów – „krople wody spadające z chmury”. Oba słowniki wybrały bardziej obiektywne ujęcie i uwydatniły semantyczny element znaczenia wyrazu „deszcz”. Pragmatycznym elementem znaczenia słowa jest to, jak je mówiący rozumie, a więc m.in. na co w danym wypadku pragnie położyć nacisk. Sposób, w jaki rozumiem dane słowo, wiąże się z moim indywidualnym przeżyciem, migawkowym uświadomieniem sobie, co myślę i czuję, wygłaszając to słowo. Relacja semantyczna między wyrazem a jego korelatem, który występuje – rzeczywiście albo tylko intencjonalnie – poza językiem, bardziej się mieści w ogólnej normie językowej i dlatego o niej informują słowniki. Tymczasem relacja między mówiącym a użytym przezeń słowem, jako pragmatyczna, bardziej apeluje do idiolektu oraz osobistego wyczucia językowego nadawcy wyrazu. Przypuszczam, że w toku zwykłego porozumiewania się, w codziennej rozmowie, a nawet i wtedy, gdy z namysłem coś piszemy, uwagę kierujemy głównie na to, czego nasze słowa dotyczą, m.in. więc – czego są nazwą. Gdy powiadam „Deszcz pada”, nie zastanawiam się, czy mym słowom towarzyszy myśl, że wiele na raz lub po sobie kropel wody, a więc małych ciekłych rzeczy, spada z chmur, czy też myśl o deszczu nie jako o rzeczy złożonej z wielu spadających kropel wody, lecz jako o zjawisku atmosferycznym bądź o zdarzeniu, które polega na równoczesnym oraz wielokrotnie następującym po sobie, powtarzającym się ruchu w dół czegoś, czego natura cielesna czy niecielesna nie interesuje mnie w danej chwili. Zastanowienie się, co mam na myśli, wymagałoby

pewnej autorefleksji. Więc gdy np. przypomina mi się Leopolda Staffa *Deszcz jesienny*:

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny  
 I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,  
 Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...  
 Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w dżdżu mokną  
 I światła szarego blask sączy się senny...  
 O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

to gdyby mnie przekonywano, iż skoro poeta napisał, że krople padają i tłuką w szyby, a te stają się mokre, zatem na pewno przyjął był interpretację denotacyjną i skupił się na semantycznym, materialnym korelacji słów wiersza, opadających ciałach ciekłych, nie zaś interpretację pragmatyczną, „rozumieniową”, nie potrafiłbym rozstrzygnąć, jak było. Na ogół, jak myślę, gdy napotykamy onomatoid w rodzaju „deszcz”, „wiatr”, „przeciąg”, który mimo iż zachowuje tę samą denotację, jest podatny na jedno i drugie rozumienie, onomatoidalne oraz rzeczowe, to wybieramy owo drugie, gdyż przedstawiamy sobie obraz optyczny i akustyczny padającego deszczu; tak też chyba przeżywał poeta.

Ale w tej chwili nie to jest ważne, co Leopoldowi Staffowi „w duszy grało”. Ja w tej możliwości dwojakiej – bardziej semantycznej i obiektywnej lub bardziej pragmatycznej i subiektywnej – interpretacji tego samego słowa „deszcz”, jako użytego, mówiąc niezbyt precyzyjnie, w tym samym znaczeniu, widzę argument przemawiający za tym, żeby odstąpić od decyzji, na mocy której to samo słowo (lub zwrot), choć zachowuje ono swe słownikowe znaczenie, raz zostaje zaliczone do nazw, a innym razem skazane na wygnanie do innej kategorii syntaktycznej i jako banita obciążone odpowiedzialnością za wystawienie wypowiedzi na ryzyko spowodowania nonsensu. Dlaczego? Dlatego tylko, że w danym momencie zmieniłem swoje indywidualne rozumienie tego wyrazu czy wyrażenia, a ta subtelna zmiana polega na tym, że w tym samym przedmiocie danego fragmentu tekstu raz zapragnąłem widzieć rzecz, a innym razem zdarzenie, zjawisko czy fakt. Co innego, gdyby zmianie uległo znaczenie wyrazu, gdyby zatem chodziło o dwa wyrażenia równoznaczne, ale różnoznaczące, jak: „jest rada”: w „[ona] jest rada” oraz „jest [na to] rada” albo „[on] jest rad” oraz „[promieniotwórczy] jest rad”. Wtedy ich przynależność do różnych kategorii syntaktycznych mogłaby się spotkać z większym zrozumieniem.

Ciekawsza od tej wydaje mi się inna kwestia: jak dochodzi do identyfikacji danego wyrazu jako onomatoidu. Sądzę, że z uwagi na taką a taką jego interpretację. Wolałbym tu nie używać zwrotu „ze względu na takie a takie znaczenie tego wyrazu”, bo nie chcę mylić dwóch spraw. Pierwsza, to wypadek, w którym takie słowo jak „pociąg” w jednym znaczeniu jest nazwą konkretnej rzeczy, np. w zdaniu „odjeżdża pociąg do Krakowa”, podczas gdy w zwrocie „pociąg do alkoholu” to samo słowo jest onomatoidem. Tym nie będę się obecnie zajmował.

Mam na myśli inny wypadek, kiedy dany wyraz zachowuje w obu użyciach charakter onomatoidalny, ale w jednym bardziej onomatoidalny niż w innym. Słowem, sądzę, że bycie onomatoidem to własność wyrazów typologiczna, a więc stopniowalna, a nie klasyfikacyjna, jak w poprzednim przykładzie. Uważam, że onomatoidy nie tworzą jednorodnej grupy wyrazów. Na jednym biegunie widziałbym, oprócz wyrazu „deszcz”, takie słowo jak „wiatr”, którego interpretacją mogłoby być sformułowanie „«wiatr» to tyle co «szybko przemieszczające się powietrze»”. W podobnej sytuacji znajdują się wyrazy, „podmuch”, „przeciąg”, „przewiew”, „przepływ”, „wir”, „zawirowanie”, „prąd” i wiele innych. Każdy z nich można interpretować dwojako: albo rzeczowo, jako przemieszczające się szybko ciało gazowe bądź płynne czy stałe, np. podczas burzy piaskowej, albo jako przemieszczanie się czegoś, a więc zdarzenie; wiadomo zaś, że miana zdarzeń i stanów rzeczy są onomatoidami. Na drugim biegunie dałoby się umieścić takie onomatoidy, jak słowo „przyczyna”: gdy je wypowiadam, bynajmniej nie narzuca mi się uprzytomnienie sobie jakiegoś konkretnego; np. zdanie „przyczyną poślizgu był olej rozlany na drodze” traktuję jako skrót, w którym wyraz „przyczyna” i wyrażenie „olej rozlany na drodze” interpretuję onomatoidalnie, drugie jako zwrot „to, że olej był rozlany na drodze”, i trzeba by się wysilić, aby rzeczownik „poślizg” zdefiniować za pomocą wyłącznie nazw rzeczy. Ze słowem „przyczyna” sąsiadowałyby w tej grupie miana przedmiotów idealnych i niektóre miana abstraktów. Natomiast gdzieś między tymi dwoma biegunami znalazłyby miejsce m.in. onomatoidalne miana relacji, ich bowiem interpretacja odwoływać się może do rzeczy, między którymi zachodzi stosunek większości, równowagi lub przewagi, starszeństwa itd. Nie bez powodu według tradycyjnego rozróżnienia wśród onomatoidów wymieniamy miana cech, stosunków, zdarzeń, stanów rzeczy, uniwersaliów itd. Te podkategorie różnią się pewną własnością swych korelatów: stopniem swej niepełności informacyjnej.

### **3.2.6. Synkategoremacyjny charakter nazw i onomatoidów oraz niedopowiedzenia.**

Z onomatoidalnością wydaje się związana inna typologiczna własność wyrazów, ich charakter bardziej lub mniej synkategoremacyjny, czyli większa lub mniejsza niesamodzielnosc znaczeniowa. Mianowicie zastanawiam się, czyby na niektóre onomatoidy nie spojrzeć jako na wyrazy niekompletne, coś w rodzaju synkategorematów wymagających uzupełnienia, np. do wyrazu „przepływ” dodania, czego przepływ, aby powstała uzupełniona całość, np. „przepływ wody”. Może takie onomatoidy mają naturę mieszaną, półnazwową i półonomatoidalną, inne zaś są w większej mierze abstrakcyjne, a zatem i onomatoidalne. Niech przykłady naświetlą tę sprawę. Oto nawet i wtedy, gdy słowo „wiatr” zaliczamy do onomatoidów, nie zaś do nazw, to w definicji tego wyrazu występuje nazwa pewnej rzeczy, będąca uzupełnieniem: szybkie przemieszczanie się – czego, jakiej rzeczy? powietrza, kropelek wody, pary jakiejś cieczy. A „wir”, „zawirowanie” – czego, powietrza, wody? I ponownie w dopowiedzeniu występuje na-

zwa pewnej rzeczy. Z kolei dopełnieniem znaczenia miana jakiegoś stosunku bywa wskazanie: a) pod jakim względem ów stosunek rozpatrujemy, b) rzeczy, między którymi dana relacja zachodzi pod obranym względem; rzeczy te są desygnatami nazw rzetelnych. Gdy np. mianem stosunku jest wyraz „równość”, a równość tę chcę rozpatrywać ze względu na cechę, której mianem jest rzeczownik „ciężar”, uzupełniam niedopowiedzenie znaczeniowe, nadal pozostałe mimo dodania informacji, pod jakim względem równość ma zachodzić, i w tym celu wymieniam nazwy rzetelne dwóch ciał: np. „żelazo” i „złoto”. We wszystkich tych wypadkach ujawnia się potrzeba wspomnianego dwojakiego uzupełnienia sensu danego onomatoidu. Oprócz tego otwiera się możliwość dwojakiego spojrzenia na znaczenie wyrazu: bardziej jako miana abstrakcji albo bardziej jako nazwy rzeczy. Natomiast trzeba przyznać, że takie onomatoidy, jak wspomniany wyraz „przyczyna”, których dopowiedzenie w postaci objaśnienia „przyczyna czego?” zawiera onomatoidy, nie zaś nazwy konkretów – podajemy przecież przyczynę zdarzenia, zjawiska, stanu rzeczy, a nie przyczynę tej a tej rzeczy – mniej niż onomatoidy z drugiego bieguna stwarzają mówiącemu okazji do rozumienia ich jako nazw rzeczy. Są wyrazami, które skłonni jesteśmy ujmować w jeden sposób: jako onomatoidalne. Jak widać, tzw. nazwy pozorne nie tworzą jednorodnej grupy, są zróżnicowane – także pod względem stopnia kompletności swych znaczeń, a zatem charakteru mniej albo bardziej synkategorematicznego. Wydaje mi się, że mniej uzupełnień wymagają miana uniwersaliów, np. powszechnik „człowiek”: nie pytamy, pod jakim względem powszechnik, ani do jakiego stopnia.

Dwie okoliczności, na które zwróciłem uwagę: ta, że jedne nazwy pozorne nadają się do bardziej nazwowego interpretowania, podczas gdy inne do bardziej onomatoidalnego ujęcia, a także ta, że jedne są bardziej synkategorematiczne, podczas gdy inne mniej niesamodzielne znaczeniowo – moim zdaniem – stanowią argument przeciw tworzeniu ze wszystkich tej samej kategorii syntaktycznej, odrębnej od kategorii nazw. Nie miejsce tu wprowadzić na głębsze i bardziej szczegółowe analizowanie pojęcia onomatoidu ani na rozróżnianie odmian w jego obrębie, ale już i poczynione spostrzeżenia skłaniają do tego, by rozważyć, czy wymienione fakty nie przemawiają za zrewidowaniem decyzji w sprawie nazw pozornych podjętej w *Elementach*. Skoro wykład reizmu, m.in. reizmu semiotycznego, posługuje się językiem tzw. naturalnym, a ten nie wyodrębnia onomatoidów jako osobnej kategorii m.in. syntaktycznej, lecz co najwyżej jako zbiór wyrazów odróżniających się do pewnego stopnia swoimi własnościami jedynie semantycznymi i pragmatycznymi, to czy by nie zrezygnować z obciążania wypowiedzi w rodzaju „Nie istnieją cechy, zdarzenia, zjawiska, relacje, uniwersalia” winą za popełnienie nonsensu? Wystarczyłoby zaniechać zaliczania onomatoidów do osobnej kategorii syntaktycznej, wydzielonej spośród nazw – zarówno bezprzedmiotowych, jak niepustych – i poprzestać na tym, że wraz z nazwami bezprzedmiotowymi onomatoidy nie oznaczają przedmiotu(-ów) konkretnego(-ych). Różnicę zaś między nazwą pustą a pozorną, czyli onomatoidem, upatrywałbym w tym, że ta pierwsza jest mianem rzekomego imma-

nentnego przedmiotu przedstawienia, zwłaszcza zaś wyobrażenia genetycznie wytwórczego, m.in. więc fantazjowania, podczas gdy ta druga odnosi się do treści przedstawienia, zwłaszcza do treści pojęcia.

Wydaje mi się, że nie tylko niektóre onomatoidy, ale i niektóre nazwy puste, są do pewnego stopnia synkategorematiczne. Mniej lub bardziej synkategorematiczny charakter wymienionych wyrazów przywodzi na myśl pokrewną własność tych lub owych sformułowań, w których takie wyrazy występują: niedopowiedzenie, czyli ich niepełność informacyjną. Sformułowania te wymagają wtedy dodatkowych uszczegółowień lub rozróżnień. Dotyczy to m.in. niedopowiedzeń spowodowanych wystąpieniem nazw bezprzedmiotowych. Oto w sprawie wartości logicznej zdania „Afrodyta jest boginią miłości zmysłowej” spotyka się dwa poglądy: pierwszy, że jest fałszywe, bo w jego podmiocie gramatycznym figuruje nazwa bezprzedmiotowa „Afrodyta”; drugi, że – w odróżnieniu np. od zdania fałszywego „Afrodyta jest boginią łowów” – jest prawdziwe, ponieważ Afrodyta nie jest boginią łowów, lecz boginią miłości zmysłowej. Kto głosi ten drugi pogląd, daje poznać, że nazwę własną „Afrodyta” traktuje jako niekompletną pod względem semantycznym, a zatem wymagającą uzupełnienia w postaci dodatkowej informacji, np. zwrotu „w antycznej mitologii greckiej” albo „w języku Homera”. Bez takiego uzupełnienia całe zdanie jest narażone na zarzut niedopowiedzenia. Niekompletność semantyczna nazw bezprzedmiotowych i w jej następstwie wystąpienie niedopowiedzeń w zdaniach m.in. o strukturze „A jest B”, w których nazwy puste figurują na miejscach *a* lub *B*, wynika ze spostrzeżeń poczynionych przez Kazimierza Ajdukiewicza w artykule *W sprawie pojęcia istnienia* (1965c), gdzie Autor twierdzi, że potrzebna jest relatywizacja takich zdań do dwóch języków: metajęzyka empirycznego oraz przedmiotowego języka intencjonalnego. Podzielam to zapatrywanie, choć nie znajduję we wspomnianej rozprawie uwag *expressis verbis* na temat niekompletności semantycznej nazw pustych ani powstałych wskutek tego niedopowiedzeń. Zdania opatrzone wspomnianą dodatkową informacją, a zatem zdania „W antycznej mitologii greckiej Afrodyta jest boginią miłości zmysłowej” lub „W języku Homera Afrodyta jest boginią miłości zmysłowej”, uważam za wypowiedzi, odpowiednio, o starożytniej mitologii greckiej bądź o języku Homera, przeto o Homerze, nie zaś o Afrodycie. Są to zdania o pewnych tekstach lub o ludziach jako to a to myślących, mówiących lub piszących. Kazimierz Ajdukiewicz zauważa:

mówiący językiem intencjonalnym [...] może [...] sensownie wypowiadać zdania złożone z elementów języka intencjonalnego i z elementów języka empirycznego. Będzie się oczywiście mogło zdarzyć, że mówiąc językiem empirycznym uzna, co następuje: „zdanie «Zeus jest bogiem olimpijskim» występuje u Homera, ale Zeus nie jest bogiem olimpijskim”. Zgodnie z dyrektywą obowiązującą dla języka intencjonalnego uzna on w języku intencjonalnym zdanie „Zeus jest bogiem olimpijskim”. Sprzeczność, która przy tym powstanie, będzie jednak pozorna, gdyż [...] słowo „jest” posiada w języku empirycznym inne znaczenie niż w języku intencjonalnym. (Ajdukiewicz, 1965c, s. 151)

Wprawdzie wycucie językowe Kazimierza Ajdukiewicza różni się od mego w odniesieniu do czasownika „uznać”, mianowicie oczekuję po tym słowie dopowiedzenia: „uznać coś za coś lub za jakieś”, „zaakceptować jako takie a takie”, a więc „uznać zdanie” mi nie wystarczy, stwierdzam, że aczkolwiek wypowiedź „zdanie «Zeus jest bogiem olimpijskim» występuje u Homera, ale Zeus nie jest bogiem olimpijskim” uznaję za prawdziwą, nie uznaję za prawdziwe zdania „Zeus jest bogiem olimpijskim”, nie mówię bowiem językiem intencjonalnym. Natomiast spostrzeżenie, że w pierwszej z cytowanych wypowiedzi tylko pozornie pojawiła się sprzeczność, jest pożyteczne z następującego powodu.

Jak wiadomo, w logice tradycyjnej schematy wnioskowania bezpośredniego i sylogistyki zdań kategoriowych dopuszczają podstawianie tylko nazw niepustych zamiast zmiennych nazwowych. Natomiast podstawienie nazwy bezprzedmiotowej, takiej jak „Afrodyta”, lub tzw. nazwy powszechnej, np. „coś”, sprawia, że niektóre z tych wnioskowań upadną. Zdanie jednostkowe, a do takich należą powyższe zdania, w których podmiotem gramatycznym jest nazwa własna „Afrodyta”, zalicza się do zdań ogólnych. Zdania ogólne, „Każde  $S$  jest  $P$ ” i „Żadne  $S$  nie jest  $P$ ”, można rozumieć słabo lub mocno. Pierwsze z nich, rozumiane słabo, głosi, że cokolwiek jest  $S$ , jest też  $P$ ; rozumiane zaś mocno stwierdza ponadto, że istnieje  $S$ , a zatem – że nazwa „ $S$ ” jest niepusta. Przyjmując więc, że niektóre nazwy są bezprzedmiotowe, godzimy się na słabą interpretację zdań ogólnych. A wtedy upadną wszystkie rozumowania, w których przesłanki są ogólnymi zdaniami kategoriowymi, konkluzja zaś szczegółowym, jak również tzw. podprzeciwieństwo z kwadratu logicznego: „Jeżeli nieprawda, że niektóre  $S$  są  $P$ , to niektóre  $S$  nie są  $P$ ”, gdyż obie te formuły staną się zdaniami fałszywymi, gdy jako „ $S$ ” figuruje nazwa pusta<sup>10</sup>.

Nie tylko pewne nazwy bezprzedmiotowe oraz onomatoidy są mniej lub bardziej synkategorematiczne, co nieraz wywołuje niedopowiedzenia. Własność tę można spotkać – jak się zdaje – także wśród nazw niepustych. Aby uzyskać ich autentyczną niepustotę, więcej: aby sporządzić sito do odcedzania nierzeczy, na czym konsekwentnemu reście powinno zależeć, bo pragnie mieć do czynienia z przedmiotami, które egzystują, czyli znajdują się gdzieś, kiedyś i są jakieś pod względem fizycznym, mógłby on moim zdaniem przedsięwziąć pewne środki. Jako jeden z nich widziałbym uzupełnianie tzw. nazw rzetelnych wskaźnikiem czasu; cała nazwa przybrałaby wtedy postać  $N_t$ , czyli  $N$  w czasie  $t$ . Dzięki temu taka para nie godziłaby w pustkę, jak dzisiaj słowa „mamut” lub imię i nazwisko „Napoleone Buonaparte”. Zabieg tego rodzaju okazałyby się przydatny m.in. przy układaniu aktualnej „listy obecności” osób i rzeczy egzystujących w danym czasie. Paleontolog zaś czy archeolog, jako zainteresowani tym, co kiedyś było konkretem, ale obecnie już nie istnieje, mogliby rozejrzeć się za innymi wskaźnikami czasu i opatrzyć nimi nazwy przedmiotów swych zainteresowań. Ci zaś,

---

<sup>10</sup> Te elementarne wiadomości podręcznikowe można znaleźć m.in. w rozdziale XI *Kursu logiki dla prawników* Tadeusza Kotarbińskiego (1955).

co układają plany dotyczące konkretów lub projektują przyszłe materialne rzeczy, mogliby jeszcze inny wskaźnik dodać do nazwy, dzisiaj wprawdzie pustej, ale pomyślanej tak, aby w przyszłości oznaczała istotę z krwi i kości bądź konkretną rzecz. Przy tym, dodając do nazwy rzetelnej odpowiedni wskaźnik czasowy, „«Napoleon Bonaparte<sub>1804-1814</sub>» był cesarzem Francji”, można by było – w razie potrzeby – uzyskać precyzję niektórych twierdzeń większą niż ta, którą osiągnęły takie zdania, jak „Napoleon Bonaparte jest cesarzem Francji”, zawierające beczasowy łącznik „jest”. Tego rodzaju dodatek wskaźnika czasowego miewa niekiedy wpływ na wartość logiczną zdania. *Mutatis mutandis* stosuje się to do zastępowania wyrazu lub wyrażenia imiennego peryfrazą, np. zwrotu „autor *Ody do młodości*” zwrotem „autor *Pana Tadeusza*”. Wyrażenia te w elementarnych podręcznikach logiki są powszechnie uznawane za równoważne, choć różnoznaczące; oznaczają tę samą osobę, mają ten sam zakres. Ich desygnat, Adama Mickiewicza, ujmujemy beczasowo, ale mimo to uważamy za postać materialną, tę samą: zanim się urodził, a gdy już był na świecie, zarówno przed napisaniem *Ody do młodości*, jak po jej powstaniu, ale przed stworzeniem *Pana Tadeusza*, następnie potem, gdy oba utwory istniały, a ich autor żył, wreszcie i po jego śmierci. Natomiast po dodaniu do każdej z tych deskrypcji odpowiedniego wskaźnika czasowego okazałoby się, że wyrażenia te można uznać za równoważne, poczynając dopiero od daty powstania *Pana Tadeusza*; przed *Odą* oba by uważano za bezprzedmiotowe, między jej powstaniem a *Panem Tadeuszem* nie kwalifikowano by ich jako równoważnych, bo drugi zwrot wydawałby się pusty. Opatrzanie danej nazwy wskaźnikiem czasu dostarczyłoby kryterium pozwalającego wśród nazw rzetelnych rozróżnić podzbiory, z których każdy składałby się z nazw oznaczających konkrety istniejące w czasie określonym przez podany wskaźnik. Tymczasem tradycyjne pojęcie zakresu nazwy bez wskaźnika czasowego, zdefiniowane tak jak obecnie, jest zbiorem wszystkich desygnatów tej nazwy, przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. W zbiorze tym znalazły się obok siebie rzeczy empirycznie zaświadczone, aktualnie egzystujące, oraz takie, których na próżno by szukać, bo już przestały istnieć, oraz takie, których może nigdy się nie znajdzie, bo jeszcze nie zaczęły istnieć, a „któż za jutro mi zaręczy”. Przedstawiając możliwość opatrywania nazw wskaźnikiem czasu, poprzedzam tę propozycję czymś w rodzaju małego kwantyfikatora „niekiedy”, „w niektórych wypadkach”, „gdy okazuje się to przydatne do pewnych rozważań”. Nie naruszałoby to w sposób zasadniczy klasyfikacji nazw przyjętej w *Elementach*, lecz tylko wpłynęło na zaliczenie tej czy owej nazwy do tego, a nie innego podzbioru oraz na przepływ pewnych nazw z podzbioru niepustych do pustych lub na odwrót, zależnie od wskaźnika czasu przy danej nazwie. Zresztą wybór takiej czy innej klasyfikacji nie jest kwestią ideologii, lecz praktyczną sprawą wygody w tym a tym wypadku. Jestem świadom, że proponując uzupełnianie nazw wskaźnikiem czasu, odchodzę od następującego stanowiska, które zajął Tadeusz Kotarbiński:

Przyda [...] się [...] zastrzeżeni[e]. [...] Mówiąc, że istnieje taka a taka rzecz, nie przypisujemy jeszcze tym samym tej rzeczy teraźniejszości. Istnieje, w naszym



sensie, równie dobrze glob ziemski z okresu XX wieku, jak miniony Caius Juliusz Caesar lub [...] -przyszyły najstarszy mieszkaniec Rzymu z dn. 25 VII 2300. Bo „x istnieje” – to tyle, co „coś jest x-em” [...]; a termin „coś” równoznaczny z terminem „przedmiot”, wedle reizmu równoważny zakresowo terminowi „rzecz”, jest nazwą wszelkiej rzeczy, niezależnie od tego, czy to jest rzecz miniona, czy aktualna, czy przyszała. (Kotarbiński, 1993b, s. 123)

Wydaje mi się, że uwydatnienie, iż aktualnie istnieje(-a) rzecz(y) oznaczana(-e) nazwą niepustą, zgodne jest z linią *Elementów* jako biblii konkretyzmu. Pojęcie zakresu nazwy niepustej opatrzonej wskaźnikiem czasu, proponowane przeze mnie, byłoby tożsame z pojęciem denotacji, od którego Clarence Irving Lewis – przypuszczalnie kierując się podobną intencją – odróżnił swoje pojęcie komprehensji terminu. „Denotacją”, czyli „ekstensją” terminu nazwał klasę tych aktualnych rzeczy, do których się ów termin stosuje. Natomiast jego komprehensją miała być klasa tych potencjalnych rzeczy, do których można by ten termin poprawnie zastosować. Były to dwa spośród czterech sposobów znaczenia. Jako pozostałe obrał sygnifikację oraz intensję. Sygnifikację terminu stanowi ta własność rzeczy, której obecność albo brak determinuje komprehensję tego terminu. Wreszcie intensją terminu jest koniunkcja wszelkich innych terminów, które muszą być poprawnie stosowane do tego, do czego dany termin daje się poprawnie zastosować (Lewis, 1946). Zakres nazwy „rzecz”, który – według *Elementów* i *Zasadniczych myśli pansomatyzmu* (Kotarbiński, 1993b) – obejmuje wszelkie rzeczy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, nazwą tą nazwane, byłby połączeniem Lewisowskiej denotacji, czyli ekstensji terminu z jego komprehensją.

### **3.2.7. Semantyczna literalizacja wypowiedzi onomatoidalnych a pragmatyczna literalizacja wypowiedzi personifikacyjnych.**

Za tym, aby onomatoidów nie zaliczać do innej kategorii syntaktycznej niż pozostałe wyrazy i zwroty imienne, tj. nazwy niepuste oraz nazwy bezprzedmiotowe, przemawia w moim mniemaniu jeszcze jedna okoliczność. Jak zauważa Tadeusz Kotarbiński, sformułowania onomatoidalne mają charakter przenośny, doradza je więc w kluczowych miejscach tekstu naukowego zastępować literalnymi. Taka – nazwijmy ją – „literalizacja” czy „demetaforyzacja” przenośni polega najczęściej na tym, że wypowiedź przenośną przekładamy na wyśłowienie nieprzenośne, złożone z równoznaczników, a ściślej mówiąc – bliskoznaczników bądź przynajmniej równoważników odpowiednich członów oryginału. Gdy to czynimy, chyba w żadnym tego rodzaju przekładzie się nie zdarza, byśmy zamiast wyrazu lub zwrotu przekładanego proponowali wyraz lub wyrazy zastępcze należące do innej kategorii gramatycznej niż wyraz przekładany. Na przykład odpowiednikiem wyrazu imiennego rozumianego w sposób przenośny bywa w zliteralizowanym przekładzie jakiś inny wyraz imienny rozumiany dosłownie, nigdy zaś przyimek lub spójnik. Potwierdzenia tego faktu dostarcza m.in. szkic teorii przekładu zawarty w rozprawie Kazimierza Ajdukiewicza *Wyrażenia intensjonalne* (1971). Aby w definicji pojęcia przekładu uniknąć nieja-

sności związanych z wyrazem „znaczenie”, Autor rezygnuje z posłużenia się w niej pojęciem tożsamości znaczeń słowa *a* i jego przekładu *B*. Zamiast tego opiera swą definicję na pojęciach denotacji i pozycji składniowej każdego z tych wyrazów jako członów zdania przekładanego i jego przekładu. Już dzięki temu zostaje zagwarantowana tożsamość kategorii gramatycznej obu słów, a oprócz niej stopniowalność precyzji przekładu. Kazimierz Ajdukiewicz pisze:

[...] wyrażenie (*A*) jest przekładem *n*-tego stopnia – wyrażenia (*B*) zawsze i tylko wówczas, jeżeli – po rozwinięciu wszystkich występujących w nich skrótów – wyrażenia te zostają przekształcone w (*A'*) i (*B'*), wolne od skrótów oraz takie, że zachodzi jedno-jednoznaczne przyporządkowanie między wszystkimi członami *n*-tego i niższych rzędów jednego wyrażenia a członami drugiego, przy czym człon, między którymi owo przyporządkowanie zachodzi, 1) zajmują w (*A'*) i (*B'*), odpowiednio, takie same pozycje składniowe oraz 2) są wzajem równoważne, to jest denotują tę samą rzecz. (Ajdukiewicz, 1971, s. 138)

W zwykłym przekładzie z jednego języka etnicznego na inny język etniczny ubiegamy się o to, by w tłumaczeniu zachować nie tylko znaczenie, ale i wyraz, nastrój, słowem: kształt stylistyczny oryginału. Toteż m.in. jeśli w oryginale występuje metafora, przenosimy ją do przekładu. Natomiast literalizacja wypowiedzi przenośnej jest przekładem szczególnego rodzaju, zmierzającym do tego, by nastąpiła demetaforyzacja, tj. by metafora obecna w oryginale znikła w jego zliteralizowanym przekładzie. Po to, by ją usunąć, trzeba na wstępie zidentyfikować pewien odcinek oryginału jako przenośnię. I tu powstaje istotna kwestia: na jakiej podstawie pewien ciąg słów uznajemy za wyrażenie przenośne, inny zaś fragment za wyrażenie nieprzenośne, literalne? Przecież nie różnią się od siebie pod względem formalnym: ani brzmieniem, ani wyglądem. Mówiąc, słuchając mowy innych, czytając i pisząc, nie dostrzegamy zewnętrznych różnic między tekstami przenośnymi i nieprzenośnymi: jedno i drugie składają się z takich samych słów języka etnicznego, które występują w takich samych konstrukcjach. Mimo to powiadamy, że jedno „mają znaczenie przenośne”, a drugie – „nieprzenośne” albo że jedno „rozumiemy w sposób przenośny”, a drugie – „w dosłowny”. Otóż myślę, że identyfikacja wyrażenia w jako przenośnego, a lepiej „użytego w sposób przenośny”, następuje na podstawie doświadczenia życiowego każdego człowieka, przede wszystkim na podstawie doświadczenia ontologicznego, a oprócz tego – epistemologicznego i prakseologicznego. Wszak każdy z nas żyje otoczony wyłącznie rzeczami: patrzy na nie, dotyka, posługuje się nimi jako sprawca czynności oraz wytworów lub utworów tych czynności, sam jest przedmiotem materialnym i swojej materialności codziennie doznaje. Proponuję, aby dla potwierdzenia albo obalenia tej mojej hipotezy w sprawie kryterium metaforyczności sformułowań przeprowadzić następujący eksperyment: grupę respondentów, złożoną w połowie z przedstawicieli realizmu ontologicznego bądź epistemologicznego i w połowie z przedstawicieli idealizmu ontologicznego bądź epistemologicznego poprosić o wskazanie wypowiedzi przenośnych w odróżnieniu od nieprzenośnych w danym zbiorze przykładów.

Spodziewam się, że takich samych odpowiedzi udzielią realiści, jak idealiści, mimo że ich filozoficzne zapatrywania pozostaną niezgodne. Za „zwyczajne” bowiem, „normalne” wszyscy uważamy wypowiedzi, w których mowa wprost o rzeczach, między innymi więc o ludziach i zwierzętach. Pozostałe zaś odbieramy jako wyszukane, uczone, ozdobne, słowem – niezwyczajne. Zaliczamy do nich sformułowania przenośne.

Jak wiadomo, różne dyscypliny analizują metaforę z odmiennych punktów widzenia, np. z innego stylistyka niż psychologia. Sądzę, że splot zagadnień, którymi się tutaj zajmuję, wymaga zwrócenia uwagi na stopniowalność metaforyczności różnych sformułowań: jedno z nich są mniej przenośne, drugie bardziej przenośne. Na przykład powiedzenie „Odwołano premierę wskutek gwałtownego opadu śniegu” jest mniej przenośne niż „Odwołanie premiery nastąpiło wskutek gwałtownego opadu śniegu”. To pierwsze powiedzenie dzieli też mniejszy dystans od sformułowania dosłownego, z którego usunięto nazwy pozorne: „Odwołano premierę, bo gwałtownie padał śnieg”. Różne więc bywa nasilenie „przenośności” wysłowienia. Zależy to po części od tego, która odmiana metafory sprawiła, że całe sformułowanie ma przenośny charakter. Termin „metafora” występuje bowiem w znaczeniu szerszym bądź w kilku znaczeniach węższych.

Arystoteles zdefiniował metaforę następującymi słowami: „Metafora jest to nadanie czemuś nazwy czegoś innego przez przeniesienie jej albo z rodzaju na gatunek, albo z gatunku na rodzaj, albo z gatunku na gatunek, albo na zasadzie analogii” (Poetyka, XXI, 1457b)<sup>11</sup>. Pierwsze słowa powyższej definicji: „metafora jest to nadanie nazwy czegoś czemuś innemu”, odnoszą się do metafory w szerokim sensie, każdy zaś z następujących członów określenia – do poszczególnych gatunków metafory, mianowicie metafory właściwej, metonimii, synekdochy, hiperboli, ironii oraz antyironii. Tymi tropami stylistycznymi interesuje się m.in. poetyka, stylistyka, retoryka i różnie każdy z nich charakteryzuje (Pelc, 1971, s. 165 i nn.).

Z perspektywy semiotyki teoretycznej jako nauk o poznaniu i komunikacji istotne wydaje się znalezienie odpowiedzi na kilka pytań. Pierwszym z nich jest: czy tylko wystąpienie onomatoidu w wypowiedzi pociąga za sobą to, że staje się ona przenośna? – Nie tylko: nie każde sformułowanie metaforyczne zawdzięcza swój charakter przenośny wystąpieniu w nim onomatoidu(-ów). Oto np. w zdaniu „krew go zalała” – ani rzeczownik „krew”, ani zaimek „go” nie są onomatoidami, nie ma w nim więc onomatoidu, a mimo to jest ono metaforyczne; nie znaczy przecież, że cały ociekał krwią, lecz zawiera aluzję do udaru, czyli wewnętrznego wylewu krwi do mózgu, i po zliteralizowaniu przybierze postać „bardzo się rozgniewał” czy „bardzo się zdenerwował”, natomiast nie tylko nie wymaga urzeczowienia, ale urzeczowienie jest w tym wypadku niemożliwe, nie

---

<sup>11</sup> Arystoteles – starożytny kognitywista, uczeń innego kognitywisty, Platona; żaden z nich niestety nie publikował po angielsku w wydawnictwach mających wysoki *impact factor*].

sposób bowiem tak zmienić coś, co już jest rzeczą, aby na skutek tej zmiany stało się rzeczą.

Druga kwestia. Do sformułowań metaforycznych, w których nie występuje onomatoid, należą też takie zdania, jak: „Każdy egzemplarz wyrazu języka polskiego «koń» desygnuje, czyli oznacza – ściślej: może desygnować/oznaczać – tego lub owego konia”. Orzeczenie „desygnuje”, „oznacza” zostało w nich użyte w sposób przenośny, mianowicie jako metafora antropomorfizująca, „uczłowieczająca”, czyli personifikacja, uosabianie. Te dwa ostatnie terminy, choć zawierają częśćkę *persona*, „osoba”, odnoszą się nie tylko do ludzi, ale do każdego podmiotu sprawczego, także więc do zwierząt oraz uosobionych przedmiotów martwych, np. w zdaniu „słowo «stół» oznacza ten lub ów stół”. Bardzo wiele terminów semiotycznych, we wszystkich działach semiotyki, a więc syntaktyce, semantyce i pragmatyce, ma taki właśnie charakter. Tymczasem to przecież człowiek lub inny organizm doznający, użytkownik dowolnego znaku, a ściślej – tego, czym w danej chwili posłużył się jako znakiem czegoś (innego niż ów użyty egzemplarz znaku), to zatem interpretator znaku oznacza to a to, znaczy, wyraża itd. za pomocą tego znaku-narzędzia, natomiast żadnej z tych czynności nie wykonuje sam znak. Na czym polega zliteralizowanie, czyli zastąpienie powyższego przenośnego zdania sformułowaniem niemetaforycznym? – Na jego dezanimizacji, zdepersonifikowaniu, tj. w tym wypadku na zastąpieniu go słowami „Każdy egzemplarz wyrazu języka polskiego «koń» nadaje się na nazwę tego lub owego konia” albo „Każdy koń może być desygnatem dowolnego egzemplarza wyrazu języka polskiego «koń»”. Jeśli zestawimy zdania „Każdy egzemplarz wyrazu języka polskiego «koń» desygnuje tego lub owego konia” oraz „Każdy egzemplarz wyrazu języka polskiego «koń» nadaje się na nazwę tego lub owego konia”, może pojawić się wątpliwość, czy drugie z tych zdań jest przekładem pierwszego, w każdym razie, czy jest nim w znaczeniu określonym wyżej przez Kazimierza Ajdukiewicza. Jeśli jest to przekład, to *salva denotatio-ne*, nie zaś *salva sensu*: podaje równoważnik oryginału.

Przechodzę do trzeciej sprawy. Porównując z sobą dwa rodzaje zastąpienia sformułowań metaforycznych niemetaforycznymi, mianowicie sformułowania zawierającego onomatoidy sformułowaniem uwolnionym od onomatoidów oraz sformułowania personifikującego sformułowaniem uwolnionym od animizacji, można się skłaniać do tego, by o przekładzie mówić w odniesieniu tylko do uwalniania od onomatoidów, podczas gdy w drugim wypadku, kiedy eliminujemy personifikację – raczej o redukcji, sprowadzeniu do formy nieprzenośnej, nie zaś o typowym przekładzie.

W związku z tym wyłania się czwarta kwestia: jak się do siebie mają literaryzacja, czyli udosłownienie sformułowania przenośnego, i jego reifikacja, czyli urzeczowienie, to znaczy sprowadzenie do postaci, w której – odpowiednio zmodyfikowane – będzie dotyczyło materialnych rzeczy. A zatem od zabiegów literalizacji obu rodzajów należy odróżnić ich cel: reifikację wypowiedzi, tj. doprowadzenie ich do postaci, w której – w pierwszym wypadku – przedmiotem zdania jest (są) rzecz(y), w drugim zaś wypadku interpretato-

rem/nadawcą/odbiorcą wypowiedzi jest organizm doznający. Mamy tu więc do czynienia z dwoma rodzajami demetaforyzacji: literalizacją semantyczną i literalizacją pragmatyczną, oraz, odpowiednio, jako ze skutkiem każdego z nich – z reifikacją semantyczną i reifikacją pragmatyczną. Pierwsza staje się potrzebna, gdy w sformułowaniu są obecne onomatoidy, druga – ilekroć dochodzi do procesu semiozy, czyli posługiwania się znakami. W modyfikacji semantycznej nacisk kładziemy na to, o czym dana wypowiedź mówi, a w pragmatycznej – na to, kto mówi.

O pokrewnych sprawach Tadeusz Kotarbiński wspomina w następujących fragmentach artykułu *Humanistyka bez hipostaz*:

Przedmiot intencjonalny – to ten rzekomy przedmiot, do którego zwracamy się w swych aktach wówczas, gdy akty nasze mierzą w próżnię [...]. Myśląc o cyklopie Polifemie [...] „kierujemy się myślą” ku postaci fikcyjnej. Skoro fikcyjna, to nie ma takiego obiektu ani we wcześniejszej, ani w obecnej, ani w nadejść mającej rzeczywistości [...]. Czym jest właściwie dzieło twórczości literackiej? [...] Trzy bodaj tylko ma [somatyzm] przed sobą możliwości. Pierwsza – to uznać za utwór literacki całość złożoną ze słów, przy rozumieniu słów jako bytów cielesnych, np. napisów – oczywiście znaczących, wyposażeń semantycznie – ot tak, jak uznaje się za pieniądź banknot, kartkę papieru [...].

Druga możliwość [...]: dziełem będzie domyślna całość fragmentów samego [autora] [...] tym się odznaczająca, że [on] w ten właśnie sposób przeżywa [...]. Pod pewnym względem ta interpretacja odpowiada najlepiej zwykłemu zdrowemu rozsądkowi. Ten bowiem, zapytany, co za rzeczywistość urabia poeta komponując wiersz, przyzna chyba, że cała praca poety jest wewnętrzna, że w gruncie rzeczy, komponując, pracuje on nad sobą, a nie nad innym tworzywem [...].

Trzecia możliwość: [...] uznać, że na dobrą sprawę nie ma w ogóle, ściśle biorąc, żadnych [...] utworów literackich, tak jak nie ma „utworów”, gdy ludzie sobie rozmawiają, jak nie ma „utworów”, gdy się kto gimnastykuje [...]. Istnieją oto ludzie opowiadający. Można z sensem pytać, co opowiadają. Ale nie jest to pytanie o utwór. Nie jest w tym wypadku tak, jak wtedy, kiedy pytamy, co wytwarza jubiler, i odpowiadamy, wymieniając: pierścionki, brosze, naszyjniki itd. By odpowiedzieć na pytanie, co opowiada Homer, [...] sięgamy do [...] streszczenia „Odysei”. A streszczenie to bynajmniej nie opis streszczanego „utworu”, nie opis przedmiotu cielesnego [...]. Streścić poemat – to raczej przeżyć w skrócie luźnie naśladowczo za poetą mniej więcej tak, jak mu się roilo, to raczej tego poetę sobą odtworzyć [...] jako poetyzującego właśnie i wyrazić, wypowiedzieć się analogicznie do tego, jak by on się wypowiedział, poetyzując [...]. On zaś właśnie, wypowiadając się jako poetyzujący, mówił o Achillesie, o Odyszeuszu itd., ponieważ było mu tak, jak gdyby w jego obliczu wojowali i przygód doznawali tacy bohaterowie.

Zgoda więc na to, że historyk literatury bada dzieło. Ma to znaczyć, jeśli przyjmiemy pierwszą interpretację, że bada tekst, tkankę słów sensowną, interesując się tym, jak one znaczą po takim, po jakim rozumiał je autor, jak przeżywającego wyrażają one autora, pod tym względem, pod którym naśladowcą go wypadnie opowiedzieć, „że tak a tak było”, o takich istotach urojonych, o których on opowiadał, że tak właśnie z nim było. Zdaniem somatysty, historyk literatury nie ma do dyspozycji innych obiektów badania, jak tylko teksty oraz ich fragmenty,

ich twórców i odbiorców, a jeżeli dzieło literackie ma się składać z innych jakichś elementów – to poszukiwanie takiego obiektu jest poszukiwaniem [...] niebytu.

Ale istnieją przecież jakoś postaci zmyślone – tak powie przeciwnik: ba, wywierają one wpływ na czytelników, kształtują ich usposobienie i czyny [...]. „Przedmiot a istniał w wyobraźni osobnika B” – to tyle znaczy, co „Osobnik B roił sobie, jak gdyby coś było przedmiotem A” [...].

Czemuż jednak zatrzymujemy się tak długo przy pojęciu dzieła literackiego? Analogiczne wszak kwestie powstają w zastosowaniu do wszelkich utworów, gdzie pośredniczy słowo [...]. Któryż to obiekt jest np. określoną „nauką”, np. geometrią, zoologią, ekonomiką? Cóż to za przedmiot nosi nazwę kodeksu praw? [...] Istnieją teksty, istnieją tekstów tych autorowie i odbiorcy. Pośród nich jedynie i pośród ich fragmentów składowych można doszukiwać się obiektów, będących „utworami”, „dziełami”, „naukami”, „systemami norm” [...]. Nie ma żadnych obiektów, które by były całościami złożonymi z sensów zdań, gdyż nie ma takich obiektów jak sensy zdań. Jeśli więc kto żąda, by humanistyka badała dzieje nauk, systemów filozoficznych, systemów prawa, i rozumie to w ten sposób, że są to przedmioty humanistyki, podobnie jak minerały, rośliny i zwierzęta są przedmiotami badania naturalistów – ulega złudzeniu, popełnia hipostazę [...]. Historyk-humanista bada ludzi minionych i rzeczy, m.in. rzeczy przez nich ukształtowane. Ale interesuje się ludźmi tylko o tyle, o ile dowiedzieć się może, czym wypełnić miejsce po „że” lub po „by” w zdaniach głoszących „N.N. myślał, że”, „N.N. dążył do tego, by” [...] lub czym zapełnić miejsce po „wytworzył” w zdaniach głoszących „N.N. wytworzył...” itd. [...]

Rugując hipostazy ze świata pojęć, winniśmy byli może uderzyć przede wszystkim w antropomorfizm, piętnując obchodzenie się myślowe z instytucjami, zespołami ludzkimi itp. tak, jakby to były osobistości. To prawda, grzeszy się personalizacjami, ale personalizacja nie jest hipostazą, lecz deformacją, która przylącza się do hipostaz, dopełniając miary urojeń. (Kotarbiński, 1961, s. 572–578)

W przekonaniu o potrzebie wprowadzenia pewnych zmian w klasyfikacji nazw przyjętej w *Elementach*, utwierdza mnie jeszcze jedna okoliczność. Jest nią sposób, w jaki sam ich Autor spontanicznie, pod wpływem własnej intuicji językowej sformułował negatywną część swojego credo ontologicznego: pierwotnie nie cofał się przed powiedzeniami „nie istnieją cechy”, „nie istnieją stosunki”, „nie istnieją stany rzeczy, zdarzenia, zjawiska, przedmioty immanentne, znaczenia, treści, powszechniki”. Widocznie, tak jak reszta mówiących po polsku, nie dostrzegał w tych zdaniach nonsensu, czyli bezładu pod względem syntaktycznym. A i późniejsza refleksja, rozwinięta dzięki jego treningowi na akademickich studiach filologicznych, praktyce nauczyciela łaciny w szkole średniej, doświadczeniom tłumacza z łaciny i greki, naukowej i poetyckiej twórczości pisarskiej, wreszcie dążeniu i nawykowi do jasnego i precyzyjnego wyrażania myśli – żaden z tych czynników ani wszystkie razem nie skłoniły go do skorygowania tych wypowiedzi ani ich zaniechania. Wyrażają – moim zdaniem trafnie – myśl rdzennego reizmu. Dopiero recenzja Kazimierza Ajdukiewicza, który w tych sformułowaniach Autora *Elementów* wytknął mu niekonsekwencję w stosunku do pewnych jego twierdzeń jako zwolennika idei ontologii Stanisława Leśniew-

skiego, skłoniła Tadeusza Kotarbińskiego do rezygnacji z powtarzania tezy, że nie istnieją nierzeczy.

Streszczam to, co moim zdaniem jest najistotniejsze w powyższych uwagach na temat umiarkowanego reizmu semiotycznego. Ani nazwy puste, ani onomatoidy nie odnoszą się do rzeczy, czyli przedmiotów, które są fizykalnymi ciałami występującymi gdzieś i kiedyś. Zarówno nazwy puste, jak onomatoidy – właśnie dlatego, że są bezprzedmiotowe – chciałbym, jedno i drugie, mieć odseparowane od nazw, które coś oznaczają. Zarazem jednak nie zaliczałbym ich do osobnej kategorii syntaktycznej, odrębnej od kategorii nazw niepustych, ani do dwóch osobnych kategorii syntaktycznych, z których każda byłaby odrębna od kategorii takich nazw. Dzięki temu mógłbym powiedzieć: „nie istnieją, tj. nie są rzeczami: chimera, Zeus, narodziny, narodziny X-a, cechy, stosunki, zdarzenia, zjawiska, uniwersalia” – i mówiąc tak, nie popełniać nonsensu jako bezładu syntaktycznego.

Opowiadałbym się za takim rozwiązaniem, bo realizm praktyczny odradza mi wprowadzania krępujących zakazów, jeśli te nie są z jakichś powodów konieczne. Byłoby to, oprócz uszczuplenia zakresu kompetencji reizmu, drugie moje ustępstwo na rzecz umiarkowanej wersji tej doktryny. Obawiam się jednak, iż Tadeusz Kotarbiński by go nie zaakceptował, bo nie we wszystkim jest zgodne ze stanowiskiem Stanisława Leśniewskiego. Trzeba zaś wziąć pod uwagę, że modyfikacje i ograniczenia proponowane przeze mnie pociągnęłyby za sobą rezygnację z pewnych wskazań ontologii Leśniewskiego, a na to Tadeusz Kotarbiński chyba nie chciałby się zgodzić, trwał bowiem w przekonaniu, że

[...] cokolwiek mówić będą znawcy o jego [Leśniewskiego] dziełach [...], jedno pozostanie prawdą niesporną. Na podstawie długiego doświadczenia twierdzę – pisał Tadeusz Kotarbiński w roku 1964, a więc w ćwierć wieku od śmierci swego przyjaciela – że był to człowiek genialny, jedyny człowiek genialny, z którym los pozwolił mi się zetknąć w obcowaniu ongi niemal codziennym. (Kotarbiński, 1979b, s. 307)

A w *Przedmowie* do drugiego wydania *Elementów* Tadeusz Kotarbiński napisał o swej książce, że:

Jedną przynajmniej przynosi rzecz cenną. Mamy na myśli zarys rachunku predykatów Stanisława Leśniewskiego. *Elementy* zawierają wykład początków tego systemu, znanego pod nadaną mu przez twórcę nazwą „ontologii”. Niechże więc służą jako przypomnienie kilku fragmentów osiągnięć człowieka, bez którego udziału nie miałyby właściwego sobie, przesyconego „ontologią” oblicza. (Kotarbiński, 1961, s. 7)

### 3.3. Reizm ontologiczny, czyli pansomatyzm

#### 3.3.1. Pojęcie rzeczy.

Reizm-konkretyzm, tj. reizm-pansomatyzm, rzecz jako przedmiot realny przeciwstawia dwóm rodzajom przedmiotów nierealnych: idealnym oraz oderwanym. Wśród przedmiotów idealnych rozróżnia: a) powszechniki, tj. przedmioty idealne, które posiadają tylko cechy składające się na sens jakiejś nazwy o intencji ogólnej, b) przedmioty intencjonalne, czyli pomyslane, c) przedmioty umysłowe, nie będące zatem bodźcami ujmowalnymi zmysłami, np. cechy, dyspozycje, instytucje, prądy kulturowe. W kategorii przedmiotów oderwanych występują: a) abstrakty, będące produktami wyróżniania w myśli lub pomijania w myśli pewnych cech konkretów, jak: własności, stosunki, sensory, czyli treści, czyli znaczenia nazw, stany rzeczy, uniwersalia, czyli powszechniki, czyli przedmioty ogólne, odpowiadające nazwom o intencji ogólnej a utworzone w myśli przez pominięcie pewnych cech (Kotarbiński, 1961, s. 465).

Przed laty napisałem, że Tadeusz Kotarbiński w okresie budowania reizmu tak pojmował rzecz, jak ją opisywał szkolny podręcznik fizyki pod koniec XIX wieku. W wyobraźni zjawiała się wówczas bryła, coś trójwymiarowego. Ale w czterdzieści lat po opublikowaniu pierwszego wydania *Elementów* napisał:

Pojęcie rzeczy domaga się bliższych wyjaśnień od strony fizycznej, jeżeli ma objąć nie tylko ciało, lecz i cząsteczki i w ogóle obiekty, o których mówi fizyka. (Jak się ustosunkować z punktu widzenia somatyizmu, utożsamiającego rzeczy z ciałami, do fragmentów pola elektromagnetycznego). Najnatręciwsze jednak wyzwania słyhać ze strony teorii mnogości, która z wielkim powodzeniem operuje terminem „zbiór”, zastrzegając się stanowczo przeciwko utożsamianiu zbiorów z ciałami. (Kotarbiński, 1979a, 179)

W czerwcu 1930 roku, a więc kilka miesięcy po narodzinach *Elementów*, po raz pierwszy znalazłem się wraz z rodzicami w Zakopanem; zatrzymaliśmy się w Lwowianie na Bystrem. Po sąsiedniej Pardałowce biegali wtedy na bosaka góralscy chłopcy z okolicznych chat i przy sprzyjającym wietrze puszczały la-tawce. Fizyczny pośrednik między dłonią a zabawką, sznurek, wydawał się niezbędnym. Nie było pilotów do strojenia telewizorów niewidocznymi promieniami: nie do wiary – bez przyciskania klawiszy czy obracania gałką w odbiorniku; ba, nie było telewizorów, a radia spotykało się przeważnie detektorowe, z „kryształkiem” i słuchawkami. Dziś wnukowie tamtych dzieci, potomkowie obecnych właścicieli okolicznych hoteli, pensjonatów, „apartamentowców” i marketów, już w markowych adidasach, dżinsach i dresach „najki”, zajeżdżają z okolicy mercedesami lub harleyami i na nie zabudowanych jeszcze resztkach tej samej Pardałowki sterują modelami samolotów, a te posłusznie wykonują ewolucje pod dyktando fal radiowych – bez dotykania i ciągnięcia na sznurku. W naszej wizji urządzenia wszechświata następuje od półwiecza znamienna zmiana: przepływ z kategorii abstraktów do kategorii materialnych rzeczy. Re-



publice bytów cielesnych nie grozi więc wyludnienie. Abstrakcyjne własności, tj. cechy, które teoria mnogości traktuje jako zbiory w sensie dystrybutywnym, z punktu widzenia genetyki molekularnej okazują się nitkami DNA, czyli kłębkami materialnych białek umieszczonymi w chromosomach, a więc czymś cielesnym. I wprawdzie samodzielnie nie stanowią bodźców działających na nasze nieuzbrojone zmysły, jak twierdził reizm sprzed lat stu, gdy odróżniał rzeczy od nierzeczy, ale nikt nie wątpi o ich materialnej naturze. Radykalnie się zmieniła intuicja związana ze słowem „rzecz”, a dystans między rzeczą a nierzeczą zmalał wielokrotnie. Nie znaczy to jednak, by przestał istnieć. Zasadnicza więc myśl reizmu ostała się zdrowa i nie naruszona.

Zadaję sobie pytanie, czy uznając słuszność i zasadność uwag krytycznych zawartych w recenzjach, analizach i logicznych rekonstrukcjach argumentacji reisty, a na domiar dorzucając do tego spostrzeżenie na temat zmian pojęcia rzeczy, nie popełniam niekonsekwencji, gdy zarazem upieram się przy tym, że nie dokonały one wyłomu w murach i fundamentach doktryny Tadeusza Kotarbińskiego. Moim zdaniem spis powszechny lokatorów rzeczywistości empirycznej, jak również inwentaryzacja sprzętów, które się znajdują na świecie, nie postawiły nas przed koniecznością zrewidowania wyników konfrontacji materializmu z kierunkami antymaterialistycznymi. Dostrzegam nawet okoliczności, które właśnie obecnie przemawiają za podtrzymaniem i rozwijaniem tradycji reistycznych. Wśród wielu innych racji mam na myśli choćby wzgląd wychowawczy: potrzebę bronienia się przed tym wszystkim, czym zmysły i umysł małego dziecka są karmione codziennie od pierwszych chwil życia. Na każdym kroku prowadzi się małą bezkrytyczną istotę w „rajską dziedzinę uludy”. Przemawia do niej butelka, z której przez gadatliwy smoczek ssie renomowany napój dla niemowląt, a gdy dorośnie do nocniczka, telewizory pokażą, jak z jego wnętrza wypełzają ohydne zielone bakterie o wylupiastych oczach i rozdziawionych gębach rozmiaru monstrialnej głowy kijanki. Nie mam nic przeciw budzeniu i rozwijaniu imagacji dziecka. Zauważam tylko, że od niemowlęcia w jego świadomości zaciera się różnica między „realem” a tandetnym światem „wirtualnym”, który z *virtus*, cnotą, tyle ma wspólnego, na ile stać estetykę i artyzm „wizjonerów” od reklamy. Ich także, dziś już pełnoletnich osiłeków, od dni niemowlęctwa karmiono takim jadłem – *junk food*. Teraz sięgają po nie sami, wytwarzają tę żywność, sprzedają, spożywają i podają swemu potomstwu, bo im, choć dorosłym i fizycznie rozrośniętym, ale umysłowo na zawsze dziecinny, najbardziej smakuje to, co dawniej było obrazkową strawą duchową – jedynie dziatwy oraz mniej rozgarniętych dzierlatek i wyrostków.

### 3.3.2. Reizm rdzenny a reizm późniejszy.

Niedługo po ukazaniu się pierwszego wydania *Elementów* oraz zapoznaniu się z ich recenzją pióra Kazimierza Ajdukiewicza Tadeusz Kotarbiński opublikował w „Ruchu Filozoficznym” z roku 1930–1931 artykuł *Uwagi na temat reizmu*. Poglądy zawarte w tej rozprawie, związki inferencyjne między nimi

i rozłożenie w niej akcentów, gdy zestawić je z późniejszymi zapatrywaniami Kotarbińskiego, przedstawionymi pod koniec lat pięćdziesiątych, skłaniają mnie do tego, by oprócz utrwalonego już rozróżnienia reizmu semiotycznego oraz reizmu ontologicznego zaproponować drugie rozróżnienie: reizmu wcześniejszego i późniejszego. Reizm wcześniejszy, reizm z lat przed ukazaniem się *Elementów*, z okresu ich publikacji oraz bezpośrednio po niej, proponuję nazywać „reizmem rdzennym”. Autor *Uwag na temat reizmu* charakteryzuje w nich ów swój rdzenny reizm jako „stanowisko wyznawców tych oto mniemań”:

1. Wszelki przedmiot jest rzeczą. 2. Żaden przedmiot nie jest cechą stosunkiem, zdarzeniem, ani w ogóle żadnym z rzekomych przedmiotów należących rzekomo do którejkolwiek z innych kategorii ontologicznych niż kategoria rzeczy. 3. Terminy „cecha”, „stosunek”, „zdarzenie” oraz wszystkie inne rzekome nazwy rzekomych przedmiotów innych kategorii ontologicznych niż kategoria rzeczy – są nazwami pozornymi. (Kotarbiński, 1993d, s. 132)

Jak widać, Tadeusz Kotarbiński w tamtym okresie nie tylko nie skapitulował wobec zarzutów sformułowanych w recenzji *Reizm* Kazimierza Ajdukiewicza, ale nawet wzmocnił wyśłowienie swoich tez, o czym świadczy aż czterokrotne użycie przydawki „rzekomy”; nie jest to zastąpienie owych tez mocniejszymi, lecz jedynie stylistyczne akcenty w ich sformułowaniach. Zarazem jednak przyznał, że w jego, „wyznawcy reizmu”, mniemaniach można stwierdzić „niewątpliwe niedopowiedzenia i niejednolitości”, i przypomniał, że „znaczny ich poczet, choć wcale nie kompletny, wytknął prof. Ajdukiewicz w głęboko przemyślanej recenzji *Elementów*”. Odnosząc się do zarzutów podniesionych w tej recenzji, wyjaśnił, iż „rzecz” to tyle, co „ciało lub dusza”, przy czym przez „ciało” rozumie się „przedmiot rozciągliwy i bezwładny” w fizykalnym sensie tego terminu, przez „duszę” – „przedmiot doznający”, a przez „przedmiot” nazwę najogólniejszą, taką jak „coś” albo „być”. Założył też, że wszelka dusza jest ciałem. Teza, że wszelki byt jest ciałem lub duszą, innymi słowy, że wszelki przedmiot jest rzeczą, stanowi credo hipotetyczne, podobnie jak teza pansomatyzmu, głosząca, że wszelki przedmiot jest ciałem.

W artykule z roku 1935 *Zasadnicze myśli pansomatyzmu* powtarza te myśli:

Istnieje przynajmniej jeden przedmiot i wszelki przedmiot jest czymś cielesnym lub czymś doznającym [...]. Zamiast „coś cielesnego” będziemy mówili krócej „ciało”, zamiast „coś doznającego” – „dusza”. Wobec tego każdy przedmiot jest ciałem lub duszą. Zamiast „ciało lub dusza” będziemy mówili krótko „rzecz”, wobec czego każdy przedmiot jest rzeczą. Otóż każdego mniemającego, że każdy przedmiot jest rzeczą, jako takiego, nazywamy reistą; mówiąc swobodniej: pogląd, że każdy przedmiot jest rzeczą, nazywamy reizmem. (Kotarbiński, 1993b, s. 139–141)

Wśród powyższych mniemań na czoło zostały przez Tadeusza Kotarbińskiego wysunięte tezy ontologiczne. Dopiero po tezach ontologicznych nastąpiły

semiotyczne. Tym przede wszystkim się różni wcześniejszy, rdzenny reizm, od późniejszego.

W 1949 roku, a więc po dwudziestu latach od daty opublikowania *Elementów*, ukazał się artykuł ich Autora *O postawie reistycznej, czyli konkretystycznej*, zawierający m.in. takie oto uwagi na temat sposobów „uporania się z [...] przywarami myślenia, mającymi źródło w złych sugestiach mowy”, oraz na umiejętności „unieszkodliwienia wyrazów, a jednocześnie zachowania całego bogactwa cennej treści, które one niosą za sobą”:

[...] pragnąłbym skupić uwagę Czytelnika na jednym tylko z takich słownikowych drogowskazów, do którego przywiązuję wagę szczególną, mianowicie na dyrektywie reizmu. Czegóż domaga się reizm? Tego tylko, by w wypowiedziach ostatecznych, a więc i we wszystkich ostatecznych wyjaśnieniach słów, nie było innych rzeczowników jak tylko rzeczowniki lub przymiotniki konkretne. (Kotarbiński, 1949, s. 494–495)

W deklaracji tej skłonny jestem upatrywać początek późniejszego reizmu. Wprawdzie dotyczy ona „tylko słownikowych drogowskazów”, ale zarazem zawiera określenie „dyrektywa reizmu”, do której Autor „przywiązuje wagę szczególną”. A że zarazem rdzenny reizm przypada na lata dwudzieste i trzydzieste ubiegłego wieku, reizm późniejszy zaś na okres po zakończeniu wojny, więc też reizm wcześniejszy jest reizmem przedwojennym, podczas gdy późniejszy – reizmem powojennym, choć te okoliczności zewnętrzne nie mają wpływu na omawianą zmianę, jeśli nie poglądów, to rozłożenia w nich akcentów.

Oto czytamy:

Naprawdę, w myśl najgłębszej intencji, obwołując słowa „stosunek”, „cecha” etc. jako nazwy pozorne, mam na myśli pewien warunek prawdziwości zdań we wszelkim języku, w którym wedle intencji mówiącego słowa te nie oznaczają rzeczy. Otóż we wszelkim takim języku wszelka wypowiedź pociągająca za sobą formalnie egzystencję desygnatów takich słów może być prawdziwa o tyle tylko, o ile ma ona jakiś taki charakter zastępczy, nieliteralny, jakieś takie rozumienie wtórne, przy którym wspomniany dowód egzystencji na podstawie tego zdania nie mógłby znaleźć miejsca. Weźmy pod uwagę np. zdanie „Białość przysługuje śniegowi”. Formalnie zeń wynika egzystencja białości [...]. Otóż powiadamy, że słowo „białość” w tym zdaniu jest nazwą pozorną. Mówiąc tak zakładamy, że w języku wypowiadającego to zdanie osobnika słowo „białość” nie oznacza rzeczy [...] oraz twierdzimy, że w języku tak mówiącego, jeżeli to zdanie ma być prawdziwe – musi ono być rozumiane w jakimś sensie zastępczym, wtórnym (np. jako zastępnik zdania „Śnieg jest biały”), gdyż przy rozumieniu literalnym, założywszy zdanie tak zbudowane, moglibyśmy dowieść istnienia białości, czyli przedmiotowości nazwy „białość”.

Po tych roztrząsaniach tak próbowalibyśmy wypowiedzieć najważniejsze zdania spośród składających się na credo reisty, wystrzegając się dotychczasowych niedomówień i niejedności. 1. Wszelki przedmiot jest rzeczą (przy definicyjnym ustaleniu równoznaczności słowa „rzecz” i zwrotu „ciało lub dusza”). 2. Żaden przedmiot nie należy do którejkolwiek z innych kategorii ontologicznych

niż kategoria rzeczy, np. do kategorii cech, kategorii stosunków, kategorii zdarzeń. 3. Wszelkie zdanie, pociągające za sobą formalnie przedmiotowość zawartej w nim rzekomej nazwy przedmiotu innej kategorii ontologicznej niż kategoria rzeczy, ma za warunek takie wtórne rozumienie tego zdania, przy którym tej przedmiotowości na jego podstawie dowieść nie można [...]. Kamieniem węgielnym budowy jest teza pierwsza, głosząca, że wszelki przedmiot jest rzeczą [...]. Reizm zaś, wobec tego, to tyle, co wyznawanie [...] tezy, że wszelki przedmiot jest rzeczą. (Kotarbiński, 1993d, s. 134–135)

Porównajmy z sobą kolejno dwie wersje każdego z trzech zdań owego credo reisty. Te dwie redakcje występują w obrębie stosunkowo krótkiego, niespełna trzydziestowierszowego fragmentu *Uwag na temat reizmu*. Drugą redakcją, rozpoczętą słowami „Po tych roztrząsaniach”, Autor uznał za oczyszczoną z „niedomówień i niejednolitości” – zapewne głównie dzięki uwagom krytycznym w recenzji Ajdukiewicza. Teza pierwsza, którą Tadeusz Kotarbiński uważał za „kamień węgielny budowy”, została w owej drugiej wersji powtórzona z dodatkiem „(przy definicyjnym ustaleniu równoznaczności słowa «rzecz» i zwrotu «ciało lub dusza»)”. Teza druga została skorygowana, chyba znowu pod wpływem krytycznych uwag Kazimierza Ajdukiewicza: zamiast sformułowań w rodzaju „żaden przedmiot nie jest cechą” pojawiły się ostrożniejsze, mianowicie „2. Żaden przedmiot nie należy do którejkolwiek z innych kategorii ontologicznych niż kategoria rzeczy, np. kategorii cech, kategorii stosunków, kategorii zdarzeń”. Teza trzecia zamiast pierwotnej postaci „3. Terminy «cecha», «stosunek» itd. są nazwami pozornymi” otrzymała nowe sformułowanie: „3. Wszelkie zdanie, pociągające za sobą formalnie przedmiotowość zawartej w nim rzekomej nazwy przedmiotu innej kategorii ontologicznej niż kategoria rzeczy, ma za warunek prawdziwości takie wtórne rozumienie tego zdania, przy którym tej przedmiotowości na jego podstawie dowieść nie można”, a krótko „Wszelka rzekoma nazwa przedmiotu pozarzeczowej kategorii ontologicznej jest nazwą pozorną”. W drugiej wersji nie nastąpiła więc rezygnacja z istotnej treści twierdzeń merytorycznych, lecz tylko została wzmożona ostrożność wysłowienia.

Zatrzymam się przy kilku sformułowaniach zawartych w *Uwagach na temat reizmu*. W początkowym zdaniu aż dwa razy pojawił się tu wyraz „intencja”, w pierwszym wypadku wzmocniony słowami „naprawdę” i „najgłębsza”. W *Elementach* można znaleźć następującą uwagę w sprawie rozumienia słowa „intencja”:

[...] do istoty znaczenia należy wzgląd na intencję komunikacyjną, na to, co się chce komu przy pomocy danego zwrotu oznajmić, np. co się chce [...] przy pomocy danej nazwy o czymś orzec [...]. (Kotarbiński, 1961, s. 116)

Tadeusz Kotarbiński był, jak wiadomo, na Uniwersytecie Lwowskim im. Jana Kazimierza uczniem Kazimierza Twardowskiego, który na Uniwersytecie Wiedeńskim studiował pod kierunkiem Franza Brentana. Pojęcie intencji odgrywało w szkole Brentana ważną rolę. Oto autor *Psychologie vom empirischen*

*Standpunkt* sądził, że intencjonalność jest tym, co charakteryzuje akty świadomości, mianowicie polega na skierowaniu aktu ku jego przedmiotowi, transcendentnemu w stosunku do aktu, a zarazem odróżniającemu się odeń w sposób analogiczny do tego jak przechodniość, własność znaczeń pewnej kategorii czasowników, sprawia, że wymagają one dopełnienia gramatycznego, pośrednio zaś – przedmiotu czynności lub stanu, do których się ten czasownik odnosi ze względu na swe znaczenie. Pojęcie intencji podjęli uczniowie Brentana, wśród nich fenomenolodzy, m.in. Husserl. Twardowski zaś w swej rozprawie habilitacyjnej *Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen* (1894) odróżnił treść przedstawienia od jego przedmiotu. Tadeusz Kotarbiński, dając wyraz swej „najgłębszej intencji”, powiadomił czytelnika o kilku zasadniczych sprawach: że wyodrębnia kategorię semiotyczną nazw pozornych, że nazwy te nie oznaczają żadnych rzeczy, że dotyczy to każdego takiego języka jak ten, którym On sam się posługuje, wreszcie że to, iż żaden onomatoid nie oznacza rzeczy, uważa za warunek prawdziwości zdań, w których onomatoidy występują. Nie potrafię rozstrzygnąć, czy wyraz „intencja”, użyty przez Autora *Uwag na temat reizmu* w cytowanym ich urywku, występuje w nich jako termin dostosowany za pomocą definicji regulującej do użytku w rozważaniach o nazwach pozornych, czy jako równoważny zwrotowi „intencja komunikacyjna”, czy w sensie przyjętym przez Brentana, czy wreszcie w jednym ze znaczeń potocznych, a zatem „chęć (zwłaszcza faktyczna pobudka, niewidoczna jednak dla otoczenia sprawcy), cel, motyw działania, zamiar, zamysł, pragnienie”.

Druga rzecz warta odnotowania to użycie przez Tadeusza Kotarbińskiego słów „zakładamy” i „założywszy” Czym jest założenie, wyjaśnia Autor w innym miejscu:

[...] bywa [...] tak, że dane zdanie zakładamy, co stanowi coś zupełnie innego niż przyjmowanie hipotetyczne. Wobec treści zdania przyjmowanego w roli założenia też nie angażujemy się przekonaniowo, nie sądzimy ani nie domyślamy się, że tak jest, jak ono głosi. Występuje ono tylko w roli poprzednika okresu warunkowego. (Kotarbiński, 1955, s. 53)

W świetle tego wyjaśnienia początek przytoczonego fragmentu zaczerpniętego z *Uwag na temat reizmu* mógłby przybrać następującą postać: „jeżeli słowo «białość» nie oznacza rzeczy”, zakończenie zaś – „jeślibyśmy to zdanie tak zbudowali, moglibyśmy dowieść istnienia białości [...]” z jakim tokiem rozumowania mamy tu do czynienia? Autor informuje nas, że zakłada, iż słowo „białość” nie oznacza rzeczy, a więc zdanie „Białłość przysługuje śniegowi”, z którego formalnie wynika egzystencja białości jako pewnej rzeczy, musimy rozumieć zastępczo, przenośnie, bo w przeciwnym razie wyraz „białość” oznaczałby jakąś rzecz, co byłoby sprzeczne z przyjętym założeniem i niezgodne z przekonaniem reisty.

Rdzenny reizm wysuwał na czoło ontologiczną tezę konkretyzmu-pansomatyzmu: „Wszelki przedmiot jest rzeczą” i określał się słowami: „Reizm [...] to tyle, co wyznawanie tezy, że wszelki przedmiot jest rzeczą”. Z tej swojej tezy ontologicznej wysuwał opinie semiotyczne, że w zdaniach typu „Białłość

przysługuje śniegowi” takie wyrazy jak „białość” są tylko z pozoru nazwami oraz że tego rodzaju zdanie nie tylko rozumiemy, ale musimy zrozumieć w sposób wtórny, tj. jako zastępcze sformułowanie prawdziwej wypowiedzi literalnej „Śnieg jest biały”, w której zamiast onomatoidu „białość” występuje rzetelna nazwa „biały”. Dlaczego „musimy”? Dlatego, że gdybyśmy postanowili zdanie „Białość przysługuje śniegowi” rozumieć literalnie, to ponieważ z literalnego rozumienia wypowiedzi tak zbudowanej wynika egzystencja rzeczy, którą desygnuje podmiot gramatyczny zdania, musielibyśmy zgodzić się na to, że istnieje rzecz białość, a to byłoby sprzeczne z ontologiczną tezą reizmu-konkretyzmu. Widać więc, że orzeczenie „musi” zostało tu użyte w sensie logicznym – „musi być tak a tak to tyle, co: gdyby nie było tak, jak być musi, powstałaby sprzeczność”. A zatem w rdzennym reizmie jego twierdzenia semiotyczne – wyodrębnienie kategorii onomatoidów i nieliteralne rozumienie zdań, w których się orzeka o semantycznych korelatach owych onomatoidów, przyjmuje się, by salwować: a) bezpośrednio – prawdziwość zdań typu „Białość przysługuje śniegowi”, b) pośrednio – prawdziwość naczelnej, ontologicznej tezy pansomatyzmu, że wszelki przedmiot jest rzeczą. Taki był układ myśli w reizmie rdzennym.

Trzecia rzecz, na którą chciałbym zwrócić uwagę w urywku zaczerpniętym z *Uwag na temat reizmu*, to wystąpienie słów „credo”, czyli „wierzę”, i „wyznawanie”. To symptomatyczne, że wybór padł na wyrażenia spotykane w tekstach religijnych: zwrot „credo reisty” i „wyznawanie tezy”, mianowicie w zdaniu „Reizm [...] to tyle, co wyznawanie tezy, że wszelki przedmiot jest rzeczą”, a nie na wyrazy ze słownika nauk, np. na „wiem”, „uzasadnienie twierdzenia” lub im podobne. W *Elementach* można znaleźć eksplikację „świeckiego” znaczenia wyrazu „credo”:

Opowiadamy się [...] za hipotezą, że nie ma nic, co by nie było zasadniczo (z pominięciem trudności technicznych) postrzegalne zmysłowo, czyli co by nie mogło być desygnatem podmiotu zdania prawdziwego zmysłowo-spostrzegawczego. Takie jest np. zdanie „to jest żółte” wypowiedziane o strumieniu ciała lotnego, zwanym płomieniem sodu. Zakładamy, że tylko rzeczy bywają desygnatami nazw (a więc tylko rzeczy bywają desygnatami podmiotów takich zdań). Przypuszczamy dalej, że każda rzecz jest ciałem, czyli czymś rozciąglwym i opornym („bezwładnym” w sensie fizykalnym). Przyjmujemy, że żadne ciało nie jest układem elementów treści. Ten kompleks założeń stanowi nasze credo, a więc pogląd hipotetyczny a narzucający się wedle naszych skłonności; przy jego pomocy usiłujemy wybrnąć z zawilości teorii poznania, a nie mogąc go pozytywnie uzasadnić w sposób publicznie przekonywający, poprzestajemy na bronienu go przed zarzutami pozornie słusznymi. (Kotarbiński, 1961, s. 104–105)

Jakże często się zdarza, że do podstawowych spraw poglądu na świat, m.in. ontologicznych, istota *animal* – nierzadko – *irrationalis*, która sama się nazwała *homo* z dodatkiem eufemicznego epitetu *sapiens*, przystępuje zbrojna swoimi uprzednimi przekonaniem, niejednokrotnie wyrosłymi na podłożu emocjonalnym, wśród nich wierzeniami lub przesadami zakorzenionymi od dzieciństwa, odziedziczonymi po przodkach. A przekonania te nie zawsze są – tak jak na

szczęście są w tym wypadku – mądre i rozsądne, oparte na solidnym fundamencie bezwzględności doświadczenia własnego i powszechnego. Jeśli ogromną sumę wyników tego doświadczenia nazywa Tadeusz Kotarbiński „hipotezą”, „przypuszczeniem”, „kompleksem założeń”, „swoim credo, a więc poglądem hipotetycznym [...], narzucającym się wedle [osobistych] skłonności” i jeśli przyznaje, że „nie mogąc go pozytywnie uzasadnić w sposób publicznie przekonujący, poprzestaje na bronienu go przed zarzutami pozornie słusznymi”, to czyni tak nie pod wpływem wątpliwości, czy ma rację i czy jego poglądy są prawdziwe, lecz pod dyktamem ostrożności i rzetelności metodologicznej, która zdanie uzasadnione wprawdzie miliardami danych empirycznych, ale uzasadnione tylko częściowo, nakazuje odróżnić od zdania w pełni udowodnionego.

Przyjrzyjmy się z kolei tokowi myśli Tadeusza Kotarbińskiego wyrażonych przezeń w *Uwagach na temat reizmu*, rdzennego reizmu z lat narodzin *Elementów*, by następnie porównać go z tokiem myśli reizmu późniejszego. Tok myśli to nie to samo co ich układ. Taki a nie inny układ myśli powstaje po części w wyniku tego, w jakiej kolejności spostrzeżenia i na skutek nich refleksje zjawiały się jedne po drugich w naszej świadomości i jakie nasunęły nam pomysły. To wszystko zostaje następnie utrwalone jako układ myśli. Odróżniając rdzenny reizm od reizmu późniejszego, mam na względzie przede wszystkim układ myśli, inny w każdej z tych odmian doktryny. Natomiast geneza każdego z reizmów, tak rdzennego, jak późniejszego, tok myślenia poprzedzający je oba, okazują się bardzo podobne. Z toku myśli Autora zdaje sprawę m.in. Jego artykuł *Fazy rozwojowe konkretyzmu* (1958):

Zaczęło się [...] od wątpliwości w odniesieniu do cech [...]. Np. słyszymy, że cechy przysługują rzeczom albo że cechy tkwią w rzeczach. Co to za przysługiwanie. Mówi się tak, lecz chyba jakoś przenośnie. Wszak okrągłość nie pełni względem kul żadnych posług. Ani też nie tkwi w kulach jak gwóźdź w ścianie. Więc cóż chce się właściwie powiedzieć...? [...] tylko tyle, że kule są okrągłe. [...] [T]ak mówiąc, nie stwierdzamy bynajmniej o dwóch przedmiotach, że pozostają do siebie w jakimś stosunku [...]. Termin „okrągłość” jest „nazwą cechy”, lecz termin „okrągłe” nie jest nazwą cechy, tylko nazwą kul, rzeczy pewnych, nie będących cechami [...].

Wszelako i tak zwane nazwy stosunków nasuwają podobne refleksje [...]. I znowu w wypowiedziach ostatecznych zginęły pozorne nazwy stosunków, jako to „starszeństwo”, „braterstwo”, a ukazały się w zamian terminy „starszy”, „brat” [...] będące nazwami osób, a więc rzeczy, nie żadnych stosunków.

A dalej nie istnieją [...] także stany rzeczy. Niektórzy bowiem utrzymują wprawdzie, że zdania podmiotowo-orzeczeniowe, a pośród nich podmiotowo-orzecznikowe, oznaczają takie stany rzeczy, że np. zdanie „Warszawa leży nad Wisłą” oznacza określony stan rzeczy, mianowicie znajdowanie się Warszawy gdzieś nad Wisłą, ale czyż nie jest jasne, że kto stwierdza fakt (= stan rzeczy) znajdowania się Warszawy gdzieś nad Wisłą, ten tylko [...] stwierdza [...], że Warszawa leży nad Wisłą.

Skoro zaś tak się rzecz ma ze stanami rzeczy, czyli faktami statycznymi, to [...] analogicznie sprawa się przedstawia z faktami kinetycznymi, czyli ze zdarzeniami, np. z podróżą [...]. W sumie zatem: nie istnieją nie tylko cechy, lecz

i stosunki, i stany rzeczy, i zdarzenia, a złudzenie ich egzystencji ma źródło w istnieniu pewnych rzeczowników, sugerujących pomyloną ideę istnienia takich przedmiotów oprócz rzeczy [...]. (Kotarbiński, 1961, s. 504–505)

Przytoczony fragment zawiera Tadeusza Kotarbińskiego relację z Jego podróży myślowej do reizmu ontologicznego. Odcinki podobnego itinerarium można znaleźć w rozprawie tegoż Autora *Humanistyka bez hipostaz*, zawierającej przegląd rodzajów hipostaz, których dopuszczają się poszczególne dyscypliny humanistyczne. Na przykład czytamy, że

[...] językoznawcy, filologowie, teoretycy literatury wypowiadają się nieraz tak, jak gdyby uznawali za obiekty swych badań rozmaite byty niecielesne, np. paradygmaty deklinacyjne, formy budowy zdań, sensy wyrazów [...], postaci fikcyjne utworów piśmiennictwa, utworów rozumianych bynajmniej nie jako byty cielesne. A dalej, od historyków, socjologów, prawodawców słyszymy również, że badają oni fakty dziejowe, prądy kulturowe, ustroje społeczne, systemy prawne etc. I aż dziwaczne byłoby pytać, czy prąd kulturowy jest ciałem, czy system prawny odznacza się przewodnictwem elektrycznym lub innymi znamionami fizycznymi. Stoimy więc w obliczu zagadnienia, jak pogodzić somatyzm z tym wszystkim, co jest słusznego w przytoczonych oznajmieniach humanistów? [...] Jeżeli racja jest po stronie somatyzmu, w takim razie wszystkie owe słuszne oznajmienia humanistów mogą ostać się tylko pod warunkiem, że sens ich ma charakter przenośny, wtórny, zastępczy... Wszak np. powiedzenia „w lustrze” nie można brać dosłownie: chyba raczej „na lustrze”, jeżeli chodzi o powierzchnię odbijająca promienie, albo „za lustrem”, jeżeli chodzi o to, gdzie się sobie wydaje ulokowanym ktoś, kto się w tym lustrze przegląda [...]. (Kotarbiński, 1961, s. 566–568)

W jakiej więc kolejności następowały i jak zostały z sobą powiązane myśli, z których narodził się ich zmodyfikowany układ, mianowicie późniejszy reizm, o trzydzieści lat młodszy niż reizm rdzenny? W zacytowanym urywku *Humanistyki bez hipostaz*, artykułu z roku 1952, Autor uznaje za słuszne hipostatyczne oznajmienia, w których różne dyscypliny humanistyczne informują, co jest przedmiotem dociekań każdej z nich. Pragnie więc owe twierdzenia podtrzymać, ponieważ są mimo swego hipostatycznego charakteru trafne. W jaki sposób to uczynić? Odpowiedź przynosi zdanie „Jeżeli racja jest po stronie somatyzmu, w takim razie wszystkie owe słuszne oznajmienia humanistów mogą ostać się tylko pod warunkiem, że sens ich ma charakter przenośny, wtórny, zastępczy...”. A zatem ów późniejszy reizm-konkretyzm nie stawia już na czele – jak w *Uwagach na temat reizmu* (1930) – tezy ontologicznej „Wszelki przedmiot jest rzeczą” ani nie czyni z niej „kamienia węgielnego” doktryny, lecz umieszcza w poprzedniku okresu warunkowego zdanie „Jeżeli racja jest po stronie somatyzmu” i od uczynienia zadość temu warunkowi uzależnia przenośne interpretowanie twierdzeń humanistyki, a tylko dopiero pośrednio to, że zajmuje się ona konkretami.



Z kolei w artykule *Fazy rozwojowe konkretyzmu* należącym, tak jak i poprzedni, do reizmu późniejszego okresu, Tadeusz Kotarbiński pisze:

[...] czy główna jest w konkretyzmie teza ontologiczna, czy semantyczna. W początkach bowiem lubiło się powtarzać przede wszystkim, że każdy przedmiot jest ciałem, ostatnio zaś lubi się mówić, że w wypowiedziach ostatecznych giną wszystkie nazwy pozorne. Ale co to znaczy, że coś jest główne? Punkt wyjściowy w wykładzie doktryny stanowi ta ostatnia teza o zabarwieniu semantycznym, owa zaś sentencja ontologiczna służy pogłębieniu jej uzasadnienia. Bo uzasadnienie zasadnicze konkretyzmu jest naiwno-intuicyjne i pospolicie indukcyjne. Mianowicie zauważa się częstokroć, że chcąc wytłumaczyć komuś właściwy sens wypowiedzi zawierających rzeczowniki, które nie są nazwami rzeczy, dochodzi się do wypowiedzi, gdzie nie ma już takich rzeczowników. Tak np. tłumacząc powiedzenie „Jan dał drapaką”, wyjaśnia się je przy pomocy zdania „Jan uciekł”, a tłumacząc powiedzenie „Jan nie posiada się z radości”, wyjaśnia się je przy pomocy zdania „Jan jest ogromnie uradowany”. I narzuca się wtedy przypuszczenie, że tak jest zawsze. Oto rdzeń konkretyzmu genetyczny i morfologiczny niejako. A z kolei przychodzi na myśl, że to pewnie dlatego, iż wszelki obiekt poznania jest rzeczą, bo czymże jest poznanie, jeśli nie pewną reakcją na bodziec będący jego obiektem: kto poznae różne rzeczy, ten reaguje jakoś na te rzeczy. I to jasne, że tylko rzeczy bywają bodźcami: świecące płomienie, dźwięczące struny, naciśkające bryły itp. [...] Jeszcze krok dalej na drodze domysłów, jeszcze tylko założenia, że każdy przedmiot jest zasadniczo poznawalny, że jest zasadniczo możliwym obiektem poznania i że nie ma zatem innych przedmiotów – i gotów konkretyzm ontologiczny.

Wszelako ludzie rozsądni i wytrawni doradzają odróżniać ryzykowne domysły od twierdzeń solidnie ugruntowanych. Trudno więc, trzeba uznać ich rację i powiedzieć sobie, co następuje: konkretyzm w pełni dojrzały głosi z całą stanowczością tylko program. Zapowiada mianowicie, że z maksymalną uporczywością będzie próbował uwalniać się wszędzie od nazw pozornych. Nadzieje swe buduje on na częściowych niewątpliwych powodzeniach, a są to nadzieje pełni powodzenia w przyszłości. Nadzieja nie jest ani twierdzeniem, ani pewnością. Wolno ją żywić nawet wtedy, gdy wróżby augurów brzmią nieprzychylnie.

A tak właśnie brzmią wróżby kapłanów matematyki czystej. [...] Matematycy przyjmują, że istnieją klasy, a pośród nich – klasa pusta, i rozumieją klasy pono nie jako ciała. (Kotarbiński, 1961, s. 510–511)

Tak więc, jak w pismach z okresu rdzennego reizmu, także i w powyższym cytacie ze schyłku lat pięćdziesiątych – na starcie występuje spostrzeżenie semiotyczne i wynikająca zeń teza semiotyczna, nazywana przez Autora „semantyczną”, w szerszym sensie tego terminu, mianowicie opinia, że w wypowiedziach ostatecznych giną, a raczej powinny z nich zniknąć, nazwy pozorne. Na półmetku zaś tego reizmu późniejszego, już pod zmienionym mianem „konkretyzm”, pojawia się sentencja ontologiczna „Każdy przedmiot jest ciałem”, jednakże nie – tak jak dawniej – w roli głównej, „kamienia węgielnego” całej doktryny somatyzmu, lecz w roli służebnej: ma za zadanie pogłębić uzasadnienie twierdzenia semantycznego o wyodrębnieniu kategorii semantycznej nazw pozornych oraz ich usuwaniu z kluczowych twierdzeń. I wprawdzie to oznajmienie

zostało zawołowane retoryczną sentencją „co to znaczy, że coś jest główne?” oraz osłabione wyznaniem nie pozbawionym odrobiny kokieterii autorskiej – „W początkach [...] lubiło się powtarzać przede wszystkim, że każdy przedmiot jest ciałem, ostatnio zaś lubi się mówić, że w wypowiedziach ostatecznych giną wszystkie nazwy pozorne” – i tak wiadomo, że powodem modyfikacji nie jest kaprys zmiennego upodobania stylistycznego „w początkach lubiło się powtarzać”, „ostatnio lubi się mówić”, lecz poważniejsza przyczyna rezygnacji z pierwotnego zapatrywania. A co ów późniejszy reizm proponuje jako zasadnicze uzasadnienie konkretyzmu? Indukcyjne uogólnienie semiotycznych zdań szczegółowych w roli przesłanek, z których każda opisuje, jak komuś tłumaczymy właściwy sens zdań zawierających onomatoid: mianowicie traktujemy je jako sformułowania przenośne i przekładamy na wysłowienie literalne, z którego onomatoidy zostały usunięte i zastąpione nazwami ciał. I start zatem, i meta są semiotyczne. Dopiero tutaj przychodzi kolej na „ryzykowny domysł” o charakterze ontologicznym: że tego rodzaju wyjaśnienie sensu wypowiedzi onomatoidalnych i procedura eksplikacyjna z tym związana przychodzi na myśl „pewnie dlatego, iż wszelki obiekt poznania jest rzeczą, bo czymże jest poznanie, jeśli nie pewną reakcją na bodziec będący jego obiektem: kto poznaje różne rzeczy, ten reaguje jakoś na te rzeczy. I to jasne, że tylko rzeczy bywają bodźcami”. „Domysł” ten jest pierwszym krokiem na „drodze domysłów” i założeń, która prowadzi do konkretyzmu ontologicznego. Jednakże natychmiast konkretyzm ontologiczny zostaje, jeśli nie zdyskredytowany, to poważnie osłabiony odmową uznania, że głosi „twierdzenia solidnie ugruntowane” i powierzeniem mu roli propagatora i realizatora programu semiotycznego jedynie, a nie ontologicznego, mianowicie: „z maksymalną uporczywością będzie próbował uwalniać się wszędzie od nazw pozornych”.

Podobną myśl zawiera artykuł *Reizm: problemy i perspektywy rozwoju*, ogłoszony w roku 1968, a więc najpóźniejszy z dotychczas tutaj przywołanych:

Reistą czy konkretystą jest ten i tylko ten, kto usilnie dąży do tego, aby każde opisowe stwierdzenie zawierające terminy ogólne zastąpić zdaniem, które terminów takich nie zawiera. Mówiąc o terminach ogólnych mam na uwadze te wyrażenia, które nie są konkretne, a konkretne są tylko te, które są nazwami rzeczy [...].

Reizm z doktryny ontologicznej zabarwionej semantyką przekształcił się w doktrynę semantyczna zabarwioną ontologią. Uległ on przekształceniu także i pod jeszcze innym względem: na początku powiadaliśmy, że każde zdanie opisowe, którego nie możemy uwolnić od terminów ogólnych, jest nonsensem. Obecnie jesteśmy mniej radykalni i nie kwestionujemy poglądów tych, którzy się z nami nie zgadzają. Ograniczamy się do sformułowania programu, który zachęca do wysiłków mających na celu obywanie się bez nazw, które nie są nazwami rzeczy wtedy, gdy opisuje się rzeczywistość, a także do pozostawiania w tych opisach przynajmniej jednej nazwy rzeczy. (Kotarbiński, 1993c, s. 218–219 i 231)

Czego się dowiadujemy zestawivszy z sobą: (a) fragmenty *Elementów i Uwag na temat reizmu*, jedno i drugie należą do reizmu rdzennego, z (b) fragmentami *Faz rozwojowych konkretyzmu, Humanistyki bez hipostaz i Reizmu*:

*problemów i perspektyw rozwoju*, a więc ze stanowiskiem późniejszego reizmu? Otóż okazuje się ze wspomnień ich Autora, że w obu wypadkach tok jego myśli był w początkowych etapach taki sam. Zarówno w rdzennym reizmie, jak w reizmie po trzydziestu latach, na starcie zjawiało się spostrzeżenie, iż wypowiedzi, w których występuje onomatoid lub występują onomatoidy, nie sposób rozumieć w sposób dosłowny. Tyle, że w reizmie rdzennym owo spostrzeżenie odnosiło się do introspekcyjnej refleksji, jak Autor rozumie zdania, w których podmiotami gramatycznymi są nazwy pozorne cech, stosunków, stanów rzeczy, zdarzeń, zjawisk i powszechników, podczas gdy w reizmie późniejszym pamięć podsuwała wspomnienie własnych doświadczeń nauczycielskich, tego, jak tłumaczmy wychowankowi, co znaczą zdania zawierające onomatoidy. Spostrzeżenie to oraz analiza tych wypowiedzi doprowadzały do takiego zastępczego, wtórnego, przenośnego ich rozumienia, by po przełożeniu każdej na sformułowanie literalne odnosiła się do rzeczy. Jednakowa więc była geneza, zarówno rdzennej, jak i późniejszej wersji doktryny, geneza semiotyczna. Wspólna też była droga obu tych reizmów, aż do pewnego punktu. I reizm rdzenny, i reizm późniejszy wyodrębniły kategorię nazw pozornych oraz zgodziły się dążyć do ich usuwania w kluczowych twierdzeniach. Tutaj jednak ich drogi się rozeszły i ten w obu wypadkach jednak aż do tego punktu tok myśli doprowadził – jak widać – do dwóch różnych ich układów na mecie. Rdzenny reizm za główną uznał tezę ontologiczną, że istnieją tylko rzeczy, podczas gdy reizm późniejszy poprzestał na zaproponowaniu programu semiotycznego, polegającego na usiłowaniu, by wyeliminować onomatoidy z ostatecznych sformułowań. Według Tadeusza Kotarbińskiego reizm rdzenny był doktryną ontologiczną zabarwioną semantyką, a reizm późniejszy – doktryną semantyczną zabarwioną ontologią, a ponieważ słowa „semantyka” i „semantyczna” występują tu w szerszym sensie, należy je zastąpić terminami „semiotyka” i „semiotyczna”. Oprócz tego reizm późniejszy zrezygnował z obstawania przy poglądzie, że wszelkie wypowiedzi skażone obecnością w nich onomatoidu są nonsensami, czyli dopuszczają się bezładu syntaktycznego, i zapowiedział tolerowanie odmiennego zapatrywania, a zarazem wysiłki, by do opisów rzeczywistości nie wkraady się onomatoidy, natomiast by występowała w nich choć jedna nazwa rzeczy.

Który z tych dwóch reizmów bym wybrał? – Reizm rdzenny. A z reizmu późniejszego – zarówno program zastępowania onomatoidów nazwami rzetelnymi, jak obietnicę tolerowania odmienną praktyki. Dlaczego? – Z kilku powodów.

1. Wydaje mi się, że uniwersum ontologiczne ma chronologiczne pierwszeństwo przed semiotycznym: języki zostały uszyte na miarę rzeczywistości, a nie na odwrót, choć oczywiście między językami a rzeczywistością istnieje korelacja i zachodzą wzajemne wpływy w obu kierunkach. Ale – w odróżnieniu od metaforycznego „na początku było słowo” – niemetaforycznie interpretuję to zdanie i nie czyniąc tu żadnych aluzji do jego teologicznego sensu w *Wulgacie – Ewangelii wg św. Jana* 1, 1 – myślę po prostu, że na początku były inne rzeczy, nie słowa, choć i one są ciałami. Egzemplarze słów bowiem okazują się czymś materialnym: mianowicie egzemplarze akustyczne to narządy mowy osoby mówiącej,

które drgają podczas wymawiania, a skutkiem tych drgań wibrują w otoczeniu porcje ośrodka. Graficzne zaś egzemplarze słów to napisy, a więc materialne warstewki tuszu, atramentu bądź grafitu odpowiednio ukształtowane na materialnym podłożu albo ładunki elektryczne w układach aparatury elektronicznej. Z dwóch zaś przyczyn słowa nie pojawiły się na świecie pierwsze. Na długo bowiem przedtem, zanim na Ziemię zawitał *homo loquens*, istniała zarówno ona sama, jak inne przedmioty materialne na niej, wśród nich – wcześniej rzeczy niedoznające, a następnie, później niż indywidua przyrody nieożywionej – istoty doznające, poprzednicy człowieka; dopiero na końcu przyszła kolej na ludzi. A spośród rzeczy doznających, czyli organizmów żywych, użytkownicy innych niż słowa znaków – w szerokim sensie tego terminu – i systemów znaków narodzili się o wiele wcześniej niż użytkownicy słów oraz języków. W związku z tym potrzebna jest zmiana w pierwszym zdaniu tego punktu: wzajemne wpływy zachodzą nie między językami jedynie a rzeczywistością pozajęzykową, lecz między wszelkimi systemami semiotycznymi a rzeczywistością pozaznakową. W świecie semiozy znajduje się miejsce zarówno dla *lingua* i *oratio mentalis*, jak dla *lingua* i *oratio verbalis*, a *verbum* jest nazwą – nie tylko artykułowanych wyrazów każdego języka społeczności ludzkich, ale i wszelkich znaków, które służą organizmom żywym do wyrażania tego wszystkiego, co owe organizmy czują. Jestem przekonany, że ontogeneza i filogeneza, doznawanie, a więc między innymi poznanie, rozumienie i rozumowanie, byłyby niemożliwe bez udziału systemu znaków; dotyczy to zarówno człowieka, jak innych istot żywych. Języki, jak i wszelkie inne systemy znaków, tj. oznak, symboli, sygnałów, syndromów, znaków ikonicznych, odbijają rzeczywistość, są jej zwierciadłem, co widać choćby po rozroście słownictwa, postępującym wraz ze zwiększaniem się we wszechświecie liczby rzeczy ożywionych i nieożywionych oraz rozgałęzieniem ich relacji. Z drugiej strony, jak wspomniałem, nie tylko rzeczywistość, jej budulec i struktura, wpływają na kształt systemów semiotycznych, ale i na odwrót: budulec i struktura systemu semiotycznego wpływa na kształt rzeczywistości. Można na nią spojrzeć – jeśli ograniczyć się do spraw ludzkich – jak na zastawiony potrawami stół, na którym poukładano sztućce, zhierarchizowane narzędzia językowe: inne do zakąsek niż do pieczonego, jeszcze inne do deseru. Posługując się sztućcami, biesiadnicy nakładają sobie na talerze różnej wielkości i kształtu zestawy potraw. Wyrazy-noże służą do wykonywania innych zadań niż wyrazy-widelce i wyrazy-łyżki. Jedne narzędzia pozwalają na wykrawanie zdań, drugie słów-kęsów, jedne, by z tekstów na półmiskach nabierać sobie porcje, mniejsze fragmenty tekstu lub jeszcze mniejsze – akapity, i nakładać je na talerze, drugie, by łączyć jedne słowa-cząstki z innymi, tak iż powstają całości o określonym składzie i budowie. Każda operacja, dokonana łyżką, widelcem czy nożem daje wynik taki jak klasyfikacja, bo każda głoska, zgłoska, wyraz, zwrot, zdanie i tekst dzieli rzeczywistość językową, a za jej pośrednictwem oznaczany świat, na dwie klasy: wyróżnionych i niewyróżnionych; dlatego niektórzy strukturaliści powiadają, że wyraz to wiązka cech dystynktywnych (nie rekomenduję tego określenia, bo powiedzenie „wiązka cech” bez wymienienia,

czego są to cechy, wydaje mi się nazbyt hipostatyczne, a przydawka „dystynktywne” grzeszy redundancją, czyli nadmiarem, skoro na skutek uwydatnienia którejkolwiek cechy czegokolwiek powstaje nie co innego jak właśnie dystynkcja, czyli rozróżnienie). Sztuące semiotyczne służą do tego, by w budulcu rzeczywistości różnorako wyodrębnić takie lub inne fragmenty, skomponowane według pomysłu mówiącego i zależnie od jego potrzeb i celów, smaku i apetytu. Gdy rzeczywistość zestawiam z systemem semiotycznym, utworzonym w celu jej ujęcia, ta pierwsza jawi się nie tylko jako chronologicznie wcześniejsza niż on, który służy do jej opisywania, mówienia o niej oraz jej dogodnego w tym celu rozczłonkowania i porządkowania, lecz także bardziej istotna pod względem metodologicznym, bo „tak krawiec kraje, jak mu materii staje”, nie zaś na odwrót. Stąd reizm ontologiczny jako teoria bytu zajmuje się – tak sądzę – sprawą bardziej doniosłą niż dezynfekcja i melioracja języka, które są celem reizmu semiotycznego. I względem ten, nie jedyny wprawdzie, ale ważny, skłania mnie do opowiedzenia się za reizmem rdzennym, gdyż swym „kamieniem węgielnym” uczynił tezę ontologiczną „Każdy przedmiot jest rzeczą”.

2. Podczas gdy reizm rdzenny tezę tę wysuwa na plan pierwszy, reizm późniejszy nazywa ją „ryzykownym domysłem” i przyznaje, że „nie mogąc go pozytywnie uzasadnić w sposób publicznie przekonywający, poprzestaje na bronienu go przed zarzutami pozornie słusznymi”.

Według mnie nie jest to „ryzykowny domysł”, lecz uogólnienie indukcyjne „solidnie ugruntowane” przez całą dotychczasową ludzkość i świat zwierzęcy. Znajduje ono potwierdzenie w mowie: gdy pragniemy zrozumieć coś nieuchwytnego, metafizycznego, mistycznego, staramy się owo coś sobie uzmysłowić, czyli udostępnić zmysłom. A gdy poeta w znanej kolędzie duchowość Boga usiłuje uczynić możliwą do ogarnięcia ludzkim umysłem, nada jej kształt materialny, dostępny poznaniu zmysłowemu: „a Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami”. W encyklopedii z lat 1745–1756 napisanej przez Benedykta Chmielowskiego pt. *Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej scyencyi pełna [...] mądrym dla memoryjału, idyotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erigowana...* czytamy wyjaśnienie: „koń, jaki jest, każdy widzi”. Odwołuje się ono do spostrzeżenia, a spostrzeżenia właśnie – zdaniem m.in. Tadeusza Kotarbińskiego – stanowią źródło lub podstawę doświadczenia:

W sensie genetycznym empiryczne jest takie zdanie, które może być zrozumiane, tylko jeżeli [...] się obserwowano jeden z obiektów, oznaczanych przez jakąś z nazw wchodzących w skład tego zdania. Natomiast w sensie metodologicznym empiryczne jest dopiero takie zdanie, które do swego uzasadnienia wymaga przynajmniej jednej takiej przesłanki spostrzegawczej. (Kotarbiński, 1949, s. 493)

Na pytanie, na jakiej podstawie odróżniam nazwę „koń” jako niepusztą, od nazwy „centaur” jako bezprzedmiotowej, moja odpowiedź jest banalnie prosta, elementarna: nazwę „koń” jako niepusztą identyfikuję na podstawie doświadczenia zmysłowego, głównego źródła naszej wiedzy życiowej: nieraz widziałem konie, kiedyś na koniu jeździłem i powoziłem konnym zaprzęgiem. Natomiast

ani ja, ani nikt z mojej rodziny i znajomych nie widział centaury. Nie widział też ani nie dotykał i nie słyszał: pokory, odwrotności, spokoju, przemiany czy drzewa jako takiego. I na tej podstawie sędzę, choć tego nie wiem (jeśli „wiem” to tyle, co „wierzę, że  $p$ , oraz  $p$  i potrafię uzasadnić, że  $p$ ”), to znaczy nie umiem w pełni uzasadnić, że nie egzystują też, czyli nie istnieją jako materialne rzeczy, owe wymienione rzekome korelaty semantyczne onomatoidów.

Doświadczenie zmysłowe, zarówno moje własne, jak cudze, powszechne i bezwyjątkowe, doświadczenie każdego człowieka, także człowieka nie filozofującego, które mówi, że każdy przedmiot jest rzeczą – uważam za wiarygodne źródło wiedzy, a uzasadnianie bezpośrednio sądów, tj. uzasadnianie ich na podstawie doświadczenia, uznaję za godne zaufania. Toteż myślę, że – nie tylko w tym wypadku – jeśli jako źródło sądu mam do dyspozycji doświadczenie zmysłowe, bezpośrednie spostrzeżenie, to wybieram je jako podstawę, nie uciekam się zaś do wnioskowania. Odpowiednio, jeśli jako sposób uzasadnienia zdania mogę się odwołać bezpośrednio do świadectwa zmysłów, to stosuję takie właśnie uzasadnianie, nie uciekam się zaś do wnioskowania. Droga ta jest w obu wypadkach – i krótsza, i mniej ryzykowna, ponieważ nie biegnie przez wnioskowanie. Przyjmując zaś pewne zdania jako przesłanki wnioskowania, jesteśmy zobowiązani uprzednio je zweryfikować, a więc albo odwołać się do doświadczenia, albo uzasadniać pośrednio, co wydłuża procedurę i naraża ją na błędy przy dokonywaniu każdego kroku. To prawda, indukcja przez proste wyliczenie, która doprowadziła do wniosku, że każdy przedmiot jest rzeczą, nie wyczerpuje wszystkich wypadków przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, nie przynosi zatem niezawodnego wyniku. Ale mimo to dokonała przeglądu tylu przesłanek, że – jak sędzę – wniosek, do którego doprowadziła, nie zasługuje na miano „ryzykownego domysłu”, użyte przez Tadeusza Kotarbińskiego, podobnie jak nie zasługuje na nie przesłanka klasycznego sylogizmu kategorycznego „Każdy człowiek jest śmiertelny”. Jedno i drugie zdanie, zarówno „Każdy przedmiot jest rzeczą”, jak „Każdy człowiek jest śmiertelny” uznaję za prawdziwe, choć nie zostały w pełni udowodnione. Z całą pewnością również Autor *Elementów* był przekonany o ich prawdziwości, a nazwanie pierwszego z nich „hipotezą”, „przypuszczeniem”, „kompleksem założeń”, „swoim credo, a więc poglądem hipotetycznym [...], narzucającym się wedle [osobistych] skłonności” nakazała mu własna bezkompromisowa skrupulatność metodologiczna. Potwierdzenie słuszności tego mego głębokiego przeświadczenia znajduję w poglądach swoich nauczycieli, Tadeusza Kotarbińskiego i Kazimierza Ajdukiewicza. W „oświadczeniu i deklaracji” pierwszego z nich, które pochodzą, co w tym wypadku znamienne, z lat późniejszego reizmu, cytam:

[...] do reizmu doprowadziło mnie konsekwentne obstawanie przy somatyzmie. Byłem bowiem i jestem przeświadczony, że wyłącznymi przedmiotami poznania, gdyż wyłącznymi składnikami rzeczywistości działającymi lub zdolnymi do działania w charakterze bodźców na podmioty poznające, są ciała fizyczne; że zatem wszelka wypowiedź, rzetelnie oddająca rzeczywistość, musi się dać sformułować równoznacznie w samych zdaniach wyłącznie o ciałach, więc w samych zdaniach

zawierających spośród rzeczowników tylko takie, które nadają się na orzeczniki zdań o ciałach. To jest i było zawsze ukryte za kulisami systematyzacji – macierzyste dla mego reizmu, podstawowe przeświadczenie. Powstrzymałem się od wypowiedziania go z katedry, ponieważ nie umiałem, ani dotychczas nie umiem znaleźć dlań formy słownej dostatecznie adekwatnej i ponieważ zdając sobie sprawę z wymogów dzielnej argumentacji, krępowałem się głosić coś takiego wobec ludzi surowo i kompetentnie wymagających, choć przeświadczenie to narzuciło mi się z siłą nieodpartego przymusu, jako dyktando niezależnej ode mnie rzeczywistości, jako głos będący istotą aktu poznawczego i całości wszelkiego doświadczenia [...]. (Kotarbiński, 1952a)

Konkretyzm [...] rezygnuje [...] z tendencji do objęcia wszystkiego i wybiera postawę Diogenesa, ograniczając swój zakres do minimum. Nie nalega on zatem na orzekanie czegokolwiek o strukturze rzeczywistości, utrzymując na przykład, że tylko przedmioty fizyczne istnieją, choć szczerze mówiąc przychyła się on do takiego stanowiska. Nie obstaje też przy tezie, że każdy poznawalny przedmiot jest rzeczą, to jest rzeczą rozumianą jako przedmiot fizyczny, chociaż ze wszech miar skłonny byłby je przyjąć. Konkretyzm ogranicza się zatem do poglądu, zgodnie z którym utrzymuje się, że wszystkie sensowne zdania mogą być sformułowane w pewien sposób, nie ukrywa przy tym, że usiłuje on namówić wszystkich zainteresowanych do usilnego sprawdzania stosowalności tego sposobu tak dalece, jak to da się uczynić, i do posługiwania się nim jako kryterium wyznaczającym sensowność zdań. Nasz postulat mówi: jest rzeczą ważną, aby w zdaniach sprawdzonych do ostatecznej postaci (to jest pozbawionych metafor, skrótów i wyrażen zastępczych) nie pojawiały się pseudonazwy (to jest wyrażenia, które wydają się nazwami, ale nie są nazwami jakichkolwiek fizycznych przedmiotów). (Kotarbiński, 1993a, s. 209)

Emocjonalne wyznanie zawarte w *Odpowiedzi* z 1952 r., a także zacytowane wyżej słowa z r. 1959, nasuwają mi przypuszczenie, że ich Autor – również w okresie późniejszego reizmu – sercem pozostał przy reizmie rdzennym, choć jego ostrze stępił, zapewne licząc się z sądem „ludzi surowo i kompetentnie wymagających”, może Kazimierza Ajdukiewicza, może znawców teorii mnogości. Mogę więc chyba nie traktować swego opowiedzenia się przy reizmie rdzennym za odstępstwo od tego, co Tadeuszowi Kotarbińskiemu „narzuciło się z siłą nieodpartego przymusu”, a w porównawczej ocenie realizmu oraz idealizmu kazało wyrazić opinię, że „[...] idealizm, zarówno obiektywny, jak subiektywny, zarówno ontologiczny, jak epistemologiczny – obcy jest zdrowemu rozsądkowi, który obstawać zwykł przy realizmie” (Kotarbiński, 1961, s. 90).

Zgodny z nią pogląd zawarty jest w słowach Kazimierza Ajdukiewicza, który napisał, że prace własne, głębiej wnikające w zagadnienia ontologiczne i epistemologiczne, „doprowadziły [Go] do zdecydowanego przeciwstawienia się idealizmowi we wszelkiej jego postaci i do wypowiedzenia się stanowczo za stanowiskiem realistycznym” (Ajdukiewicz, 2004, s. 93).

3. Uważam introspekcję, choć jestem świadom jej wad, za wiarygodne źródło poznania. Nie ja jeden i nie ja pierwszy. Na przykład Tadeusz Kotarbiński wspomina o „wyjątkowej powadze obserwacji introspekcyjnych” (1961, s. 108).

Na podstawie introspekcji stwierdzam, że sformułowania przenośne odróżniam od nieprzenośnych i czynię to, kierując się poczuciem, a nie w wyniku uprzedniej analizy jednych i drugich. Intuicyjnie odgaduję, które są przenośne. Myślę, że to poczucie i ta intuicja zrodziła się i rozwinęła w każdym z nas oraz w innych osobnikach doznających, nie tylko w ludziach, dzięki doświadczeniu życiowemu, a więc na podstawie empirycznej. To dzięki zwiedzaniu Wenecji i czytaniu o niej wiem, że większość domów została tam zbudowana na podmokłym gruncie, a dzięki milionom swych własnych spostrzeżeń zmysłowych jestem przekonany, że w powiedzeniu „Ich współpraca została zbudowana na gruncie wzajemnego zaufania” gruntu, o którym tam mowa, nie można kopać łopatą, zaufanie zaś nie jest fundamentem wykonanym z betonu, więc że zdanie to należy uważać za przenośne. Jak widać, doświadczenia ontologiczne są glebą, z której wyrastają diagnozy semiotyczne. Powinienem tu powtórzyć za Tadeuszem Kotarbińskim: że „pogląd taki stanowi moje credo, a więc pogląd hipotetyczny a narzucający się wedle moich skłonności; przy jego pomocy usiłuję wybrnąć z zawilości [nauk o poznaniu i komunikacji, oraz że] nie [potrafię] go pozytywnie uzasadnić w sposób publicznie przekonywający”. Pogląd ten zasługuje na nazwę reizmu nie tylko umiarkowanego, ale i rdzennego. W świetle tych faktów nie narzuca mi się jako naturalne takie postępowanie, które się toczy w odwrotnej kolejności i dla indukcyjnego wywnioskowania, że każdy przedmiot  $P$  jest rzeczą, zamiast kolejno badać, czy przedmiot  $P_1$  jest rzeczą,  $P_2$  jest rzeczą,  $P_3$  jest rzeczą...,  $P_n$  jest rzeczą, polega na badaniu, czy zdania, w których nazwy „ $P_1$ ”, „ $P_2$ ”, ..., „ $P_n$ ” są podmiotami gramatycznymi, rozumie się dosłownie, czy przenośnie. Zarazem jednak przyznaję, że wypowiedzi semiotyczne typu „zdanie « $P$  jest  $N$ -em» rozumiemy w sposób przenośny” mogą – i taka właśnie była geneza reizmu – naprowadzać na myśl ontologiczną, iż przedmiot  $P$  jest rzeczą, lub stanowić dodatkowe uzasadnienie zdania ontologicznego, iż  $P$  jest rzeczą. Fundamentem wszelako są sądy ontologiczne; dopiero na ich podstawie stawiamy diagnozy semiotyczne.

4. Myślowa droga do poglądu ontologicznego, której przebieg rekonstruuje w swej pamięci Tadeusz Kotarbiński, nie każdemu jest dostępna. Nie każdy bowiem został obdarzony taką jak On zdolnością do autorefleksji i autoanalizy swych zachowań i czynności semiozycznych, nie każdy w zasobie swoich pojęć ma antonimy „użycie przenośne”, „użycie literalne” oraz umiejętność ich zastosowania w rozumowaniu, którego wynikiem jest wyodrębnienie nazw pozornych. Tymczasem to-co-naprawdę od tego-co-na-niby oraz to-co-dosłowne od tego-co-przenośne, a także to-co-na-serio od tego-co-na-żarty potrafimy odróżnić, choć nie mamy odpowiedniego ekwipunku intelektualnego ani erudycyjnego, bośmy go jeszcze nie uzyskali albo nigdy nie posiadziemy. Elementarne poczucie rzeczywistości zdobywamy, nie tylko ludzie, niemal od pierwszych chwil życia. Doświadczeniem poznawczym odebrany zarówno przez nowo narodzone dziecko, jak przez wszelkiego osobnika każdego gatunku, jest od pierwszych sekund życia zetknięcie fizyczne z mnogością składników materialnego otoczenia i powstałe dzięki temu spostrzeżenia. Choć jedynie człowiek, gdy wyjdzie



z okresu niemowlęstwa, potrafi te dane empiryczne werbalizować w postaci językowej, zdolne do postrzegania są także inne istoty doznające. Również i one wyniki swych postrzeżeń użytkują jako znaki-bodźce, by z odpowiednio przetworzonych budować „przesłanki” i „wnioski”-reakcje, a więc wiązać je w coś na kształt „rozumowań” sterujących zachowaniami i działaniami. To właśnie dzięki owemu poczuciu rzeczywistości, które mamy niemal od początku i nieustannie rozwijamy w codziennym ćwiczeniu, potrafimy uchwycić przenośność jednych, a dosłowność innych wypowiedzi. Wydaje mi się zatem, że na drogę wiodącą do reizmu ontologicznego, której początek Tadeusz Kotarbiński widzi w momencie uchwycenia metaforyczności sformułowań onomatoidalnych, wступujemy wszyscy znacznie wcześniej, jeszcze zanim nauczymy się mówić, a tym bardziej odróżniać metaforę od dosłowności. Ale wędrówka, choć zaczynamy ją w innym miejscu, zaprowadzi nas krótszą drogą do tego samego punktu, co Jego: do przekonania, że każdy przedmiot jest rzeczą. Jeżeli zatem moje przypuszczenia są słuszne i do identyfikacji pewnych wypowiedzi jako przenośnych, a innych jako nieprzenośnych, przystępujemy z wcześniej już nabytym przeświadczeniem ontologicznym, to krok pośredni, uświadomienie sobie, że wypowiedzi zawierające onomatoid są metaforyczne, okazuje się zbędny, a droga przez literalizację przenośni – drogą okrężną.

#### 4. REALIZM RADYKALNY

##### 4.1. Wyobrażenia, ich akt, przedmiot oraz treść

„Realizmem radykalnym” nazwał Tadeusz Kotarbiński swoje stanowisko filozoficzne w ontologii i teorii poznania. Jest ono konsekwencją, kontynuacją i rozszerzeniem reizmu na oba wymienione działy filozofii oraz wkracza na teren psychologii, która w czasach powstawania *Elementów* była jedną z głównych dyscyplin w obrębie uniwersyteckiej filozofii tzw. „ścislej”. Charakterystyka realizmu radykalnego znajduje się w *Elementach*, zwłaszcza w rozdziale i drugiej części tej książki, który zawiera rozważania na temat zagadnień teorii poznania, mianowicie wiadomości o wyobrażeniach, ich rodzajach, przedmiocie transcendentnym, immanentnym oraz treści wyobrażenia, a także o rodzajach idealizmu i realizmu oraz wzajemnym stosunku obu stanowisk, w rozdziale II zaś – o pojęciach, ich przedmiocie i treści. W *Elementach* i okresie od nich wcześniejszym pojęcia: wyobrażenia genetycznie spostrzegawczego, odtwórczego albo wytwórczego oraz przedmiotu immanentnego każdego z tych wyobrażeń, a przedmiotu transcendentnego – wyobrażeń spostrzegawczego lub odtwórczego, jak również pojęcie treści wyobrażenia, a także przedmiotu i treści pojęcia są narzędziami, które służą do przeprowadzania analiz w ontologii, teorii poznania i psychologii, a w szczególności – do zbudowania realizmu radykalnego i analizy tego kierunku. Dlatego wydaje się dogodne zacząć od przypomnienia, jak ta aparatura pojęciowa została przedstawiona w *Elementach*, po jej przeglądzie przystąpić do naszkicowania relacji między idealizmem a realizmem

w ontologii i teorii poznania opisanych w tej książce, by wreszcie na tym tle zarysować główne myśli realizmu radykalnego.

Na temat wyobrażeń czytamy:

Mniema się, [...] że [...] nauka jest to [...] układ wyróżnionych dla swej doniosłości sądów prawdziwych, [...] poprawnie uzasadnionych a zbliżonych treścią; sąd składa się jakoś z przedstawień, czyli wyobrażeń lub pojęć, i za warunek prawdziwości ma jakiś walor obiektywny tych składowych przedstawień.

Odróżnia się [...] samo wyobrażenie, zwane [...] aktem wyobrażania, od treści wyobrażenia i od przedmiotu wyobrażenia. Nieraz [...] wyobrażeniem nazywa się [...] treść wyobrażenia, a niekiedy i [...] przedmiot wyobrażenia, skąd częste nieporozumienia.

Pierwotne są [...] wyobrażenia spostrzegawcze, wtórne, czyli pochodne, bywają bądź odtwórcze, czyli pamięciowe, bądź wytwórcze, czyli fantazyjne. Wyobrażenia bywają wzrokowe, słuchowe, dotykowe i inne, jak również mieszane. Spostrzegawczość, odtwórczość i wytwórczość [...] bywają rozumiane subiektywnie, czyli psychologicznie, lub [...] obiektywnie, czyli genetycznie.

W subiektywnym rozumieniu wyobrażenie jest takie lub inne, zależnie od osobliwego piętna, właściwego treści tego wyobrażenia. I tak, wyobrażenie jest spostrzegawcze, ilekroć treść jego ma charakter rzeczywistości... [Więc] i halucynacje obłąkańca, i liczne wizje senne wypadnie przy tym rozumieniu zaliczyć do wyobrażeń spostrzegawczych. [...]

Odtwórcze będzie wyobrażenie, ilekroć treść jego ma charakter wspomnienia. Wytwórcze, przy tym rozumieniu, będą takie wyobrażenia, którym przysługuje piętno niereczywistości, bez piętna wspomnieniowego charakteru.

Podział wyobrażeń obiektywny: spostrzegawcze jest wyobrażenie wtedy, kiedy jest doraźną reakcją na podniecie dla narządów zmysłowych [...] odtwórcze jest wtedy, kiedy jest reakcją powtórną na tę podniecie... Wytwórcze wyobrażenie nie jest spostrzegawcze ani też nie jest odtwórcze [...].

Obu rozważonym [...] interpretacjom spostrzegawczości, odtwórczości i wytwórczości można przeciwstawić interpretację [...] zrelatywizowaną [...]. Takie powiedzenia, jak „wyobrażenie lwa”, „wyobrażenie cyklopa”, gdzie przy słowie „wyobrażenie” figuruje jakiś dopełniacz, [...] mogą być rozumiane [...] immanentnie bądź transcendentnie [...]. Jan ma w rozumieniu immanentnym wyobrażenie czegoś okrągłego, świetlistego, złocistego [...] zawsze i tylko, jeżeli wydaje mu się, jakoby było przed nim coś okrągłego, świetlistego, złocistego [...]. Przy rozumieniu zaś [...] transcendentnym, „Jan ma wyobrażenie czegoś takiego a takiego” to tyle, co „Jan reaguje wyobrażeniem (bezpośrednio lub pośrednio) na coś takiego jako na podniecie”. (Kotarbiński, 1961, s. 81–85)

Tadeusz Kotarbiński zwracał uwagę na to, że na ogół nasze wyobrażenia nie występują w postaci czystej:

Trudno przypuścić, by osobnik mający pamięć dawniejszych spostrzeżeń, między których śladami potworzyły się już skojarzenia, mógł mieć jakie wyobrażenie wyłącznie spostrzegawcze, bez elementów odtwórczych i wytwórczych, lub wyłącznie odtwórcze, bez elementów wytwórczych; że zaś [...] wyobrażenia wytwórcze zawsze mają odtwórcze składniki, to przyznają wszyscy. Każde zatem, jak się

zdaje, przeżywane przez osobę myślącą wyobrażenie musiałoby stanowić syntezę rozmaitych [...] składników i chcąc takie poszczególne wyobrażenia zaliczyć bądź do tej, bądź do innej rubryki, musielibyśmy kierować się bodaj tym, co w danym wyobrażeniu przeważa: widzenie (lub słyszenie itp.), zabarwione pierwiastkami wspomnieniowymi i fantazyjnymi, wspomnienie, przez fantazję zmodyfikowane, lub wreszcie urojenie fantastyczne nie bez składników wspomnieniowych. (Kotarbiński, 1961, s. 82)

#### 4.2. Pojęcie, jego akt, przedmiot, przedmiot intencjonalny oraz treść

Pojęcia stanowią drugi obok wyobrażeń rodzaj przedstawień, a wraz z wyobrażeniami dwa składniki sądów. Przy tym ani sąd, ani wyobrażenia, ani pojęcia nie są materialnymi kawałkami, a zatem i słowo „składnik” nie oznacza tu jakiegось materialnego fragmentu.

Pojęciem [...] nazywa się [...] sam akt pojmowania, kiedy indziej treść odpowiadającą temu aktowi [albo] przedmiot odpowiadający tej treści. Ale gdy jako treść wyobrażenia występuje [...] całość złożona z jakości zmysłowych, treść pojęcia [...] stanowią „cechy”, a więc nie biała plama barwna czy biała barwa np., lecz białość [...] etc.

Spekulacja na temat pojęć rozwija się niemal wyłącznie na tle analizy użytku nazw, i to przeważnie ogólnych. Przez treść pojęcia rozumie się konotację odpowiedniej nazwy, czyli cechy współoznaczane łącznie przez tę nazwę [...], [a więc] znaczenie, [czyli] sens tej nazwy [...]. Wyłania się [szersze] rozumienie wyrażenia „treść pojęcia”, wedle którego treść pojęcia [...] wypowiedzianego przez zwrot „A” – to tyle, co znaczenie zwrotu „A” [...]. Żaden przedmiot nie jest [...] znaczeniem danego zwrotu [...], żaden przeto przedmiot nie jest też treścią pojęcia.

Samo słowo „pojęcie” jest nazwą pozorną [...] „Jan ma pojęcie *M*-a” to tyle, co „Jan rozumie [wyraz] *M*”.

Przedmiot pojęcia. (1) Przez „przedmiot pojęcia *M*-a” rozumie się [...] powszechnik odpowiadający nazwie „*M*”. (2) w przypadku nazw jednostkowych – jedyny desygnat tej nazwy. (3) Każdy z jej desygnatów – ze względu na dane jej znaczenie i tyle jest przedmiotów pojęcia [np.] przestępcy, ilu jest przestępców minionych, obecnych i przyszłych. (4) To, o czym się mówi używając [...] nazwy jako podmiotu, [...]. [Gdy w podmiocie występuje nazwa pusta, jej przedmiot jest] intencjonalny, coś, do czego jakoś myślowo odnosi się mówiący w sposób podobny do tego, w jaki odnosi się do tego „co sobie wyobraża” [...] w sensie immanentnym. Mamy tu zatem przedmiot pojęcia rozumiany analogicznie do immanentnego przedmiotu wyobrażenia [...]. Różnica w tym, że na pytanie, co to jest przedmiot immanentny wyobrażenia, otrzymuje się odpowiedź [...], że jest to to, co sobie wyobrażam, a na pytanie, co to jest przedmiot intencjonalny pojęcia, otrzymuje się odpowiedź [...], że jest to to, o czym myślę. „To, o czym się mówi w danym zdaniu” znaczy też częstokroć „desygnat nazwy będącej podmiotem tego zdania” [...]. Odróżnienie „treści pojęcia” i „przedmiotu pojęcia” nie zawsze bywa [...] respektowane.

Powstaje kwestia, czy wszystko, cokolwiek sobie ktoś przedstawia pojęciowo, wyobraża on sobie również [...]. Nie [...]. Bywa bodajże i odwrotnie: wyobrażamy sobie [...] coś, lecz nie przedstawiamy sobie tego czegoś pojęciowo, gdyż nie przeżywamy zarazem rozumienia jakiejś nazwy. (Kotarbiński, 1961, s. 112–114 i 118–122)

### 4.3. Idealizm a realizm

Problematyka realizmu radykalnego rozwija się na tle kontrowersji między idealizmem a realizmem w teorii poznania oraz ontologii. *Elementy* – jeśli się ograniczyć do zwięzłego zestawienia cytatów – ujmują tę różnicę stanowisk w następujący sposób.

Idealisci [...] twierdzą, że to wszystko [...], cokolwiek my byśmy nazwali przedmiotem transcendentnym [...] wyobrażenia spostrzegawczego, jest układem elementów treści tego wyobrażenia. Taki idealizm nazywać będziemy epistemologicznym. Idealizm ontologiczny [...] twierdzi, że każdy przedmiot jest układem elementów treści [...] i nie przesądza, czy są [one] elementami treści czyjegoś wyobrażenia [...]. [Jeden i drugi] idealizm bywa subiektywny [bądź] obiektywny. Idealizm subiektywny uważa wszelki element treści za element treści czyjegoś wyobrażenia, a idealisci subiektywni skrajnego odłamu twierdzą, iż wszelki element treści jest czymś psychicznym.

Idealizm obiektywny w postaci ostrożniejszej [...] wstrzymuje się od zdania w tej materii, a idealizm obiektywny skrajny głosi wprost, że bywają elementy treści, które nie są elementami treści niczyjego wyobrażenia, a [...] tym bardziej nie są niczym psychicznym. Dla wszelkiego tedy idealisty [...] przedmiot zewnętrzny wyobrażenia spostrzegawczego utożsamia [się] z jego treścią [...].

Ze stanowiska idealizmu nie ma [...] tak rozumianych przedmiotów wewnętrznych wyobrażenia spostrzegawczego: każdy przedmiot oglądany, dotykany etc. jest „wewnętrzny”, czyli złożony z elementów treści, a jak chcą subiektywiści, nadto jeszcze wewnętrzny w tym sensie, że psychiczny.

Treść i tylko treść wyobrażeń jest „bezpośrednio dana”, zarówno w przypadku wyobrażeń pochodnych, jak [...] pierwotnych [...]. Że to, co widzę [...], jest układem plam barwnych, to dla idealisty jest [...] dane w doświadczeniu, bezpośrednio, gdyż nie za pośrednictwem domysłu [...]. (Kotarbiński, 1961, s. 81–84 i 86–88)

Podobną charakterystykę stosunku idealizmu do realizmu zawiera artykuł Tadeusza Kotarbińskiego datowany o rok później niż pierwsze wydanie *Elementów*:

Idealisci utożsamiają przedmiot postrzegany z treścią wyobrażenia spostrzegawczego, twierdząc np., że oglądana cytryna składa się z jakości zmysłowych, jak żółta barwa, kształt owalny etc. Dla nich tedy istnieją tylko treści, nie istnieją natomiast przedmioty różne od treści. Realisci odróżniają przedmiot postrzegany od treści wyobrażenia spostrzegawczego, twierdzą, że co innego jest sama cytryna, a co innego – układ jakości (a więc barw, kształtów, woni itp.), które, jak zdaje się postrzegaczowi, przysługują tej cytrynie. Dla realistów tedy istnieją nie tylko treści, lecz nadto przedmioty postrzegane, różne od treści. To jednak jest charakterystyka realizmu w postaci umiarkowanej. Jest on kompromisowy, dualistyczny, uznaje bowiem istnienie owych dwu światów, świata treści, czyli w pewnym sensie świata wewnętrznego, i świata przedmiotów postrzeganych, czyli w pewnym sensie świata zewnętrznego [...]. Otóż jeśli po prawicy realizmu umiarkowanego umieścimy idealistów, natenczas po lewicy tego kierunku umieścić wypadnie [...]

realizm skrajny, stanowczy, radykalny [...]. Realista radykalny uznaje tylko świat zewnętrzny [...]. Dla niego istnieje cytryna, nie będąca bynajmniej układem barw, kształtów, woni etc., nie istnieją zaś wcale same barwy, kształty, wonie etc. (Kotarbiński, 1930, s. 269–270)

#### 4.4. Narzędzia pojęciowe do analizowania stanowisk idealizmu i realizmu

Powyższe rozmieszczenie odmian idealizmu i odmian realizmu wymaga dla swej adekwatności, aby w użyciu wszystkich tak licznych w dziejach filozofii uczestników długotrwałego sporu między tymi dwoma obozami każdy z osobna ze zwrotów – „przedmiot postrzegany”, „rzecz zewnętrzna”, „przedmiot zewnętrzny”, „przedmiot transcendentny”, „przedmiot wewnętrzny”, „przedmiot immanentny”, „bezpośrednio dany”, „obraz” itd. – zachował w całym wywodzie to samo znaczenie, należycie sprecyzowane. Tymczasem obawiam się, że dochodziło do ekwiwokacji. Nie mam pewności, czy narzędzia pojęciowe, takie jak: „treść”, „element treści”, „układ elementów treści”, „widok”, „układ widoków”, „czucie” itd., użyte do analizowania rozmaitych odmian poglądów idealistycznych oraz realistycznych, zostały najszcześliwiej dobrane i odpowiednio wystrzone przed ich użyciem. Zresztą i pewne znamiona stylistyczne sformułowań, które występują w *Elementach* w rozdziałach o wyobrażeniach i pojęciach, o ich aktach, treściach i przedmiotach, odczytuję jako sygnały nadane przez Autora, że te narzędzia pojęciowe zostały w wykładzie ujęte w sposób przenośny i spostrzegal ich niedoskonałość. Do takich sygnałów zaliczam np. słowa „jakość” i „jakiś” w zdaniu: „[...] sąd składa się jakoś z przedstawień, czyli wyobrażeń lub pojęć, i za warunek prawdziwości ma jakiś walor obiektywny tych składowych przedstawień” (Kotarbiński, 1961, s. 81). Wyraźne zaś ostrzeżenie przed niedostateczną precyzją terminologiczną zawarł Autor *Elementów* w słowach: „Nieraz [...] wyobrażeniem nazywa się [...] treść wyobrażenia, a niekiedy i [...] przedmiot wyobrażenia, skąd częste nieporozumienia” (s. 81). Niemal takie same słowa Autor powtarza o treści pojęcia i przedmiocie pojęcia (s. 119).

Gdy czytam urywki, które zacytowałem z rozdziałów o wyobrażeniach i pojęciach w *Elementach* Tadeusza Kotarbińskiego oraz z artykułów na temat różnych rodzajów idealizmu i realizmu, w niejednym miejscu natrafiam na zagadnienia, które wymagają rozważenia, gdyż ich rozstrzygnięcie może wpłynąć na adekwatność przedstawienia różnic między wymienionymi dwoma kierunkami myślenia o istnieniu i poznaniu. Na przykład więc dowiedziawszy się, że „gdy jako treść wyobrażenia występuje [...] całość złożona z jakości zmysłowych, treść pojęcia [...] stanowią «cechy», a więc nie biała plama barwna czy biała barwa np., lecz białość... etc.”, zadaję sobie pytanie, czym się różni jakość zmysłowa od cechy. Czy trafnie się domyślam, że każda jakość zmysłowa jest cechą, ale nie każda cecha jest jakością zmysłową? Na przykład w zestawieniu biała plama barwna, biała barwa, białość, a z drugiej strony np. chytrość pierwsze trzy byłyby jakościami zmysłowymi, mianowicie wzrokowymi, a czwarta – nie. Tak mi się wydaje, gdy się zastanawiam, czy ktoś usłysawszy odpowiednie zwroty, coś sobie wyobrazi, jeżeli zareaguje na nie spontanicznie, „bez mędrko-

wania” – jak pisze Tadeusz Kotarbiński – czy też albo nic sobie nie wyobrazi, albo u różnych ludzi powstaną rozmaite przypadkowe wyobrażenia, które przez skojarzenie przyplączą się do danego wyrazu, w tym wypadku do wyrazu „chytrość”. Plama barwna to – zależnie od interpretacji odpowiedniego wyrażenia – albo rzecz, albo jakość. Oto nieraz przez zwrot „plama barwna” rozumiem pewną rzecz, np. bardzo cienki plasterek białej farby, którą została zabrudzona powierzchnia jakiegoś przedmiotu; wówczas biała plama jest bryłą. Podobnie, gdy słysząc „plama”, myślę o kawałku podłoża zabarwionym na wskroś. Tak jest w bajeczce bodajże Jachowicza „Staś na sukni zrobił plamę”, na co, strofując go, „plama – głupstwo, mama doda, ale ponczu, ponczu szkoda”. Plama z ponczu, to nasiąknięty nim kawałek materiału i zaschnięta odrobina tego trunku. Podobnie w *Zemście* Aleksandra Fredry, gdy Cześnik dyktuje Dyndalskiemu list, a ten zrobił kleks i usprawiedliwia się słowami „żyd, jaśnie panie, wnet w literę go przerobię”; ów kleks to zrazu mokra, później zaschnięta kropla atramentu i jej ślad na papierze. Bywa jednak i tak, że wyraz „plama” ktoś rozumie onomatoidalnie, a zapewne tak właśnie spontanicznie interpretował go Tadeusz Kotarbiński, jako reista-pansomatysta, który wzywał do eliminowania hipostaz, korelat więc tego zwrotu, ową plamę, uważał za jakość, nie zaś za materialne ciało. Chyba na ogół kto inny wyraz „plama” interpretowałby w ten sposób dopiero po chwili „mędrkowania”, gdy w jego myśli zjawi się sama plama, oderwana od zaplamionego podłoża. Trzy pozostałe zaś, biała barwa, białość i chytrość, są abstrakcyjne, a wśród nich ostatnia nie jest jakością wzrokową. Nie wiem, czy *Elementy* zaliczyłyby wyrażenia „biała plama”, „biały kleks” do onomatoidów, czy też uzależniły to od rozumienia odpowiednich zwrotów, natomiast słowa „biała barwa”, „białość” i „chytrość” – zapewne uznałyby za nazwy pozorne. Nasuwa się w związku z tym refleksja, że wśród cech można by odróżnić mniej zmysłowe od bardziej zmysłowych i poklasyfikować je w dalszym ciągu ze względu na to, którym zmysłem spostrzegamy rzecz mająca daną cechę, czyli własność. Odpowiednią klasyfikację lub typologię wypadłoby wówczas rozciągnąć na onomatoidalne miana tych cech. Rozmyślnie używam nieco sztucznego zwrotu „miano cechy”, a nie „nazwa cechy”, bo pragnę wyraz „nazwa” zachować dla nazw, a przeciwieństwo nazwy pozorne, czyli onomatoidy, np. słowa „białość”, „chytrość”, nie są nazwami. Kolejne pytanie dotyczy różnicy między immanentnym a transcendentnym wyobrażeniem czegoś. Odpowiednie sformułowanie w *Elementach* jest następujące:

Jan ma w rozumieniu immanentnym wyobrażenie czegoś okrągłego, świetlistego, złocistego [...] zawsze i tylko, jeżeli wydaje mu się, jakoby było przed nim coś okrągłego, świetlistego, złocistego [...]. Przy [rozumieniu] zaś [...] transcendentnym „Jan ma wyobrażenie czegoś takiego a takiego” to tyle, co „Jan reaguje wyobrażeniem (bezpośrednio lub pośrednio) na coś takiego jako na podniecie”. (Kotarbiński, 1961, s. 81–85)

W urywku tym Autor kładzie nacisk na przeciwstawienie opisów: „wydaje mu się”, gdy występuje wyobrażenie w rozumieniu immanentnym, oraz „reaguje

wyobrażeniem (bezpośrednio lub pośrednio) na coś [...] jako na podniecie”, gdy mowa o rozumieniu transcendentnym. Przychodzą jednak na myśl takie wypadki, jak kiedy Jan ulega złudzeniu i zarazem reaguje na coś jako na podniecie i owo coś wydaje mu się takie a takie, np. patrzy na kij zanurzony w wodzie i na pozór „załamany” albo na słońce zachodzące „w morzu” i coraz „większe”, w miarę jak się zbliża do powierzchni wody. Albo gdy krótkowidz reaguje wzrokowo na jakiś przedmiot i kontury tego przedmiotu wydają mu się zamazane. Albo gdy osoba dotknięta pewną wadą wzroku czyta tekst, a więc reaguje na bodźce wizualne, a zarazem wiersze tego tekstu wydają się jej faliste, nie zaś poziome i równoległe, przy tym rządkami pionowe wydają się jej odchyłone od pionu, zbliżają się do siebie na końcach a wyrzuszają w połowie strony. Zresztą i do wypadków normalnych reakcji na bodźce można by używać czasownika „wydawać się”: np. na skutek zajścia reakcji na bodziec osobnikowi, który zareagował, wydawało się, że *p*. Wówczas słowo „wydawać się” zostałoby wyposażone w inne znaczenie: (a) „przeżywać akt adekwatnego postrzegania, czyli spostrzegawczego wyobrażania sobie”, podczas gdy w rozumieniu immanentnym miałoby odmienne znaczenie (b) „doznawać iluzji w odpowiedzi na bodziec, zwanej wyobrażaniem sobie”.

Następna kwestia wymagająca rozwikłania: jak się mają do siebie znaczenia zwrotów „immanentny przedmiot wyobrażenia czegoś” oraz „treść wyobrażenia tego czegoś”, a w związku z tym – zakresy owych zwrotów? Oto stosowne wyjaśnienia, znalezione w *Elementach*:

Na pytanie „Co jest przedmiotem wyobrażenia Jana? przy rozumieniu [tego pytania] immanentnym odpowiedzieć trzeba [np.] [...] „Przedmiotem wyobrażenia Jana jest łańcuch górski”, gdzie słowa „przedmiot wyobrażenia” są rozumiane też w sensie immanentnym. [...]

Wyrażenie [...] „to, co Jan sobie wyobraża” bywa [też] rozumiane [...] inaczej: [...] treściowo [...], wówczas [...] idzie tu o jakiś rzekomy obraz wewnętrzny, który ma się niejako w sobie, ilekroć przeżywa się jakieś wyobrażenie. Ma to być układ barw, błysków, kształtów itd.

Tak więc, jeśli przypominam sobie, czyli wyobrażam odtwórczo twarz człowieka, którego kiedyś widziałem, to na pytanie, [...] co jest przedmiotem immanentnym tego wyobrażenia, winienem odpowiedzieć tak, jak gdybym opisywał, jakim mi się coś przede mną wydaje, a więc np. mówiąc „twarz śniada, wydłużona, sympatyczna” [...]; na pytanie, co jest treścią tego wyobrażenia [...]: „obraz wewnętrzny wzrokowy, złożony z takich elementów: wyżej barwa cielisto jaśniejsza, niżej ciemniejsza po środku takie a takie plamy, takie a takie kształty, linie etc.” (Kotarbiński, 1961, s. 84–85)

Aby uniknąć wyjaśniania *ignotum per ignotum* w pierwszym z przytoczonych akapitów, sięgnijmy do informacji, na czym polega immanentne rozumienie zwrotu „przedmiot wyobrażenia”:

Jan ma w rozumieniu immanentnym wyobrażenie czegoś okrągłego, świetlistego, złocistego, zawsze i tylko, jeżeli wydaje mu się, jakoby było przed nim coś okrąg-

głego, świetlistego, złocistego. Nie w tym sensie, by wydawał sąd, przeżywał przekonanie: „Jest przede mną coś, okrągłego świetlistego, złocistego”, lecz w tym, że tak się z nim dzieje, iż gdyby kto zapytał: „Jakie jest to, co masz przed sobą w wyobraźni?”, i zażądał odpowiedzi, która narzuca się przed wszelką krytyką, Jan odrzec by winien: „To jest okrągłe, świetliste, złociste”. (Kotarbiński, 1961, s. 83)

Rozumienie wypowiedzi jest czynnością pragmatyczną, w tym wypadku psychiczną. Wyobrażanie sobie czegoś jest również czynnością lub stanem psychicznym. Nie ma więc nic zaskakującego w tym, że do wyjaśnienia, na czy polega immanentne rozumienie zwrotu „przedmiot wyobrażenia” oraz zwrotów „immanentny przedmiot wyobrażenia” i „treść wyobrażenia”, zostały użyte pojęcia psychologiczne: „wyobrażenie”, „sąd w znaczeniu psychologicznym”, „przeżycie przekonania”. Ponieważ zaś przedmioty immanentne wyobrażeń ani treści wyobrażeń nie istnieją, nie są ciałami materialnymi, nie można temu wyjaśnianiu zarzucić, że odpowiedź na pytanie, czym jest coś obiektywnego, sprowadza do opisu czyjś subiektywnego doświadczenia psychicznego. W wypadku bowiem, który rozpatruję, zarówno immanentny przedmiot wyobrażenia, przedmiot wyobrażenia rozumiany w sensie immanentnym, jak treść wyobrażenia, a zwłaszcza tę ostatnią, trudno sobie wyobrazić, łatwiej uchwycić pojęciowo. Pierwsze dwa, od biedy, poddają się myślowemu zabiegowi odrealnienia: każdy z nich to taki przedmiot transcendentny, któremu odbierzemy własność bycia rzeczą, istnienia w określonym miejscu i czasie, a pozostawimy inne cechy fizyczne. Natomiast treść wyobrażenia jest trudniej wyobrażalna, bo mamy skłonność do postaciowania własności, np. przez nadawanie im konturów i kształtu. Trzeba więc poprzestać na pojęciowym przedstawianiu jej sobie i myśleć o amorficznych własnościach, nie wiadomo nawet, czy rozmieszczając je w takim a takim uporządkowaniu przestrzennym.

Wśród narzędzi służących do analizowania zagadnień teorii poznania i ontologii, a w szczególności zapatrywań idealistów i realistów, występują: pojęcie przedmiotu intencjonalnego i pojęcie immanentnego przedmiotu wyobrażenia. Na ten temat Tadeusz Kotarbiński pisze:

Przedmiot intencjonalny [jest] to coś, do czego jakoś myślowo odnosi się mówiący w sposób podobny do tego, w jaki odnosi się do tego, „co sobie wyobraża” [...] w sensie immanentnym [...]. Mamy tu zatem przedmiot pojęcia rozumiany analogicznie do immanentnego przedmiotu wyobrażenia [...]. Różnica leży w tym, że na pytanie, co to jest przedmiot immanentny wyobrażenia, otrzymuje się odpowiedź [...], że jest to to, co sobie wyobrażam, a na pytanie, co to jest przedmiot intencjonalny pojęcia, otrzymuje się odpowiedź [...], że jest to to, o czym myślę. Odróżnienie „treści pojęcia” i „przedmiotu pojęcia” nie zawsze bywa [...] respektowane<sup>12</sup>. (Kotarbiński, 1961, s. 119)

<sup>12</sup> Urywek ten w szerszym kontekście został przytoczony wyżej, w rozdziale 4.2.



Ostatnie zdanie tego fragmentu wskazuje, że Autor *Elementów* nie był zadowolony z tego odróżnienia, które nie wyjaśnia, na czym dokładnie polega analogia między immanentnym przedmiotem wyobrażenia a intencjonalnym przedmiotem pojęcia. Odwołuje się bowiem pośrednio do intuicyjnego uchwycenia różnicy między wyobrażeniem sobie czegoś a pomyśleniem o tym czymś, w istocie zaś stawia niejako karekę przed koniem, skoro przecież nie dlatego to pierwsze odróżniamy od tego drugiego, że to pierwsze nazywamy wyobrażaniem sobie, a to drugie myśleniem, lecz na odwrót: dlatego się inaczej oba te rodzaje czynności psychicznych nazywa, że się od siebie tak a tak różnią. Oto mogę sobie pomyśleć, że *p*, i opisać to pomyślenie jako pomyślenie o *P*, czemu nie towarzyszy wyobrażenie sobie owego *P*. Czy zaś mogę wyobrazić sobie *P*, a zarazem nie pomyśleć o *P*, przez pomyślenie o *P* rozumiejąc przynajmniej, że *P* zjawia się w mojej świadomości? Oprócz zwrotu „immanentny przedmiot wyobrażenia” Tadeusz Kotarbiński niekiedy używa wyrażenia „obraz immanentny”, jak również „obraz wewnętrzny”, a jako przykłady podaje tzw. powidoki, jak np. to, co „widzimy”, zamknąwszy oczy po chwili wpatrywania się w oglądany, należycie oświetlony przedmiot, lub obrazy hipnagogiczne, tj. to, co nam majaczy w momentach zapadania w sen, a także rozmaite elementy treści wyobrażeń, „jak ta oto plama czerwona, należąca do «wewnętrznego obrazu» słońca” (Kotarbiński, 1961, s. 465). Jak widać, istotnie słowa „obraz immanentny” odnoszą się w jednych wypadkach do immanentnych przedmiotów wyobrażenia, w innych zaś – do jego treści.

Kolejnych powodów do zastanowienia dostarcza artykuł Tadeusza Kotarbińskiego *Zasadnicze myśli pansomatyzmu* (1993b), zawierający wzbogacenie charakterystyki różnic między idealizmem a realizmem, opublikowany w dwadzieścia lat po ukazaniu się pierwszego wydania *Elementów*. Można więc domniemywać, że przedstawia zrewidowane poglądy Autora w poruszanych przezeń sprawach.

Idealista uznaje egzystencję rzeczy, które utożsamia [...] z układami widoków (nie wzrokowych wyłącznie, lecz wielozmysłowych), których z kolei częściami są dlań elementy treści. Rzeczy, a więc i widoki, uważa on za jakościowe, za jakościowe też, w nieco innym sensie, uważa i elementy treści. [...] Mówiąc np. „kostka cukru jest słodka”, mówi się tyle, co „do układu widoków, będącego kostką cukru, należy jako część smak słodki”, a „smak słodki” – to tyle tutaj, „smak będący słodyczą”, czyli „smak tożsamy ze słodyczą”. Realista krytyczny uznaje egzystencję rzeczy, które odróżnia od ich widoków, których egzystencję uznaje też, a których (widoków) częściami są także i dla niego elementy treści. Rzeczy uważa przy tym za bezjakościowe, widoki za jakościowe, elementy treści – za jakościowe również w innym nieco znaczeniu. Z tego stanowiska, kto powie „jaskier jest żółty”, wyraża się nieściśle. Powinien by powiedzieć „widok jaskra jest żółty, rozumiejąc przez to tyle, co „widok jaskra zawiera jako część barwę żółtą”. A przez „barwę żółtą” rozumiejąc „barwę, która jest żółcią” czyli „barwę identyczną z żółcią”. Realista radykalny uznaje egzystencję rzeczy nie będących układami widoków. Egzystencji układów widoków w ogóle nie uznaje, podobnie jak nie uznaje egzystencji elementów treści. Wedle tego poglądu, kto

mówi, operując słowem „jest” w sensie podstawowym, że „widok cynobru jest czerwony”, wypowiada bądź fałsz, bądź nonsens [...]: fałsz, jeżeli zwrot „widok cynobru” [...] okazuje się nazwą właściwą (bo wtedy podmiot zdania jest nazwą właściwą bezprzedmiotową), nonsens, jeżeli zwrot taki okazuje się nazwą pozorną. Coś podobnego można powtórzyć o powiedzeniu „barwa czerwona”, równoznacznym z powiedzeniem „barwa tożsama z czerwienią” [...]. Z realizmem radykalnym harmonizuje hipoteza, że słusznie nazywamy jakościowym (zielonym, gorzkim, twardym) tylko to, co oddziałuje na nasze narządy zmysłowe, a są to rzeczy właśnie [...]. Odrzuca się natomiast z tego stanowiska pogląd, jakoby widoki nie będące rzeczami, oddziaływały na nasze narządy zmysłowe, jakoby oddziaływały fizykalnie układy barw, ucisków, smaków etc. oraz same barwy, uciski, smaki. (Kotarbiński, 1993b, 126–127)

Pierwsza z kwestii nasuwających się na skutek lektury tego artykułu dotyczy odróżnienia treści czegoś, elementu treści tego czegoś i układu elementów treści. Przyznaję, że niepewnie się czuję, gdy mam odróżnić te pojęcia. Na przykład, czy taki a taki widok tego a tego jest elementem treści tego czegoś, czy układem elementów treści? Czy uwzględniono taką chociażby różnicę znaczeń słowa „widok”: (a) kawałek widzianej przestrzeni, (b) to, że się widzi, (c) to, jak się coś widzi, jakie to coś się komuś wydaje (np. może El Greco dlatego widział postaci wydłużone, że miał wadę wzroku), (d) to, jak się jest widzianym lub jak chce się być widzianym, jaki się chce innym wydawać, a więc wygląd w obu tych znaczeniach. Analogiczne rozróżnienia można wypunktować, gdy się interpretuje słowa „wyobrażenie”, „obraz” oraz „pejzaż”, a także znaczenia wyrazów „przedstawienie” i „pojęcie”, również uwikłane w te rozważania. Jakie stosunki zachodzą między odmianami znaczeniowymi każdego z tych słów? Pewne szczegółowe sprawy wywołują we mnie poczucie bezradności; np. to, iż częściami układów widoków (nie wzrokowych wyłącznie, lecz wielozmysłowych) są elementy treści; w jakim znaczeniu występuje tu wyraz „część”? O ile rozumiałe jest to, iż rzeczy, które idealista, jak wiadomo, utożsamia z widokami, są dla niego – z powodu tego utożsamienia – jakościowe, o tyle trudno mi uchwycić, w jakim znaczeniu jakościowe, ale w „nieco innym sensie”, mają być elementy treści. W jakim „nieco innym” sensie, na czym ta różnica sensów tutaj polega? Do tego rejestru niejasnych i niewyraźnych rzeczowników przybywa jeszcze wyraz „czucie” (Kotarbiński, 1961, s. 104) oraz pytanie, jakie stosunki zachodzą między jego znaczeniem i zakresem a znaczeniami i zakresami wszystkich pozostałych, wymienionych wyżej. A dalej, dlaczego się twierdzi, że mówiąc np. „kostka cukru jest słodka”, idealista mówi tyle, co „do układu widoków, będącego kostką cukru, należy jako część smak słodki”, a „smak słodki” – ma tu znaczyć tyle, co „smak będący słodyczą”, czyli – jak podano – „smak tożsamy ze słodyczą”. Przecież niekoniecznie: ilekroć a jest *B*, tylekroć a jest tożsamy z *B*. Przy słowie „smak” powraca różnica między czuciem, widokiem i treścią, między ujęciem obiektywnym a subiektywnym, między zatem bodźcem a reakcją na ten bodziec, mianowicie między znaczeniem (a) ‘to, że dana substancja ma własność wywoływania w spożywającym smakowe odczucie słodczy’, (b) ‘to, że spożywający ową substancję przeżywa smakowe odczucie słodczy’; np. wystarczy położyć

na języku tabletkę, której składnikami są cyklaminian sodu i sacharynian sodu, aby się przekonać, że gdy ustąpi podrażnienie skoncentrowaną kwasnością tej tabletki, pojawia się odczucie czegoś intensywnie słodkiego. Do dwóch znaczeń zwrotu „smak słodki” przybywa znaczenie słowa „słodycz”, a może dwa znaczenia tego słowa, ponownie: obiektywne w odróżnieniu od subiektywnego, a ponadto aktywne, bodźcowe, w odróżnieniu od pasywnego, odbiorczego. Czy są one nazwami pozornymi pewnych cech? Czy te cechy są widokami, czy treściami, czy też czuciami; oraz czy tylko tutaj, czy zawsze? Czy zatem i słodycz jest widokiem, a może czuciem? Powiedzenie „widok jaskra jest żółty”, to dla realisty krytycznego – wedle relacji Tadeusza Kotarbińskiego – tyle, co „widok jaskra zawiera jako część barwę żółtą”. Czym w takim sformułowaniu jest owa „część widoku”? Przecież nie wycinkiem tego widoku, jego kawałkiem, bo wtedy reszta widoku jaskra byłaby bezbarwna. Podobnie: jeśli się mówi, że słodycz jest częścią smaku miodu, to nie w tym sensie, żeby w zawartości słoika miodu jedna łyżeczka była słodka, a reszta niesłodka. Analogicznie, gdy myślimy o czuciu. Z kolei realista radykalny, który według relacji w *Zasadniczych myślach pansomatyzmu* nie uznaje egzystencji układów widoków ani elementów treści, gdy mówi używając „jest” w sensie podstawowym „Widok cynobru jest czerwony”, wypowiada bądź fałsz, bądź nonsens; fałsz, jeśli zwrot „widok cynobru” uważa za nazwę właściwą, bo wtedy podmiot zdania jest nazwą właściwą bezprzedmiotową, a nonsens – jeżeli zwrot taki okazuje się nazwą pozorną; i to samo można powtórzyć o zwrocie „barwa czerwona”, równoznacznym ze zwrotem „barwa tożsama z czerwienią”. Zaskakuje mnie tutaj fakt, że Tadeusz Kotarbiński dopuszcza jako jedną z dwóch możliwości uznanie wyrażen „widok cynobru”, „barwa czerwona” i „barwa tożsama z czerwienią” – za nazwy właściwe bezprzedmiotowe, a nie – jak zwykle – za onomatoidy.

Jak widać, w niejednym miejscu powstają wątpliwości, czym się różni: treść wyobrażenia od przedmiotu wyobrażenia, w szczególności od przedmiotu immanentnego, treść wyobrażenia od treści pojęcia, jakoś zmysłowa od cechy, immanentny przedmiot wyobrażenia od transcendentnego przedmiotu wyobrażenia, immanentny przedmiot wyobrażenia od intencjonalnego przedmiotu wyobrażenia, immanentny przedmiot wyobrażenia od wewnętrznego przedmiotu wyobrażenia, immanentny przedmiot wyobrażenia od wewnętrznego obrazu, immanentny przedmiot wyobrażenia od treści wyobrażenia, treść od elementu treści oraz układu elementów treści, wreszcie: jakie są znaczenia wyrazów „czucie” oraz „widok”. Ilekroć powstają wskazane wyżej wątpliwości, z czym mamy do czynienia, tylekroć podejrzenie pada na niedoskonałość narzędzi pojęciowych, na ich nieostrość, niewyraźność i chwiejność.

Za wskazanymi wątpliwościami ciągną się następne: skoro „Przedmiot intencjonalny [jest] to coś, do czego jakoś myślowo odnosi się mówiący w sposób podobny do tego, w jaki odnosi się do tego, «co sobie wyobraża» [...] w sensie immanentnym”, a przecież takie „myślowe odniesienie się” w odróżnieniu od wyobrażeniowego może być skierowane – głównie lub do pewnego stopnia – na pewną wiązkę cech czegoś, niekoniecznie zaś na przedmiot, któremu te cechy

przysługują, to jak należy zdefiniować przedmiot intencjonalny: wyłącznie lub głównie jako pewien przedmiot, czy wyłącznie lub głównie „własnościowo”? A może są różne rodzaje przedmiotów intencjonalnych, w zależności od tego, co jest własnością typową, czyli najczęściej występującą, każdego z nich? W dodatku wyraz „pojęcie” w jednym z kilku swych znaczeń to tyle, co zwrot „znaczenie wyrazu lub zwrotu imiennego”, a wyraz „sąd” w sensie logicznym – to tyle, co „znaczenie zdania oznajmującego”. Gdyby więc przyjąć, że jeśli zwrot „przedmiot intencjonalny” interpretujemy własnościowo, a więc jako „konotacja wyrazu lub zwrotu imiennego”, wyraz „pojęcie” zaś również jako „znaczenie wyrazu lub zwrotu imiennego”, to w powstałej zbitce będzie mowa o znaczeniu znaczenia wyrazu lub zwrotu imiennego.

Do narzędzi pojęciowych wymienianych w *Elementach* i innych publikacjach Tadeusza Kotarbińskiego w kontekście rozważań o wyobrażeniach i pojęciach, ich treści i przedmiocie, należą oprócz czterech wymienionych: barwa, błysk, czucie, kształt, linia, obraz, smak, ton, ucisk, widok, wrażenie, wygląd, zapach. Są to przeważnie pojęcia psychologiczne, stosowane do analizowania wrażeń zmysłowych. Pomocne więc może się okazać spojrzenie, jak niektóre z tych pojęć rozumiał psycholog Władysław Witwicki, wywodzący się z tej samej Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, starszy o osiem lat od Tadeusza Kotarbińskiego, tak jak i on uczeń Kazimierza Twardowskiego, następnie zaś profesor psychologii na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie katedry filozofii zajmowali w tamtych latach Tadeusz Kotarbiński i jego młodszy o cztery dni rówieśnik, Władysław Tatarakiewicz. Tak jak *Elementy* były podstawowym podręcznikiem akademickim teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk, zagadnienia psychologii, wówczas zaliczanej do filozofii tzw. „ścisłej”, wykładano według dwutomowej *Psychologii dla użytku słuchaczy wyższych zakładów naukowych* Władysława Witwickiego. Książka ta ukazała się w r. 1925, także wydana we Lwowie i także przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, które w roku 1931 wydało trzeci uniwersytecki podręcznik filozofii, mianowicie Władysława Tatarakiewicza dwutomową *Historię filozofii*. Każde z tych wybitnych dzieł, które były i są nadal czymś znacznie więcej niż podręcznikami uniwersyteckimi, pod innym kątem naświetla wymienione pojęcia. Władysław Witwicki i Tadeusz Kotarbiński szkielec aparatury pojęciowej i ramy przejęli od swego nauczyciela, ale niektóre narzędzia każdy z nich zmodyfikował na swój sposób, dostosowując je do potrzeb własnej dyscypliny, aktualnego stanu wiedzy i swojej indywidualności naukowej.

Władysław Witwicki był mistrzem celnego sugestywnego przykładu i lapidarnego tłumaczenia zawilości, które pod dotknięciem jego pióra pisarza-artysty, rzeźbiarza i rysownika zaczynały zniewalać swą prostotą. Przypuszczam, że niektóre z jego uwag o wymienionych wyżej pojęciach psychologicznych napotkanych w *Elementach* ułatwią korzystanie z tych narzędzi analizy. Tak więc: fakty psychiczne dzielił na przedstawienia i sądy, przedstawienia zaś na wyobrażenia i pojęcia. Wyobrażeniami nazywał przedstawienia zmysłowe konkretnych, czyli materialnych, przedmiotów. Wśród wyobrażeń odróżniał spostrzegawcze od pochodnych. Spostrzegawczymi są te wyobrażenia, które ludzie tzw. normalni

przeżywają pod działaniem przedmiotów materialnych na organy zmysłowe, a w snach i halucynacjach – bez działania podniet na zmysły. Natomiast wyobrażenia pochodne powstają wtedy, gdy sobie naocznie uprzytamniamy przedmiot materialny, który choć nie działa na nasze zmysły teraz, ale działał dawniej, albo działały inne przedmioty, a my ich fragmenty składamy w jakąś całość i tę całość stawiamy przed sobą do niby-oglądania za pomocą tego czy innego zmysłu (Witwicki, 1925, s. 72). W tych sformułowaniach i w niejednym, które nastąpi, łatwo odnaleźć spadek po Kazimierzu Twardowskim. „Czuciami” nazywał wrażenia zmysłowe, czyli takie wyobrażenia spostrzegawcze, których treść jest prosta. Jako ich przykłady podawał:

[...] małe pole o jednostajnej barwie, ton wywołany z pomocą widełek stroikowych, smak wywołany przez dotknięcie języka pędzelkiem umaczanym w roztworze chininy lub cukru, dotknięciem ręki końcem ołówka itd. (Witwicki, 1925, s. 73)

Wrażenia zmysłowe umiemy tylko wyróżniać w naszych faktach psychicznych – trudno jest wywoływać je w odosobnieniu. (Witwicki, 1925, s. 208)

Zwracał uwagę na dwuznaczność wyrazów mających zarówno korelat fizyczny, jak psychologiczny, np. wyrazu „głos”: a) pewien ruch falowy, b) to, jak ów ruch falowy słyszy ktoś tu i teraz. Podobnie ma się rzecz z dwuznacznością słowa „widok”: a) tak a tak ułożone bryły, b) to, jak owe ułożone bryły widzi ktoś tu i teraz. Fakty typu (b), psychiczne, czyli przeżycia psychiczne, charakteryzował jako dane wyłącznie w doświadczeniu wewnętrznym, subiektywne, czyli podmiotowe, ich byt jest zależny: powstają tylko pod tym warunkiem, że ktoś ich doznaje (Witwicki, 1925, s. 10–14). W każdym fakcie psychicznym odróżniał: przeżytą treść od aktu przeżycia, czyli doznawania, przeżywania tej treści:

W przeżyciu np. czerwonej barwy [...] czerwień samą bez względu na mnie i mój do niej stosunek widzenia nazywam treścią tego przeżycia [...]. Natomiast widzenie [...] oznacza stosunek pomiędzy mną a taką czy inną treścią psychiczną, stosunek, który nazywam aktem doznawania tej treści [...]. Przeżycia psychiczne nazywam też w tym znaczeniu aktami psychicznymi [...]. Odmienne pojmują te sprawy Ebbinghaus, Hoefler, Titchener i Twardowski.

Tony, które przeżywam [...] – pisał – są z sobą połączone w grupy, w zespoły zwane dźwiękami [...]. Szmer i dźwięki łączą się w słowa. Podobnie barwy są połączone z sobą w obrazy, w widoki przedmiotów, które oglądamy. Zespoły jednolite wrażeń jednorodnych lub różnorodnych nazywają się wyobrażeniami spostrzegawczymi. Są więc wyobrażeniami spostrzegawczymi widoki osób, drzew [...], na które patrzymy [...]. Kiedykolwiek mam zmysłowy obraz jakiejś rzeczy, mówię, że przeżywam pewne jej wyobrażenie [...]. W obcowaniu z przedmiotami zmysłowymi mamy [...] w świadomości coś więcej niż same ich widoki [...]. (Witwicki, 1925, s. 209)

Kiedy patrzę na kwiaty żywe, mam widok taki sam, jak kiedy oglądam z daleka kwiaty dobrze robione. A jednak wygląd kwiatów i owoców żywych albo tych, o których myślę, że są żywe, jest całkiem inny niż wygląd kwiatów i owoców robionych [...]. Wygląd zatem musi zawierać coś więcej oprócz widoku [...]. Na wygląd jabłka składają się, oprócz widoku zbudowanego z wrażeń zmysłowych odbieranych w danej chwili, mniej łatwo dostrzegalne, ale zmysłowe obrazy sytuacji przeżywanych dawniej albo nie przeżywanych wcale, wyobrażenia, którym nie odpowiadają podniety fizyczne działające na mnie w danej chwili. To one dołączały się do widoku danego i zabarwiały go charakterystycznie, wchodziły jako mało uświadomione fundamenty do układu spoistego zwanego wyglądem żywego [...] jabłka. (Witwicki, 1925, s. 211)

Podział przedmiotów na konkretne oraz idealne umieszczał na tle przeciwstawienia wyobrażeń i przedstawień nieobrazowych; tych drugich powstających w wyniku abstrahowania:

W odróżnieniu od konkretnych przedmiotów, które zmysłami poznajemy, nazywamy [...] przedmioty poznawane za pomocą abstrakcji przedmiotami idealnymi albo przedmiotami myśli. Są więc przedmiotami idealnymi niesamodzielne składniki przedmiotów konkretnych oraz ich kombinacje, które sobie przedstawiamy. Istnieją zatem oprócz wyobrażeń przedstawienia nieobrazowe. W nich uobecniamy sobie przede wszystkim przedmioty idealne, które wyróżnić możemy na konkretnych przedmiotach zmysłowych oraz ich kombinacje. (Witwicki, 1925, s. 366–367)

[Pojęciami są] przedstawienia nieobrazowe, w których za każdym razem to samo mamy na myśli i wiemy co. (Witwicki, 1925, s. 369)

Powyższe uwagi Władysław Witwicki opatrzył komentarzem, który wiąże się z ideą przewodnią programu konkretyzmu:

Jedne z tych przedmiotów istnieją, mówimy, drugie nie istnieją. Tak np. mówią, że istnieje zależność ciśnienia gazów od temperatury przy stałej objętości, a nie istnieje zależność między długością fali świetlnej a jasnością lub nasyceniem barwy widmowej. Tak faktycznie ludzie myślą – inna rzecz, czy zależność, ciśnienie, jasność, temperatura, długość fali, honor, autonomia, rozwój czy jakikolwiek przedmiot dany w produkcie analizy lub syntezy myślowej ma być rzeczywisty, niezależny od nas – tym się interesuje teoria poznania. Psychologa obchodzi tylko to, że ludzie umieją sobie uobecniać, przedstawiać przedmioty oderwane proste i najrozmaiciej pokombinowane i każdy z nich wydaje się czymś, jest pewnym „coś” (uważanym za istniejące lub nie) i to coś nie jest przedmiotem konkretnym, danym w spostrzeżeniu zmysłowym). (Witwicki, 1925, s. 365–366)

Ten krótki przegląd urywków *Psychologii* ukazuje, jak jej Autor ujmował pojęcia psychologiczne, którymi – często pod równobrzmiącymi nazwami, ale niekiedy inaczej rozumianymi – realizm radykalny posługiwał się jako narzędziami analizy.

Tadeusz Kotarbiński, choć zawsze tak skrupulatnie przestrzegający zasady zachowania jasności i wyrazności pojęć, jednak użył tych niedoskonałych narzędzi, gdy przeciwstawiał różnym odmianom idealizmu różne odmiany realizmu, a wśród tych drugich swój własny pogląd, realizm radykalny. Dlaczego to uczynił? Być może poczuł się zwolniony od naprawiania psychologicznych narzędzi pojęciowych, skoro w niedawno wydanym dziele zajął się nimi specjalista-psycholog, a zarazem kolega z tej samej Szkoły i wychowanek tego samego mistrza oraz sąsiad na katedrze należącej do tego samego kierunku studiów w tej samej uczelni. Być może z tych samych powodów nie wdawał się w bardziej szczegółowe analizowanie sporu idealizmu z realizmem, skoro inny sąsiad na katedrze właśnie ukończył dzieło z zakresu historii filozofii, w którym te kierunki myśli stanowiły jeden z ważnych przedmiotów rozważań i opisu. A może część tych pojęć, którymi posługiwali się idealiści i realiści przejął od nich, wraz z dobrodziejstwem inwentarza, gdy referował ich dyskusję. Pozostałymi zaś posłużył się jako aparaturą pojęciową, do której przywykł od czasu swych studiów, wówczas często używaną. Może na kontrastowym tle pojęć występujących w dyskusjach między idealistami i realistami wydała mu się, mimo swych usterek, doskonalsza od napotkanej w wywodach idealistów, nie mógł zaś w owym czasie rozpraszać sił na wyrabianie własnych narzędzi pojęciowych. A może ponadto owe zastane i tak uważał za skazane na nieuleczalne inwalidztwo z powodu ich zasadniczych wad wrodzonych.

Obecnie pragnąłbym się zatrzymać przy jednym z zastrzeżeń, które Kazimierz Ajdukiewicz wysunął w swej recenzji *Elementów*. Dotyczy ono:

koncepcji przedmiotu transcendentnego rozumianego jako to, na co jako na podniecie ktoś reaguje wyobrażeniem. Czy słońce, czy drzewo, czy też pewna jego strona, czy pole elektromagnetyczne przewodzące fale elektryczne, czy soczewka oka, czy które inne jeszcze z ogniw wchodzących w grę jako podniecia wywołująca reakcję w postaci wyobrażenia drzewa jest przedmiotem transcendentnym tego wyobrażenia? A już zgoła niesłuszne wydaje mi się, jakoby teza idealisty polegała na utożsamianiu jakiegoś układu elementów treści z tak pojętym przedmiotem transcendentnym tego wyobrażenia. (Ajdukiewicz, 1961, s. 624)

Choć podzielam część wątpliwości wyrażonych przez Recenzenta, poprzestaję na odnotowaniu tej różnicy zdań, ponieważ nie dotyczy ona twierdzeń realizmu radykalnego, do którego omówienia za chwilę przystąpię, lecz trafności przedstawienia przez Tadeusza Kotarbińskiego jednej z tez idealizmu. Rozstrzygnięcie, kto ma rację, należałoby pozostawić historykom filozofii. W związku z tą uwagą krytyczną sformułowaną przez Kazimierza Ajdukiewicza można zauważyć w obronie *Elementów*, że ujmują sprawę sumarycznie; używają słów „idealista”, „idealizm” jako podmiotów gramatycznych w zdaniach, których orzeczeniami są czasowniki „utrzymuje”, „głosi”, „twierdzi”, tak jakby chodziło o zgodne zapatrywanie wszystkich bez wyjątku przedstawicieli tego kierunku. Tymczasem nie jest wykluczone, że poszczególni idealiści nie byli w tej kwestii jednomyślni i zamiast dużego kwantyfikatora wypadało w niejednym miejscu

poprzestać na małym. Trzeba też wziąć pod uwagę, że – jak wspomniałem – wyrażenia „transcendentny przedmiot takiego a takiego wyobrażenia” jego „przedmiot immanentny” oraz „treść wyobrażenia” nie całkiem są precyzyjne i zapewne rozmaicie były rozumiane, tym bardziej że wyobrażenie danego rodzaju rzadko występuje izolowane i w postaci czystej, bez domieszek.

Wydaje mi się, że zastrzeżenia Kazimierza Ajdukiewicza do powyższej koncepcji transcendentnego przedmiotu wyobrażenia powstały po części na podłożu różnicy między Recenzentem a Tadeuszem Kotarbińskim w podejściu każdego z nich do tematu. Kazimierz Ajdukiewicz, zadając pytanie, na co jako na podniecie reagujemy naszym wyobrażeniem, czyni to po dokonaniu analizy, która doprowadziła Go do uprzytomnienia sobie, co mogłoby w tej sytuacji podziałać jako bodziec. Autor *Elementów* natomiast rozpatruje także drugą możliwość: iż zapytany odpowie *ex abrupto*, bez przygotowania. A wtedy często narzuca mu się to, co było źródłem, lub to, co głównie w danym zdarzeniu. Tak więc:

[...] ktoś zapytany „Co widzi (słyszy, dotykiem ujmuje etc.)?” odpowiada czasem po uprzednim namyśle nad tym, „co widzi (słyszy etc.)”, czasem zaś bezpośrednio, czyli bez uprzedniego mędrkowania [...]. Jeżeli osobie, patrzącej na zachód słońca wśród barwnych chmur, zadać pytanie „Co widzisz?” i zażądać odpowiedzi wyłącznie sprawozdawczej, bez uprzedniego mędrkowania, rzeknie nam bez wątpienia: „Słońce wśród barwnych obłoków” [...]. Bezpośrednio dane jest coś barwnego, dźwięcznego, miękkiego, wonnego, kwaśnego, a nie [...] układ barw, tonów, ucisków, woni, smaków [...] „Przedmiot barwny” – to wcale nie znaczy tego samego, co „układ barw”. (Kotarbiński, 1961, 105–107)

Tadeusz Kotarbiński, zarówno w swych pismach, jak i wykładach, często uwydatniał wartość spojrzenia na świat oczyma człowieka niefilozofującego. A ten widzi tak właśnie, jak opisano w przytoczonym urywku. Przedmiot barwny, o którym tam mowa, jest rzeczą. O tym zaś, co z otoczenia wyodrębniamy jako poszczególne rzeczy, decydują, jak myślę: w wypadku indywiduów przyrody żywej – przede wszystkim ich własna podmiotowość, ich właściwości osobliwe, np. o tym, że dane zwierzę uznajemy za psa, osobnika takiego a takiego gatunku, nie zaś za niesamoistny i niesamodzielny kawałek jakiejś innej całości, przesądza fakt, że ów osobnik urodził się psem, i on sam, ów więc pies – mówiąc przenośnie – skłania nas do takiego a nie innego zaklasyfikowania go. Natomiast w odniesieniu do przyrody martwej – na to, iż coś wydzielamy z otoczenia jako osobną rzecz, że zatem jakąś porcję otaczającego świata reifikujemy, wpływają zwłaszcza dwa czynniki: to, jaki z owej wyizolowanej porcji czynimy użytek w naszych działaniach, oraz w związku z tym, czy dla tego wykrawka rzeczywistości obraliśmy jego nazwę w naszym języku i na jakie ta nazwa własności owego wykrojonego kawałka kieruje uwagę mówiących, a przez to sprawia, iż ową porcję zacerpnęią z tego, w czym jesteśmy zanurzeni, uznajemy za tę a tę rzecz. Na przykład osobną rzeczą z punktu widzenia człowieka piszącego jest narzędzie, którym się on posługuje. Jako oddzielna rzecz przedmiot ten otrzymał w języku swą nazwę, odróżniającą go od innych przedmiotów; w tym wypadku



jest to w języku polskim nazwa „długopis”. Natomiast ten sam przedmiot z punktu widzenia producenta długopisów, choć zachowuje swą nazwę, przedstawia się niekiedy inaczej: nie jako indywidualny przedmiot, lecz jako całość złożona z kilku odpowiednio zmontowanych poszczególnych rzeczy, mianowicie rurki wypełnionej tuszem o konsystencji półciekłego miodu, metalowej kulki osadzonej w tulejce, obudowy, klipsa itd.

#### 4.5. Realizm radykalny

Realista radykalny przyjmuje, iż każda rzecz jest przedmiotem nie będącym układem elementów treści, a nie syntezą czyichkolwiek czuć albo plam barwnych, ucisków, tonów, smaków itd.:

Głob ziemski, szklanka z wodą, drobina wodoru, jądro elektronu – nie są dla nas bynajmniej syntezami czyichkolwiek czuć ani też syntezami jakichś bezpiecznych plam barwnych, ucisków etc., i w ogóle przyjmowanie takich niczych, przez żadnego postrzegacza nie uwarunkowanych elementów treści poczytujemy za nietrzeźwą zgoła fantazję [...]. Realizm radykalny nie widzi w ogóle problemu stosunku elementów treści do przedmiotów zewnętrznych, ponieważ istnieją dlań tylko przedmioty zewnętrzne, treści zaś nie istnieją. (Kotarbiński, 1961, 104)

Realista radykalny, co więcej, zaprzecza istnieniu elementów treści i w ogóle istnieniu treści. Na tym właśnie polega radykalizm takiego realizmu. Opowiada się też za hipotezą, że nie ma nic, co by zasadniczo nie było postrzegalne za pomocą zmysłów. Zastrzeżenie wyrażone owym „zasadniczo” obejmować ma te wypadki, w których na bodźce zbyt słabe lub zbyt silne nie zdołają reagować nasze zmysły, nawet gdy zostały odpowiednio uzbrojone w przyrządy techniczne. Zarazem opinię swą nazywa „hipotezą”, nie zaś „tezą”, zapewne, aby zaakcentować, że wyraża ono domysł, wprawdzie potwierdzony miliardami danych empirycznych, ale jednak nie udowodniony w sposób całkowity. Z tego samego powodu „przypuszcza” tylko, nie zaś „stwierdza z całkowitą pewnością”, że każda rzecz jest ciałem, a więc czymś rozciąglwym i opornym, czyli w języku fizyki „bezwładnym”. Ale przyznaje, że sąd ten, choć nazywa go „poglądem hipotetycznym”, narzuca mu się, tak jak pozostałe założenia, i stanowi jego, realisty radykalnego, credo. Ten, skoro nie potrafi owego credo publicznie przekonująco uzasadnić, ogranicza się do bronięcia go przed zarzutami.

W roku pierwszego wydania *Elementów* ukazał się też artykuł Tadeusza Kotarbińskiego zawierający pokrewne myśli:

Pansomatysta musi być realistą radykalnym, to znaczy musi wyznawać tezę, że żaden przedmiot nie jest treścią, czyli barwą, brzmieniem, uciskiem etc. Lub układem barw, brzmień, ucisków etc. Realista radykalny zaprzecza, jakoby coś w ogóle było barwą, chłodem, smakiem etc. I aby ciała składały się z takich elementów (co utrzymują idealisci). Mniema on w szczególności, że nie postrzegamy nigdy barw ani ucisków, a postrzegamy jedynie ciała czerwone, zielone, miękkie, twarde, szorstkie itd., aczkolwiek nie zbudowane z „zieleni”, „szorstkości” itd.,

tych bowiem w ogóle nie ma, choć są złudne słowa: „zieloność”, „szorstkość” itd. (Kotarbiński, 1957b, s. 91)

Rozszerzenie tych uwag znajduje się w artykule *Realizm radykalny*, zamieszczonym w „Przeglądzie Filozoficznym” (1930, z. 4), gdzie opublikowano polską wersję odczytu pod tymże tytułem, wygłoszonego przez Tadeusza Kotarbińskiego na VII Międzynarodowym Zjeździe Filozoficznym w Oksfordzie (1–5 września 1930 r.). Realizm radykalny został tam ujęty jako przyczynek do sporu o stosunek treści wyobrażenia spostrzegawczego do rzeczy postrzeganej, a tezę rozważań zamknięto w słowach „nie istnieją treści”:

Twierdząc [...], że nie istnieją treści, realista radykalny nie zaprzecza [...] temu, jakoby rzeczy były barwne, oporne, dźwięczne, wonne, nie zaprzecza też [...] temu, jakoby ludzie widzieli, że są barwne, czuli dotykowo, że są oporne itd., odrzuca natomiast, ale za to zupełnie wyraźnie i stanowczo, przypuszczenie, aby istniały plamy, uciski itp. byty, z których, wedle idealistów, składają się rzeczy postrzegane [...]. „Nie istnieje plama” znaczy [...], że nie jest prawdą, iżby dla pewnego  $x$ ,  $x$  było plamą [...]. (Kotarbiński, 1957c, s. 97)

Alternatywne sformułowanie tej myśli zawiera artykuł *O postawie reistycznej, czyli konkretystycznej*: „Realizmem radykalnym pozwoliłem sobie nazwać na innym miejscu pogląd uznający tzw. nazwy treści za nazwy pozorne i uchylający tym samym używanie tych słów jako podmiotów zdań elementarnych” (Kotarbiński, 1949, s. 502). Jest wreszcie i taka wersja: „Przez realizm radykalny rozumiemy pogląd, że nazwy obrazów immanentnych są nazwami pozornymi” (Kotarbiński, 1961, s. 467).

Ze sprawą istnienia treści wiążą się zapatrywania Tadeusza Kotarbińskiego na introjekcję oraz ekstrakcję. Autor *Elementów* zarzeka się, że nie jest zwolennikiem żadnego z tych poglądów:

Są realiści, którzy utrzymują wprost, że wyobrażenie wraz ze swoją treścią jest w głowie patrzącego. Idealizm jednak słusznie piętnuje taką „introjekcję”, czyli nieopatrzone wkładanie treści w głowę obserwatora. (Kotarbiński, 1961, s. 91)

Avenarius okazuje w sposób przekonujący, że wielka ilość [...] zagadnień [teorii poznania] zawiera założenie introjekcji, czyli fałszywą myśl, że elementy treści mieszczą się w głowie osoby myślącej. Na tym tle powstaje cały szereg zagadnień pozornych, jak np., gdzie są – dokładnie mówiąc – owe widoki będące w głowie, gdzie powstają one ze śladów fizjologicznych w układzie nerwowym, gdzie się przechowują w okresie utajenia etc., etc. Wystarczy jednak zgodzić się na to, że nie istnieją w ogóle elementy treści: wystarczy zresztą przyjąć, że żaden element treści nie mieści się w głowie, że nie ma zatem przynajmniej elementów treści mieszczących się w głowie, a cała ta rzesza zagadnień zginie i przestanie dręczyć. (Kotarbiński, 1961, s. 261)

Musimy odróżnić rozmaitego rodzaju lokalizację zjawisk psychicznych. Lokalizacja pierwszego rodzaju jest to upatrywanie pewnego bliższego związku takich

a takich zdarzeń psychicznych z tymi a tymi częściami mózgu. Np. zaburzenia widzenia pozostają w [...] związku z płatem potylicznym, zaburzenia w rozumieniu mowy – z drugim zwojem lewego płata skroniowego [...]. Tę lokalizację nazwiemy fizjologiczną [...]. Lokalizacja intencjonalna jest to to, iż doznający umieszcza w myśli treści swych doznań w określonych miejscach swego ciała lub otoczenia. Lokalizację trzeciego rodzaju nazwiemy spekulatywną i będziemy przez nią rozumieli wszelką doktrynę, wedle której „treści doznań (układy elementów treści) znajdują się w określonych miejscach przestrzeni rzeczywistej, np., w mózgu doznającego”. A więc [...] tony [...], barwy etc. znajdowałyby się np. właściwie w obrębie organizmu osoby słyszającej czy widzącej i co najwyżej z pozoru należałyby do składników otoczenia. Wreszcie lokalizacja czwartego rodzaju jest to mniemanie, że same akty psychiczne odbywają się w określonych miejscach przestrzeni rzeczywistej, np. w obrębie ciała osoby, do której należą. Akty przeciwstawia się tu treściom [...] przykłady [...] widzenie, słyszenie, pragnienie, rozumowanie etc. Tę lokalizację nazwijmy realną.

Dla wyznawcy realizmu radykalnego jest rzeczą jasną, że lokalizacji spekulatywnej uznać niepodobna: skoro bowiem nie ma w ogóle żadnych elementów treści ani układów elementów treści, nie może też być prawdą, że elementy treści lub ich układy są tam a tam [...]. Wchodząc we właściwą intencję lokalizacji realnej [...], trudno mieć cokolwiek przeciwko temu, [że] każdy widzi [...], słyszy [...], pragnie tam, gdzie jest jego organizm, podobnie jak drzewo szumi tam, gdzie samo stoi. (Kotarbiński, 1961, s. 403–404)

Takie czy inne rozróżnienie rodzajów lokalizacji zjawisk psychicznych, a na tym tle wybór introjekcji lub ekstrakcji, albo odrzucenie obu, zależy od tego, jakie oberzemy pojęcie zjawiska psychicznego, czyli faktu psychicznego. Jeżeli się zgodzimy owe fakty dzielić na przedstawienia i sądy, jak m.in. w *Elementach*, a dopiero wśród jednych i drugich uwzględniać podzbiory, wówczas do przedstawień zostaną zaliczone wyobrażenia spostrzegawcze ciała, a więc zmysłowe, oraz wyobrażenia pochodne, mianowicie odtwórcze i wytwórcze. Jak wiadomo, odróżniamy od siebie: osobnika przeżywającego wyobrażenie, akt wyobrażenia sobie czegoś, treść wyobrażenia i jego przedmiot. Także we wrażeniu zatem, czyli wyobrażeniu, którego treść jest jednolita i prosta, wypadnie osobno wymienić: podmiot doznający wrażenia, akt doznawania wrażenia, treść wrażenia i przedmiot wrażenia. Wyrażenia „podmiot doznający wrażenia” i „przedmiot wrażenia” można rozumieć w taki sposób, aby uznać je za nazwy przedmiotów materialnych. Natomiast zwroty „akt doznawania wrażenia” i „treść wrażenia” dopuszczają dwojaką interpretację: nazwową albo onomatoidalną. Jeśli – tak jak konkretyzm – zaliczyć je do onomatoidów i co za tym idzie, uważać, że nie istnieją: ani akt doznawania wrażenia, ani treść wrażenia, to problem introjekcja czy ekstrakcja zniknie, bo sprowadzi się do pytania, gdzie jest coś, czego nie ma. Można jednak się zastanawiać, czy zamiast takiej interpretacji likwidatorskiej dopuszczalna jest odmienna i przez „akt doznawania wrażenia” rozumieć „osobnika doznającego jako takiego w czasie doznawania przezeń wrażenia”, a przez „treść wrażenia” – „jak ów osobnik doznaje przeżywając wspomniany akt” lub „jakie własności ma owo coś będące przedmiotem aktu”. Poprzestaną na powyższym zarysowaniu samego zagadnienia, bo nie jest moim celem dokona-

nie wyboru jednego z wymienionych stanowisk, lecz zwrócenie uwagi na to, że wybór taki zależy od aparatury pojęciowej użytej przy jego dokonywaniu. W związku z tym, na pytanie: „gdzie szumi drzewo; czy tam, gdzie rośnie?”, odpowiedziałbym: Tam, gdzie ono rośnie, ma miejsce zdarzenie fizyczne: wiatr przepływa między liśćmi, te się poruszają i do zdarzenia dynamicznego przyłącza się akustyczne. Jedno i drugie mają oprócz strony fizycznej także psychiczną: m.in. wzrokową i słuchową, bo drzewo oprócz tego, że szumi „sobie” tam, gdzie rośnie, szumi też „dla” słuchacza, tam, gdzie on się znajduje i słyszy, a nie tam, gdzie ono rośnie. Może wskutek tego fakt, iż drzewo szumi, trudno opisać inaczej, niż uciekając się do personifikacji.

W niespełna trzydziści lat od pierwszego wydania *Elementów* Tadeusz Kotarbiński podtrzymał powyższe poglądy. Nazwał przy tym swój realizm radykalny „dziką nadbudówką, za którą logika Leśniewskiego nie ponosiła żadnej odpowiedzialności”:

Główna z nich nosiła i nosi nadal miano realizmu radykalnego. Jest to negacja egzystencji obrazów immanentnych. Pospolicie ludzie sądzą, że gdy sobie coś przypominają albo gdy im się coś przywidzi we śnie, to powstają wtedy przedmioty, które nazywają obrazami wewnętrznymi. I gotowi są wypowiadać rzekomo o tych obrazach różne sądy prawdziwe, ot na przykład [...], że należał do tego obrazu [...] świetlisty krąg, jeżeli to była wizja zachodu słońca. Otóż reizm powążył się porwać ze swoją motyką na to słońce, nie korzystając z pomocy Leśniewskiego, który mu pomocy w tej właśnie imprezie odmówił. Cóż skłaniało reistę do przyjęcia realizmu radykalnego? Nade wszystko chyba rosnący, pełny zawstydzienia sprzeciw przeciwko brutalnemu symplicyzmowi, którego się sam dawniej dopuszczał. Mianowicie zapytany drwiąco przez wroga podstaw materialistycznych, czy sądzi, że obrazy immanentne są w głowie, odpowiedział był butnie i wyzywająco, że tak, że istotnie obrazy immanentne są w głowie. Atoli przyszły refleksje krytyczne. Gdzie? W którym miejscu? I w jakim sensie są w głowie? Czy to „w” należy rozumieć przestrzennie, tak jak w odniesieniu do włókien składowych mózgu? Czy można tak rozumieć „w” w stosunku do czegoś, co nie jest bryłą? A przecież obraz immanentny nie jest bryłą. Może i Avenariusowa krytyka introjeckiej przyczyniła się do otrzeźwienia z symplicystycznej ułudy. Nie niepodobna przyjąć ani introjeckiej, ani ekstrajeckiej, umieszczającej obrazy immanentne na zewnątrz ciała obserwatorów [...].

Jedynie wyjście z dylematu prowadzi do konkluzji, że nie ma w ogóle obrazów immanentnych, skoro ich nie ma ani w głowach, ani poza głowami [...]. Bo proszę zważyć [...]: czyżby w tym samym sensie czerwony był kwiat maku i jego obraz spostrzegawczy? [...] Byłoby to jakoś podobnie dziwne jak [...] przypisywać [...] nazwom cechy rzeczy przez nie nazywanych. A przecież [odpowiadając] na pytanie, co się komu przyśniło [...], to tylko złudzenie, że podaje [się] [...] charakterystykę obrazu immanentnego [...]. Naprawdę opisuje [się] rzeczy z różnych miejsc i czasów, na które [odpowiadający] reagował we śnie w sposób wtórny i zbiorczy niejako.

Słowem – konkretyzm próbuje obejść się z obrazami immanentnymi tak, jak się obszedł był z cechami, stosunkami... itd.: ilekroć mowa z pozoru o nich, naprawdę mowa jest o rzeczach [...]. Bo tylko o rzeczach można mówić, gdyż tylko o rzeczach można myśleć, gdyż tylko rzeczy są przedmiotami poznania. Albo-

wiem poznawać – to w każdym razie jakoś reagować na bodźce, a jedynymi bodźcami są rzeczy. Istnieje zaś tylko to, co może oddziaływać na coś innego. Więc tylko rzeczy istnieją, a nie istnieją obrazy immanentne. Tę właśnie tezę o nieistnieniu obrazów immanentnych nazwało się realizmem radykalnym. (Kotarbiński, 1961, s. 506–507)

Tadeusz Kotarbiński upatrywał w realizmie radykalnym, a w szczególności w tezie, że nie istnieją obrazy immanentne, jedyne wyjście z dylematu: introjekcja – ekstrajekcja. Pierwsza umiejscawiała owe obrazy, m.in. więc widoki, uczucia, wspomnienia, sny itd., w nas samych. A przecież – jak mniemał – żeby jedno coś mogło się znajdować w drugim, oba muszą być ciałami materialnymi, bryłami. Myśli zaś, że są bryłami, w ogóle do siebie nie dopuszczał. Wstydził się tego, że kiedyś twierdził, iż obrazy immanentne są w głowie. Druga teoria, ekstrajekcja, dokonywała eksmisji obrazów immanentnych i wyznaczała im mieszkanie poza nami. Obydwa poglądy odrzucał jako niesłuszne. Pozostawało to w zgodzie z modą filozoficzną obowiązującą w tamtym czasie; stanowiło część realizacji programu usuwania problemów pozornych z filozofii, a zwłaszcza z teorii poznania i metafizyki. Ze swej strony dodam, że przeprowadzając taką czystkę, należy baczyć, by razem ze śmieciami nie wyrzucić czegoś wartościowego.

Aby stanowczo twierdzić, że takie obrazy wewnętrzne nie istnieją, i tym samym zasłużyć sobie na miano realisty radykalnego, trzeba wystarczająco dokładnie i ściśle wiedzieć, co to jest obraz immanentny wyobrażenia. Moje opinie w tej sprawie opierają się na opisach i charakterystykach, które znalazłem w *Elementach* oraz przytoczonych wyżej artykułach Tadeusza Kotarbińskiego. Poznałem w nich Jego rekonstrukcje pojęcia obrazu immanentnego i pojęć pokrewnych ujęte w sposób pełen dbałości nie tylko o wierność w stosunku do publikacji, z których Autor zaczerpnął te dane, lecz również o szczerłość w ujawnieniu Jego własnych wątpliwości i zastrzeżeń co do precyzji i przydatności tych narzędzi analizy. Moja wiedza w tym zakresie, jeżeli ma się ograniczyć do wymienionych źródeł, nie wyposaża mnie w użyteczne kryterium, które by mi w konkretnym wypadku pozwoliło rozstrzygnąć: czy to a to okazane mi *P*, jest obrazem immanentnym, czy nie jest, a następnie na tej podstawie stanowczo twierdzić, że obrazy immanentne nie istnieją.

Tadeusz Kotarbiński, skoro jako realista radykalny głosił negację egzystencji obrazów immanentnych, tym samym dawał świadectwo, że sądzi, iż dowiedział się o nich od filozofów idealistycznych wystarczająco wiele, by twierdzić, że obrazy immanentne oraz pokrewne im przedmioty nie istnieją. Możliwe też, że bardziej niż na samym tym pojęciu skupił uwagę na swej misji usuwania hipostaz, czemu – jak wiadomo – poświęcił wiele sił i czasu.

Być może, jedni idealisci, gdy pada słowo „idea” lub podobne, powołują w myśli coś amorficznego, ulotnego, nieuchwytnego, oderwanego od podłoża materialnego, coś takiego, że np. sen okazuje się czymś innym niż śniący i czymś różnym od rzeczy, które się śnią, a także od rzeczy kiedyś widzianych oraz zdarzeń kiedyś przeżytych, i są przekonani, że to coś jest w nich. I być może inni idealisci, a niekiedy nawet ci sami co poprzednio, ale innym razem,

owo zagadkowe coś, może to samo co wczoraj, a może inne – jak to ustalić? – umieszczają na zewnątrz siebie, w otaczającym świecie. Tak dochodzi do sporu między introjekcjonistami a ekstrajekcjonistami. Myślę, że jest to spór nierozstrzygalny już z tego powodu, że strony nie zdołałyby się porozumieć, co jedni lokują w sobie, a drudzy nie w sobie: czy jest to to samo coś.

Zdawałoby się, że zwolennik – jak ja – reizmu, to prawda: umiarkowanego reizmu rdzennego, nie powinien mieć najmniejszych wątpliwości, że nie istnieją obrazy wewnętrzne, czyli immanentne, które jakoby powstają, gdy sobie coś przypominamy albo kiedy nam się śni czy kiedy nasza wyobraźnia powołuje do życia urojone przedmioty, sytuacje i zdarzenia. Tymczasem, choć to zaskakujące, moim zdaniem na pytanie, czy owe przedmioty immanentne istnieją, to jest, czy są materialnymi rzeczami, ostrożność doradza odpowiedzieć: „To zależy...”. Zależy od tego, jak rozumiemy zwrot „obraz wewnętrzny” bądź „obraz immanentny wyobrażenia odtwórczego lub wytwórczego”, a zdaniem niektórych filozofów – także wyobrażenia spostrzegawczego, gdy pośredniczy między przedmiotem spostrzeganym a zmysłowym aparatem odbiorczym spostrzegającego. Jak starałem się pokazać, narzędzia pojęciowe używane w rozważaniach ontologicznych i epistemologicznych nie są wzorem precyzji. Zapewne różni ludzie różne intuicje wiązali z pojęciem obrazu immanentnego wyobrażeń. Zwolennicy obrazów immanentnych powołują się na to, że potrafimy uzewnętrzniać swoje obrazy immanentne, np. opisując albo malując, co się nam przyśniło, czy pisząc wspomnienia. Można by ich wtedy posądzać, że na swoje przeżycia patrzą, jak na działanie automatu z napojami czy batonikami. Wiadomo, iż żeby z automatu po odpowiednich manipulacjach wypadły, trzeba było do urządzenia przedtem je włożyć. Aby mógł opisać albo odmalować swój sen, wspomnienie lub przywidzenie, musiały one uprzednio we mnie się znaleźć; przecież gdyby ich we mnie nie było, nie miałbym co opisywać czy malować. Tadeusz Kotarbiński, realista radykalny, przeciwnik obrazów immanentnych, utrzymuje, że jedynym wyjściem, aby się od rojenia o tych obrazach uwolnić, jest pozbyć się ich radykalnie: nie ma żadnych obrazów immanentnych. Czy rzeczywiście jest to jedyne wyjście? Pragnącemu odpowiedzieć na to pytanie nadciąga z pomocą polaroid. Mam na myśli wynalazek Edwina H. Landa, jego metodę otrzymywania gotowej fotografii, która – po kilkunastu sekundach od zrobienia zdjęcia czarno-biała, a po sześćdziesięciu kolorowa – wysuwa się z aparatu fotograficznego marki Polaroid. Otóż skłaniam się do opinii, że obrazy immanentne są rzeczami, tak jak rzeczą jest kawałek światłoczułej błony polaroidowej, który odpowiednio naświetlony w momencie wykonywania zdjęcia, staje się po chwili obrazem. Zresztą analogicznie rzecz się ma w wypadku zwykłej kamery, a także drukarki przyłączonej do komputera. Czym więc byłby ów obraz immanentny, który powstaje, gdy przeżywamy wyobrażenia – przynajmniej wyobrażenia odtwórcze lub wytwórcze? Fragmentem naszego własnego obwodowego układu nerwowego, odpowiednio pobudzonym przez bodźce zewnętrzne lub wewnętrzne, a więc kawałkiem naszego ciała, materialnym, trójwymiarowym, czasoprzestrzennym, słowem – rzeczą. Nie widzę powodu, dla którego miałbym zaprzeczać egzystencji

tego rodzaju obrazu immanentnego, obrazu zatem, który jest we mnie, skoro to przecież cząstka mego własnego ciała, zmieniona na skutek działania na nią bodźców i wywołanych przez nie procesów w tkankach nerwowych. Wydawałoby się zatem, że jestem introjeksjonistą. I nie wiem, czy mam się tego wstydić jako swego „brutalnego symplicyzmu”, a także tego, że być może, niektórzy idealiści podobnie właśnie do wymienionego obrazu immanentne mieli na myśli, gdy posługiwali się słowem „idea”. Żeby się choć trochę zrehabilitować, powołałam się na to, iż budulec do tych immanentnych konstrukcji we mnie czerpię – jak wszystkie osobniki zdolne do doznawania – z zewnątrz: są to różne okrucchy otaczające mnie od urodzenia rzeczywistości. Może więc do pewnego stopnia jestem też ekstrajeksjonistą, powiedzmy „ekstrajeksjonistą genetycznym”, skoro nie całe moje gotowe obrazy immanentne znajdują się na zewnątrz mej własnej osoby, tylko pewne materiały budowlane do ich wykonania, wśród nich m.in. materialne ślady wyników moich procesów poznawczych. Natomiast nigdy nie sądziłem, że moje obrazy wewnętrzne są na zewnątrz mnie, co zresztą – jak sama ich nazwa wskazuje – ocierałoby się o sprzeczność. Jak wynika z obecnego fragmentu moich wyznań z zakresu teorii poznania, nie uważam zaprzeczania egzystencji obrazów immanentnych za jedyne wyjście z dylematu introjeksja – ekstrajeksja. Nie uważam też, że odmawiając skazania obrazów immanentnych na banicję, zapisuję się do stronnictwa idealistów. Oto wyjście: zwrot „obraz immanentny” skłonny jestem traktować jako nazwę mającą charakter przenośni, nazwę oznaczającą materialny splot tak a tak pobudzonych i pod wpływem działania bodźców zmienionych tkanek nerwowych osobnika doznającego w fazie pośredniej między początkiem pobudzeń a uświadomieniem sobie przez podmiot doznający ich rezultatu. Tego rodzaju obraz immanentny nie byłby żadnym przedmiotem idealnym, zjawiskiem paranormalnym, czymś tajemniczym, o czym mowa w wywodach parapsychologicznych albo w utworach fikcji i fantastyki literackiej, a co medium „emanuje” z siebie podczas seansów spirytystycznych, co zaś okazuje się z pewnością ukrytym zwojem białego muślinu, jak w pokazach Teofila Modrzejewskiego, głośnego przed II wojną światową medium, występującego pod pseudonimem „Franciszek Kluski”, w których Tadeusz Kotarbiński uczestniczył jako widz-demaskator. Gdyby pojęcie obrazu immanentnego okazało się dogodnym narzędziem w rozważaniach na polu m.in. teorii poznania, to gotów jestem je kupić, a może nawet go używać. Bynajmniej zresztą z tego nie wynika, jakobym był entuzjastą niejasnych i niewyraźnych pojęć obrazu immanentnego, treści, widoku itd. Dorzucę przy okazji, że choć zgadzam się, iż „nie w tym samym sensie” mak jest czerwony, co jego obraz immanentny jest czerwony, ale w jakimś sensie i ten drugi, ów obraz spostrzegawczy czerwonego maku, jest czerwony, jeśli za obraz spostrzegawczy zgodzimy się uważać to, co ja uważam. W takim mianowicie sensie ów obraz immanentny będzie czerwony, że czerwony mak wzbudza inną reakcję i może nie tej samej tkanki ośrodkowego układu nerwowego co mak np. żółty, a następnie tkanka pobudzona czerwono jest pod określonymi względami inaczej zmieniona niż tkanka pobudzona żółto. Nie chcę jednak się mądrzyć, podając umiejscowienie w układzie

nerwowym oraz fizykalną interpretację i różnice w charakterze wzbudzeń wywołanych przez rzeczy różnych kolorów: nie mam o tym pojęcia. Chyba zatem pozostałem realistą; może nawet radykalnym... inaczej (bo radykalizm nie jest moją ulubioną postawą, już prędzej – horacjańska *aurea mediocritas*).

W kręgu zagadnień poruszonych w *Elementach* nastąpił od pierwszego wydania tego dzieła, a więc w ciągu ostatnich blisko już stu lat, ogromny postęp. Znaczny też postęp dzieli tę dziedzinę rozważań od roku publikacji artykułu *Fazy rozwojowe konkretyzmu*, choć to „dopiero” połowa – z okładem – tamtego okresu. Podczas gdy dawniej jako przykład słowa „musi” w sensie dynamicznym podawałem „Człowiek, któremu ucięto głowę, musi umrzeć”, dziś słyszę, że włoski neurochirurg przygotowuje się do operacji ucięcia głowy pacjentowi i zastąpienia jej zdrową głową dawcy; zapowiedział, że transplantacja ta została zaplanowana za dwa lata, a więc na rok 2017. Dzieci urodzone w bieżącym stuleciu dowiadują się, że „dawno temu” człowiek chodził po Księżycu i przywiózł stamtąd na pamiątkę kilka drobiazgów. Swego rodzaju „*Roma locuta...*” należy tu dzisiaj do neurofizjologów i neuropsychologów. Ktoś więc taki jak ja powinien wziąć sobie do serca zdanie zamykające *Tractatus logico-philosophicus* Ludwiga Wittgensteina: „o czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”, i zastąpiwszy słowa „nie można” słowami „nie umiesz”, zastosować się do nich ściśle. Coś jednak korci, by ze swego kąta dorzucić, jaki mi obraz mający.

Ludzkość mówi różnymi językami. Jest ich bardzo wiele. A myśli – z grubsza biorąc – w jeden sposób. Jak to jest możliwe? Aby uporać się z tą zagadką, chwyciliśmy się dwóch pomysłów: przyjęliśmy już przed wiekami, że oprócz mnóstwa języków werbalnych jest jeden wspólny język mentalny. Albo równoległą koncepcję pokrewną: są w nas wspólne idee wrodzone. Oba rozwiązania powracają na przemian. Trwamy uporczywie to przy jednym, to przy drugim. W obu dwa elementy jawią się jako związane: język i myślenie, język i poznanie. Ale myślą i rozumują nie tylko ludzie. Także inne istoty żywe, doznające. A zatem zamiast członu „język” trzeba uwzględnić ogólniejszy: „system semiotyczny”. Poszczególne systemy semiotyczne były przez wieki konstruowane, częściowo spontanicznie, przez użytkowników danego systemu. Niektóre różnice między tymi systemami powstawały „same”, w wyniku prób i błędów w czasie kształtowania się systemu i jego funkcjonowania: rozwiązania nieprzydatne ulegały eliminacji, udane zaś utrwały się i rozwijały. Każdy taki system operuje funkcjami semiozycznymi. Są to instrukcje podające sposoby posługiwania się znakami systemu. Stosując się do tych instrukcji, w tym wypadku do reguł syntaktycznych, użytkownicy danego systemu budują z jego znaków elementarnych większe układy. Jedne i drugie znaki, stosownie do funkcji semiozycznych systemu, wiążą się ze swymi korelatami pozaznakowymi. „Skierowanie” do właściwego korelatu zawierające dane adresata zawarte jest w odpowiedniej funkcji semantycznej. Przyporządkowanie każdemu znakowi osobnego korelatu doprowadziłoby do nadmiernego rozrostu systemu i jego przeciążenia; pociągnęłoby ograniczenie, a następnie zanik operatywności, aż do całkowitego unieruchomienia. Rozwiązaniem złym, ale koniecznym była wielo-



znaczność znaków. Jej zaletą, która rekompensuje po części wady, okazało się to, że dana jednostka systemu może spełniać wiele zadań.

\*\*\*

Wady narzędzi pojęciowych użytych przez Tadeusza Kotarbińskiego do przedstawienia różnic między idealizmem a realizmem wprawdzie mogły – jak sądzę – zaważyć na wierności historycznego obrazu stanowisk każdej ze stron, jednak nie na słuszności pozytywnych tez poglądu zwanego realizmem radykalnym. Toteż nie wątpię, że prawdziwe jest główne twierdzenie realizmu radykalnego, iż treść, jej elementy ani ich układy nie są materialnymi ciałami. Zarazem wydaje mi się ono tak oczywiste, że aż banalne, więc położenie na nie przez Tadeusza Kotarbińskiego tak wielkiego nacisku nie było konieczne.

Twierdzenie reizmu, że treści ani elementy treści, pojmowane tak jak w *Elementach*, nie są rzeczami, narzuca się jako oczywistość zgodna z doświadczeniem. Byłoby ono wyważaniem otwartych drzwi, gdyby nikt nie głosił, iż treści bądź ich elementy są materialnymi rzeczami. Pogląd przeciwny, według którego barwy, lśnienia, smaki, zapachy, tony itd. są rzeczami, z których – niby z kawałków – składają się rzeczy w naszym otoczeniu, jest moim zdaniem fałszywy. Za tym jednak, że owe elementy treści nie mogą być materialnymi rzeczami, opowiada się chyba nie tylko reista i nie tylko realista radykalny. Również niektórzy idealiści zaprzeczają, jak się zdaje, cielesności elementów treści, gdy twierdzą, że istnienie materialnych rzeczy jest tylko naszym domysłem, a bezpośrednio są nam dane wyłącznie treści, skoro poznawanie nie jest czynnością fizyczną – w odróżnieniu np. od chwytania czegoś ręką, zucia czy połykania. To, co ma dla nas być poznawalne, nie może więc mieć ich zdaniem natury fizycznej, bo nasza świadomość niezdolna jest przełknąć fizycznych kęsów, natomiast potrafi żywić się ideami, czyli treściami oraz ich elementami. Nie mamy zatem – jak sądzą – dostępu poznawczego do materialnych rzeczy. Wszelako także i tym razem ustalenie, jak było, czy idealiści tak myślą i tak swoje twierdzenia uzasadniają, pozostawiam historykom filozofii, znawcom idealizmu. Gdyby ci stwierdzili, że żaden idealista nie obstaje przy tym, iż treści i ich elementy są czymś materialnym, to realista, pomawiając idealistę o przypisywanie treściom istnienia, walczyłby z wiatrakami, gdyż idealista przez „istnienie” treści rozumie co innego niż jego oponent, mianowicie ich dostępność naszemu poznaniu, nie zaś to, że są rzeczami „z krwi i kości”.

Zastanawiająca jest uporczywość zapatrywań idealistów, wśród których były przecież wielkie umysły. Zbyt pochopny wydawałby mi się domysł, że ulegali zaćmieniu intelektu, zanikowi zdrowego rozsądku, zbiorowej aberracji, gdyż choć np. na własne oczy nieraz widzieli, że ludzie giną od ciosu miecza, umierają pozbawieni wody albo w niej toną, zarazem upierali się, że ten miecz został „wykonany” z bezcielesnych elementów treści, a ta woda jest połączeniem płynności, przezroczystości, własności wrzenia lub zamarzania, nie zaś materialnym ciałem płynnym. Przychodzi więc do głowy myśl zakrawająca na herezję. Może

reizm, skierowując ostrze polemiki przeciw idealistycznym mrzonkom, jakoby ciała składały się z takich elementów treści, jak barwy, uciski, wonie, dopuścił się nieadekwatnej interpretacji poglądów oponentów i przypisał idealistom twierdzenia, których nie głosili, faktycznie bowiem co innego mieli na myśli i swych zapatrywań w sprawie ograniczeń naszych zdolności poznawczych wcale nie rozciągali na ontologiczną naturę przedmiotów poznania. Gdyby tak było, można by realizmowi radykalnemu wytknąć – uciekając się do frazeologii Wschodu – że z toporem się porzywa na papierowego smoka.

\*\*\*

Realizm radykalny odpiera zarzut swych oponentów, gdy ci głoszą, że zdolni jesteśmy poznawać tylko to, co jest nam bezpośrednio dane, czyli tylko owe treści. Wskazuje, że zwrot „bezpośrednio dane” w żadnym ze swych znaczeń nie podważa tezy realizmu radykalnego, iż to właśnie rzeczy są nam bezpośrednio dane. „*P* jest bezpośrednio dane” znaczy: 1. „istnienie *P* jest bezpośrednio mi dane, gdy coś wydaje mi się przedmiotem *P*”; 2. *P* jest istotnie spostrzeżone; 3. *P* jest tym, czego istnienie stwierdzamy w sposób najpewniejszy, a wtedy sam spostrzegający wydaje się sobie najpewniejszym przedmiotem własnego postrzegania. W związku z ostatnim punktem Autor zauważa:

Bynajmniej jednak nie sądzimy, jakoby obserwator, twierdząc coś empirycznie i bezpośrednio, czyli twierdząc tak, jak mu się naprawdę, jako spostrzegającemu, wydaje, twierdził przez to samo prawdziwie. Nie zamierzamy tutaj rozważać sprawdzianów, które by odróżniały zdania bezpośrednio empirycznie prawdziwe od zdań bezpośrednio empirycznie fałszywych. (Kotarbiński, 1993b, s. 125)

Teza realizmu radykalnego wynika ze stanowiska reizmu w sprawie nazw pozornych. Jest więc w takiej mierze uzasadniona, w jakiej uzasadniony jest reizm. Według mnie jest przekonująca. Byłaby jeszcze bardziej przekonująca, gdyby analizę znaczeń „tego, co bezpośrednio dane” przeprowadził przeciwnik, a nie twórca i zwolennik realizmu radykalnego, i gdyby choć utrzymuje, że zdolni jesteśmy poznawać to tylko, co zostało nam bezpośrednio dane, tak twierdząc nie wykluczał – czego mu zresztą nie przypisuję – poznawania za pomocą także rozumowań, a nie wyłącznie zmysłowego reagowania na bodźce. Nie przekonuje mnie natomiast uwaga Tadeusza Kotarbińskiego, że „tylko o rzeczach można mówić, gdyż tylko o rzeczach można myśleć, gdyż tylko rzeczy są przedmiotami poznania” (Kotarbiński, 1961, s. 507). Wszak właśnie w tej chwili mówię tutaj, piszę i myślę nie tylko o rzeczach, ale i o przedmiotach nie będących rzeczami.

Ponieważ domysł, że istnieją elementy treści, powstaje na skutek naszego zerknięcia się z ich mianami, domysł ten upadnie wraz z wyrugowaniem owych mian jako onomatoidów; a tego właśnie domaga się reizm i w miarę możliwości postulat ten realizuje. Główną zaletę realizmu radykalnego Tadeusz Kotarbiński upatruje w tym, że pogląd ten likwiduje spory dotyczące stosunku między przedmiotami zewnętrznymi a treściami, skoro treści nie ma. Powołuje się też na

filozofów, którzy w przeszłości zajmowali podobne stanowisko, przede wszystkim na Leibniza i Brentana.

#### 4.6. Interpretacja zdań psychologicznych

Tadeusz Kotarbiński kilkakrotnie analizował pojęcie zdania psychologicznego. Bodajże po raz pierwszy swoje uwagi w tej sprawie zamieścił w odczycie, który wygłosił 13 marca 1922 roku na posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, a wkrótce potem opublikował jako artykuł pod tytułem *O istocie doświadczenia wewnętrznego*:

Opis psychologiczny tego, co się dzieje w duszy Jana, dokonany przez Piotra, składa się [...] z dwu części: zapowiadawczej i wykonawczej. Pierwszą ujmuję się zazwyczaj w słowa: „Jan zauważył, że...” lub „Jan myśli, że...” lub „Jan wyobraża sobie...”, lub „Jan odczuwa...” itp. Po tej części następuje druga, wypowiedziana w postaci zdania lub w postaci nazwy. Na ogół są to zdania o czymś, co nie jest bynajmniej przebiegiem psychicznym, nazwy czegoś, co również niczym przebiegiem psychicznym nie jest [...]. Ale każdą z tych rozmaitych odmian części zapowiadawczej można by podciągnąć pod schemat wspólny, bodaj taki: „W układzie nerwowym Jana odbywa się przebieg następujący” [...]. Czy tak powiedzieć nie na jedno wychodzi, jak gdyby się powiedziało: „To, co teraz wykonam, jest powtórzeniem przebiegu w nerwach Jana”? A może teraz dokładniej się wypowiemy, mówiąc zamiast „powtórzeniem” – „naśladowaniem”. Wtedy schemat pierwszej, zapowiadawczej części opisu psychologicznego przybierze postać zdania: „To, co teraz wykonam, jest naśladowaniem przebiegu w nerwach Jana”. Bezpośrednio zaś po tym, wypowiadając część wykonawczą, powiem: „Słońce świeci” lub „Znajoma twarz”, lub inne jakie zdanie albo inną jaką nazwę, stosownie do tego, co by Jan sam wyrzekł, gdyby chciał dać wyraz słowny swemu stanowi psychicznemu, stanowi, który ja, Piotr, chcę opisać, a który będzie, dajmy na to, spostrzeżeniem tego, że słońce świeci lub ujrzaniem znajomej twarzy. Otrzymałobyśmy tedy taki kształt ekspresji słownej opisu spostrzeżenia Jana, iż słońce świeci, opisu, którego dokonywa Piotr: „To, co teraz wykonam, jest naśladowaniem przebiegu w nerwach Jana: słońce świeci” albo „To, co teraz wykonam, jest naśladowaniem przebiegu w nerwach Jana: znajoma twarz”. Jak to, zapyta [...] Tomasz, [...] czyż to, że słońce świeci, jest naśladowaniem przebiegu w nerwach Jana? Czyż jest naśladowaniem jego przebiegu nerwowego również i znajoma twarz? Łukasz [...] wniesie protest nie pozwalając uznać za naśladowanie przebiegu w myślach Jana samych słów „słońce świeci” lub „znajoma twarz” [...]. Zapowiedzianym w pierwszej części naśladowaniem opisu nie jest bynajmniej to, że słońce świeci, lub znajoma twarz, ani też [...] sam potok dźwięków: „słońce świeci” lub „znajoma twarz”, lecz tym zapowiedzianym naśladowaniem jest pewien przebieg w nerwach Piotra, przebieg, którego wyrazem jest wygłoszony przez Piotra potok dźwięków: „słońce świeci”, lub „znajoma twarz”. Tym omówieniem określiliśmy rolę dwukropka przed słowami „słońce świeci” lub „znajoma twarz”. Wskazuje on, że to, co po nim nastąpi, jest wyrazem tego aktu nerwowego, którego przeżycie zapowiada się, wygłaszając splot słów przed dwukropkiem [...]. Nie dziw, jeżeli bruździć będzie komu tutaj pojęcie naśladowania: wszak naśladować zachowanie czyjeś – to samemu zachowywać się podobnie,

a „podobnie” zachowywać się można w większym lub mniejszym stopniu, pod tym lub innym względem. Stopień bywa zmienny, a od tego stopnia zależy będzie dokładność opisu. Co się zaś tyczy względów, pod którymi podobne ma być zachowanie się naśladowcy do zachowania się naśladowanego, to te zbyt trudno jest określić je w ogóle; i są one zresztą częściowo zmienne. Nie podając zatem ogólnego ich wskazania, przykładem tylko pomożemy słuchaczowi i sobie: oto kiedy Piotr chce [...] zdać sobie sprawę z tego, co Jan widział, niechaj sam spojrzy na to, na co Jan patrzył, przedtem zaś niechaj nie zaniedba upodobnić się do Jana, który ma wzrok lepszy, chociażby przez włożenie odpowiednich szkieł [...]. Może zawsze zachowane być musi naśladowującego Piotra coś takiego spośród przeżyć Jana, co musi zachodzić na obszarze mózgu oraz dróg nerwowych danego zmysłu w Janie, jako w osobniku o takich, jakie on – Jan – posiada, przyzwyyczajeniach, przy reagowaniu na spłot podniet, na których skuteczne działanie jest on wystawiony w chwili naśladowanego przeżycia [...]. Schemat ogólny [...]: „To, co niebawem wykonam, jest naśladowaniem przebiegu w nerwach mózgu oraz dróg zmysłów z osobnika *O: A*”.

Idzie [...] o to, by sprowadzić opis psychologiczny do opisu zmysłowego [...]. Oto powiada Piotr: [...] „Jan zauważył przed godziną, że słońce świeci” [...]. W części zapowiadawczej mówi się o pewnych ruchach mówiącego, które są [...] takie same pod pewnymi strukturalnymi względami jak ruchy innego osobnika [...]. A część wykonawcza [...]? Mówi się w niej [...] o słońcu, że wysyła [...] jasne promienie [...]. Czyż nie jest to opis [...] zmysłowy, ekstraspekcyjny? [...]

Zamiast a [...] znaleźć się może np. zdanie „Marek rozumie, że ziemia jest kulista” i wtedy [...] dokonany przez Piotra opis psychologiczny zachowania się Jana otrzyma [...] następujący wyraz [...]: „To, co niebawem wykonam, jest naśladowaniem przebiegu w mózgu Jana: Marek rozumie, że ziemia jest kulista” [...]. Druga część opisu, [...] wykonawcza, sama jest [...] opisem psychologicznym, [bo w niej] tkwi zwrot „rozumie, że” [...]. By go wyrugować, dość będzie [...] zdanie „Marek rozumie, że ziemia jest kulista” [zastąpić zdaniem] „To, co teraz wykonam, jest naśladowaniem przebiegu w mózgu Marka: ziemia jest kulista”. Całość zaś opisu Piotra da się wyrazić takim oto zdaniem: „To, co niebawem wykonam, jest naśladowaniem przebiegu w mózgu Jana: to, co niebawem wykonam, jest naśladowaniem przebiegu w mózgu Marka: ziemia jest kulista” [...]. Pierwszy dwukropek stosuje się do całości tego, co po nim nastąpi.

Odróżnia [się] dwa rodzaje opisów: jeden taki, kiedy się mówi o rzeczy opisywanej i [...] orzeka, że jest taka a taka. Ale inaczej też się częstokroć opisuje, sposobem naśladowania: miną gestem, udawaną mową [...]. Gdy przejmiesz moje gesty, poznasz i moje wzruszenia [...].

Opisuje się psychologicznie Jana, opisując niepsychologicznie to, co niepsychologicznie opisywał Jan [...].

„Czy przebiegi psychiczne są identyczne z fizjologicznymi? [...] Wyrażenie: „zachodzi taki a taki przebieg fizjologiczny w nerwach” znaczy dla nas tyle, co wyrażenie: „Nerwy są zrazu takie a takie, potem zaś takie a takie” (w ogóle mówiąc – inne) [...]; wyrażenie: „zachodzi taki a taki przebieg psychiczny” [...] znaczy tyle, że nerwy są zrazu takie a takie, potem zaś takie a takie itd. [...], przy czym opis nerwów jest psychologiczny [...] Stajemy więc na stanowisku identyczności albo paralelizmu przebiegów fizjologicznych i psychicznych [...].

[Niekiedy] przez doświadczenie wewnętrzne rozumie [się] introspekcję jako opisywanie tego, co się dzieje w cudzej duszy („dusza” istnieje i jest identyczna

z ciałem [...], substancja duchowa jest to dla nas ciało obdarzone życiem psychicznym). Tymczasem przez doświadczenie wewnętrzne, ściślej doświadczenie wewnętrzne, rozumie się zazwyczaj autointrospekcję, czyli badanie za pomocą jakiegoś niby oglądania wewnętrznego, co się dzieje we własnej duszy badacza [...]. Poznajemy psychologicznie cudzą duszę w ten sposób, że naśladujemy jej zachowanie się z tego czasu, gdy ona coś poza sobą poznaje [...]. Czy w ten sam sposób poznajemy i własną duszę? Tak jest, w ten sam. Naśladujemy jej minione zachowanie się, lecz gdy naśladowanie wnętrza bliźnich rozpoczyna się od naśladowania ich zewnętrznych gestów, naśladowanie siebie samego zacząć się może od wnętrza, od mózgu [...]. Poznajemy siebie psychologicznie o tyle tylko, o ile zdołamy dobrze naśladować własne poznawanie czegoś poza nami. Tamto poznawanie, poznawanie zmysłowe, jest bezpośrednie, to zaś – pośrednie [...]. I introspekcja sprowadza się do spostrzegania zmysłowego [...]. Tak samo jest z opisywaniem przebiegów innych ludzi [...]”<sup>13</sup>. (Kotarbiński, 1993e, s. 233–242)

Cytat ten, choć bardzo obszerny, postanowiłem pozostawić w nie zredukowanej objętości. Nie tylko dlatego, że artykuł, z którego pochodzi, jest – według określenia z recenzji *Reizm* Kazimierza Ajdukiewicza – „niezmiernie oryginalny”. Obfituje przy tym w myśli głębokie i doniosłe. Zawiera ponętny pomysł, by introspekcję, którą zresztą Tadeusz Kotarbiński doceniał jako dostarczycielkę wyników poznawczych, zastąpić ekstraspekcją, która ma nad introspekcją tę przewagę, że jej rezultaty podlegają obiektywnemu sprawdzeniu przez każdego, kto uzna to za potrzebne. Z wielką sumiennością i skrupulatnością przewiduje Autor i przedstawia możliwe zastrzeżenia wobec własnych idei. Dokłada maksymalnych starań, by swe propozycje poddać wszechstronnej i wnikliwej autokrytyce. Oprócz tych wszystkich powodów znajduję jeszcze jeden, by nie pominąć żadnej istotnej myśli Tadeusza Kotarbińskiego: podzielał niektóre wątpliwości Tomasza i Łukasza z przykładu w pierwszym akapicie przytoczonego fragmentu i nie chciałbym uronić żadnej myśli Autora *Istoty doświadczenia wewnętrznego*, która by mogła moje wątpliwości rozproszyć.

Te zrodziły się we mnie już w roku 1942 na wykładach Tadeusza Kotarbińskiego, gdy zaznajamiał nasz komplet ze swą interpretacją zdań psychologicznych, i podczas pierwszej lektury *Elementów*, towarzyszącej tym wykładom. Wspomniane wątpliwości opierają się na moim przekonaniu, że naśladowaniu podlegają tylko czyjeś zachowania zewnętrzne, które są nam dostępne, a nie przebiegi, czyli procesy w czyimś układzie nerwowym, ani nie czyjeś doznania psychiczne, których przejawami stały się owe zewnętrzne zachowania. Opierają się także na innym moim przekonaniu, mianowicie że od imitowania tych zachowań nie rodzą się w nas, a przynajmniej nie zawsze się rodzą procesy w naszym układzie nerwowym oraz przeżycia psychiczne takie same lub bardzo podobne do procesów i przeżyć osobników naśladowanych. W związku ze wspomnianymi moimi przekonaniem w tej sprawie trudno mi się pozbyć wątpliwości, czy mogę za Autorem powtórzyć, że zamiast „powiedzieć «w układzie nerwowym Jana odbywa się przebieg następujący» [...] na jedno wychodzi, jak

---

<sup>13</sup> Podkreślenie moje – J.P.

gdymby się powiedziało: «To, co teraz wykonam, jest powtórzeniem przebiegu w nerwach Jana»».

Wydaje mi się, że przeżyć innej osoby czy zwierzęcia co najwyżej się domyślamy – nie zawsze celnie – na podstawie ich objawów, które następnie niekiedy naśladowujemy: same objawy, nie przeżycia. Te drugie, bywa, wprawdzie usiłujemy imitować, kopiować i choć się w nas nie zrodziły, wmawiamy sobie, że je przeżywamy; niekiedy nawet udaje nam się w to uwierzyć. Ale w istocie przeżycia drugiej osoby pozostają dla nas niedostępne. „Wszak i u niej, co w ukryciu, Bóg to jeden wiedzieć raczy” – powie bohater Fredrowskiej *Zemsty*, a w bajeczce pana Jowialskiego „rada małpa, że się śmieli, kiedy mogła udać człeka [...]”, bohaterka opowiadki poczęła małpować ruchy swej pani, nie zaś jej doznania psychiczne: pani odkręcając kurki regulowała temperaturę wody w wannie i dzięki swym działaniom doznawała przyjemności w odpowiednio ciepłej kąpielu. Tymczasem małpa na skutek naśladowania tamtych zewnętrznych manipulacji nie zdołała osiągnąć takich samych wrażeń i przed poparzeniem musiała się salwować ucieczką. Także ów „człek”, którego małpa usiłowała udać, potrafi imitować cudze zachowania, nie zaś szczerze przeżywać naśladowczo to i tak, jak przeżywa kto inny. Zresztą nikt nie dysponuje kryterium, które by mu pozwalało stwierdzić zasadnie, że oto udało mu się wiernie powielić „przebiegi” psychiczne, czyli procesy psychiczne bliźniego i przeżyć naprawdę to samo i tak samo jak on. Płaczkę wynajętą, by na pogrzebie głośno łkały, udawały, że wyrrywają sobie włosy, paznokciami na niby rozdrapywały policzki i szarpały na piersiach suknie, nie przeżywają rozpacz i smutku, który opanował najbliższych osoby zmarłej, raczej są rade i w dobrym nastroju, bo zgon kogoś dla nich obcego dostarczył im pożądanego zarobku. Owe płaczki, choćby i najwierniej imitowały okrzyki i zawołania rozpacz, gesty i miny osieroconych krewnych, a nawet na zawołanie potrafiły ronić łzy, całe to udawanie nie sprawi, że wskutek niego „aktorki” ogarnie nie utulony smutek, rozpacz, poczucie straty i osamotnienia. W jaki sposób „wzbudzić w sobie szczerzy żal”, a tym bardziej „doskonały” żal” albo radość i poczucie szczęśliwości? „Ach, jakież ja jestem szczęśliwy!” wmawia sobie bohater *Ożenku* Gogola, usiłując naśladować typowe w przededniu zaślubin przeżycia oblubieńca, by wśród tych zaklęć, motywowanych tym, co naprawdę czuje, zrejterować niemal sprzed ołtarza. Aktor na scenie gra, tylko gra: Otello nie przeżywa autentycznej obsesyjnej zazdrości, która mu odbiera rozum i popycha go do zbrodni. Dotychczas żaden chyba Otello podczas przedstawienia nie zadusił Desdemony, swej teatralnej koleżanki, a przecież, chcąc dobrze grać, dokładał starań, by jak najpełniej wczuć się w przeżycia zazdrosnego męża i wiernie je odtworzyć. Nawet bardzo dobry aktor, choć zapewne potrafi wprowadzić się w stan psychiczny nieodległy od przedstawianego, skupić się i nie dopuścić, by jednocześnie przemknęła mu myśl o jakiejś własnej sprawie, np. że trzeba będzie wypełnić i wysłać zeznanie podatkowe PIT, mimo swych usilnych starań nie zdoła wznieść w sobie autentycznych emocji i afektów, takich jak przezeń odgrywane. A nie najlepszych aktorów wprawdzie szkoła, jak – mocno mrużąc oczy – wyciskać z nich naturalne łzy, by nie uciekać

się do zakraplania mikstury z gliceryną, ale choćby i najlepszych nie nauczą wybuchać szczerym płaczem jako objawem spontanicznych uczuć. Od udawania płaczu nie ogarnia ich prawdziwa żalność, a od przedstawiania scen rozpacz – prawdziwa rozpacz.

Naśladowanie, imitowanie, małpowanie, udawanie, odgrywanie – w oderwaniu od naśladowanej czynności – same nie są działaniami, a więc czynami umyślnymi i celowymi. Wyrazy „naśladowanie”, „imitowanie”, „małpowanie”, „udawanie”, „odgrywanie”, rozpoczynające poprzednie zdanie, nie oznaczają działań, lecz tylko informują o sposobach wykonywania i wzorcach naśladowanych działań, np. kręcenia kurkami „w lewo, w prawo”. Kręcenie kurkami jest działaniem, natomiast to, że sprawca kogoś lub coś naśladował, odkręcając i zakręcając kurek, działaniem nie jest. Gdy tłum lub jednostka zostają dotknięci amokiem, chcą zabijać i niszczyć wszystko wokół, wówczas działaniem, w tym wypadku niszczycielskimi czynnościami umyślnymi i celowymi, jest wyrwanie kostek bruku i miotanie nimi, wybijanie szyb, dewastowanie latarń, bicie „wrogów”, nie zaś samo naśladowanie: nawet jeśli jedni zakapturzeni „kibole” naśladowują czyny drugich. Natomiast – jak się zdaje – żaden z nich nie naśladowuje niczyich przeżyć psychicznych. Te zresztą są zapewne różne i różne są ich motywy: jedni dla „draki”, drudzy, bo lubią „zadymy”, ci znajdują przyjemność w bijatyce, tamci są przeciw wszystkim, a większość nie wie dlaczego. Co najwyżej udziela im się szal prowodyrów i po fazie empatii, wczuwania się w przeżycia herszta, internalizują je w sposób spontaniczny oraz gwałtowny, by następnie pod wpływem impulsu bezmyślnie rozpocząć owczy pęd, wierząc, że bronią: wiary, honoru, ojczyzny, narodu i własnego klubu, a najczęściej nie wiadomo czego – w imię świętego nakazu „bij, kto w Boga wierzy!”.

Gdy panująca moda dyktuje pewien styl zachowań, np. w epoce sentymentalizmu nie rozstawać się z chusteczką do ocierania łez, imitowanie przejawów nieszczerých wzruszeń, ostentacyjnie okazywanych przez wszystkich dokoła, nie wywoła w nas doznań: ani szczerých ani nieszczerých, nawet jeśli nauczymy się ronić łzy na zawołanie. Gdy księżę Walii nie zapinał dolnego guzika kamizelki, może dlatego, że utył i kamizelka opinała mu się na brzuchu, a może z lenistwa albo przez roztargnienie, zaczęto naśladować tego arbitra elegantiarum. Wówczas moda rozpowszechniona wśród snobów małpowała nie uczucie niewygody z powodu za ciasnego ubrania ani nie lenistwo czy roztargnienie, a więc elementy psychiczne, lecz ich zewnętrzny symptom. Od naśladowania postrzegalnych oznak przeżyć innej osoby nie zaczniemy przeżywać tak jak ona. Każdy jest posiadaczem własnych, wyłącznie własnych przeżyć psychicznych, wspomnień, marzeń: nigdy cudzych. Każdy też ma wyłącznie swoje własne wyobrażenia wytwórcze, wyłącznie swoje. Rację miał Władysław Witwicki, który twierdził, że np.

[...] ból i radość spozstrzegać może jedynie [...] ten, kto ich sam doznaje [...]. Każdy inny człowiek może się czyjejś radości lub bólu tylko domyślać, wnosząc o ich istnieniu na podstawie [...] oznak zewnętrznych. To znanie posiada [...] każdy fakt psychiczny [...]. Zjawiska psychiczne dane są w doświadczeniu we-

wnętrznym [...]. Fakty psychiczne mogą powstawać tylko pod tym warunkiem, że ktoś ich doznaje [...] i istnieją tylko tak długo, jak długo ten ktoś ich doznaje [...]. Fakty psychiczne mają być zależny, [są] faktami podmiotowymi [...]. Zjawiska psychiczne nie są mną samym, tylko są moje, należą do mnie [...]. Ja jestem ich podmiotem, doznaję ich, przeżywam je [...]. (Witwicki, 1925, s. 9–14)

W posiadanie cudzych przeżyć – a polega ono na uzyskaniu wiedzy o nich, na ich poznaniu, uświadomieniu sobie, a nie „autorskim”, w odróżnieniu od „aktorskiego”, udawanego, odgrywanego ich przeżywaniu, ich doświadczaniu – wchodzę wtedy tylko, gdy zostaną mi ujawnione przez ich właściciela: gdy jego zachowanie je zdradzi lub gdy zostaną mi przezeń zakomunikowane, gdy się z nich zwierzy. Owo moje poznawanie przeżyć psychicznych innej istoty doznającej da się porównać z czynnościami zawodowymi lekarza psychiatry albo weterynarza psychiatry; istnieje już i taka specjalizacja medyczna. Pierwszy zaczyna od przeprowadzania wywiadu z pacjentem, dla drugiego ta droga jest niedostępna. Podobieństwo, choć jest relacją symetryczną, w tym wypadku wspomaga rozumowanie przez analogię przebiegające w odwrotnym kierunku: na podstawie znajomości swoich własnych przeżyć i na podstawie owej analogii skłonni jesteśmy przypisywać innym to i tak, jak sami przeżywamy. Nigdy jednak nie wiemy na pewno, czy trafne jest owo nasze przypuszczenie, że bliźni w danym wypadku przeżyli zdarzenia psychiczne identyczne z naszymi. Bo jak to sprawdzić? Wprawdzie sami przed sobą potrafimy – choć i to nie zawsze – „głęb serca otworzyć”, ale głęb tylko własnego serca. Podobnie ktoś inny, każdy jednak wyłącznie swego własnego serca.

O tym, co ów „inny” przeżył, dowiaduję się od niego samego w trojaki sposób: a) albo mi sam opowiada, co przeżywa, ja zaś jako jego słuchacz występuję w roli lekarza psychiatry czy jeśli kto woli – psychoterapeuty lub spowiednika, b) albo obserwuję, jak się ów pacjent zachowuje, i na tej podstawie – trafnie lub nietrafnie – wnioskuję, co przeżywa, w tym wypadku jedną drogą kroczą lekarz ludzi, weterynarz i psychoterapeuta, wszystko jedno – ludzki czy zwierzęcy (mój sąsiad pies przechodził w specjalnej placówce psychoterapeutycznej kurację odwykową od natręctwa szczekania bez powodu), c) albo: relację werbalną innej osoby i jej zachowania konfrontuję z własnymi przeżyciami w analogicznych wypadkach i na podstawie tego zestawienia trzech czynników buduję swój domysł na temat przeżyć „pacjenta”, d) albo wreszcie korzystam z dwóch lub trzech spośród wymienionych sposobów. Żaden z nich nie jest niezawodny. Kto ma być arbitrem, który rozstrzygnie, czy „inny” potrafił adekwatnie zidentyfikować własne przeżycia i chciał oraz umiał przekazać mi prawdziwą o nich relację, ja zaś – czy zdołałem uchwycić własne przeżycia, należycie je określić, znaleźć właściwą analogię między przeżyciami nas obu i na tej podstawie trafnie zrekonstruować przeżycia owego „innego”.

Kolejną moją wątpliwość wywołuje uwaga Tadeusza Kotarbińskiego, że autointrospekcja, czyli psychologiczne poznawanie swych własnych przeżyć psychicznych, polega na trafnym naśladowaniu siebie samych jako poznających coś poza nami i w związku z tym, że poznawanie zmysłowe jest bezpośrednio, auto-



introspekcyjne zaś – pośrednie oraz że niekiedy może się ono „zacząć od wnętrza, od mózgu”. Oto zastanawiam się, co powinienem uczynić, aby trafnie rozpoznać swoje własne przeżycia psychiczne, wywołane np. doznaniem upokorzeniem, jak choćby, gdy pominięto mnie wśród zaproszonych osobistości, nie wzięto pod uwagę jako możliwego kandydata do elitarnego grona albo zostałem zlekceważony przez znawców, którzy zignorowali moje zdanie. Czy mam odtworzyć sobie w pamięci tamte doznania, czy narazić się na ponowny podobny despekt i jako sprawozdawca przeżyć naśladowczo podobne upokorzenie, a następnie wielokrotnie powtarzać to doświadczenie? Czy kolejne rekonstrukcje mych własnych przeżyć psychicznych będą coraz doskonalsze? A w dodatku – i w tym miejscu się pojawia kolejna moja wątpliwość – jak zajrzeć do wnętrza własnego mózgu, co rozprawa *O istocie doświadczenia wewnętrznego* wymienia jako możliwy początek naśladowania samego siebie? Przecież nie chodzi tu o tzw. MRI, obrazowanie tkanek centralnego układu nerwowego przeprowadzane za pomocą rezonansu magnetycznego, o którym w roku publikacji omawianej rozprawy nawet się nie śniło. Jeśli nawet tego rodzaju badanie pozwala stosunkowo ściśle określić stan fizyczny poszczególnych narządów nerwowych mózgu, to – jak przypuszczam – do wniosków psychologicznych o przeżyciach psychicznych badanego chyba daleka jeszcze droga, która wiedzie – tak się przynajmniej jako laik, a właściwie jako ignorant domyślam – przez rozpoznanie przyporządkowań między funkcjami fizjologicznymi a stanami fizycznymi odpowiednich tkanek nerwowych. Nie są to chyba przyporządkowania jednojednoznaczne, lecz statystyczne.

Po ich ustaleniu przyszlaby kolej na ustalanie związków przyczynowo-skutkowych między funkcjami fizjologicznymi elementów układu nerwowego a doznaniem psychicznymi doznającego podmiotu. Tadeusz Kotarbiński „staje [...] na stanowisku identyczności albo paralelizmu przebiegów fizjologicznych i psychicznych”. Zauważmy jednak, że identyczność dwóch procesów to co innego niż ich paralelizm. Gdy przebiegają równolegle, może zajść jeden z następujących wypadków: a) ilekroć pojawia się jeden z nich, tylekroć w tym samym momencie występuje też drugi i oba trwają jednocześnie, by następnie zniknąć w tej samej chwili; b) pierwszy jest przyczyną drugiego; c) drugi jest przyczyną pierwszego; d) wzajemnie na siebie oddziałują. Sądzę, że zachodzi ostatni wypadek, interakcja. Zarówno np. stan zapalny czy inne zaburzenie fizjologiczne pewnego organu wywołują skutek psychiczny: odczuwanie bólu, strach, jak – z drugiej strony – zdarzenie psychiczne, np. długotrwały dręczący pośpiech i napięcie, skutkują przyspieszeniem tętna, dusznością, dysfunkcją przewodu pokarmowego itd., a więc pociągają za sobą następstwa fizjologiczne. Zapewne i te związki mają charakter statystyczny, daleki od jedno-jednoznaczności, przy tym znacznie zindywidualizowany, bo zależny od podmiotowych właściwości danego osobnika oraz od konkretnej sytuacji, w której dany proces przebiega. Ktoś, kto ma skórę słonia, inaczej odczuje porażkę niż osoba z natury wrażliwa i do tego znajdująca się w stanie depresji, a ktoś właśnie dotknięty osobistą klęską inaczej niż ten, co wczoraj po długich staraniach niespodziewanie znalazł

dobrą pracę albo po miesiącach obawy o swoje zdrowie usłyszał od lekarzy, że nie jest poważnie chory.

Uzyskany rezultat, jak widać niepewny, miałby naturę psychiczną, więc w świetle teorii Tadeusza Kotarbińskiego wymagałby jako taki zredukowania do aktów zmysłowego poznawania zewnętrznych przedmiotów. Autor bowiem uważa, że „introspekcja sprowadza się do spostrzegania zmysłowego” oraz że „poznajemy siebie psychologicznie o tyle tylko, o ile zdołamy dobrze naśladować własne poznawanie czegoś poza nami” i że „tak samo jest z opisywaniem przebiegów innych ludzi”.

Geneza werdyktu, stanowiącego, że naśladowanie było udane, także ma naturę – przynajmniej częściowo – psychiczną. Interpretacja więc tego werdyktu polegałaby na wspomnianej redukcji. Wraz z nią zaś powróciłyby wymienione już kłopoty. Ale skoro wszelkie akty poznawania są psychiczne, również wówczas, gdy dają się zredukować do poznawania zmysłowego, polegającego na oddziaływaniu fizycznego bodźca na odpowiedni organ zmysłowy, przeto i po dokonaniu tej redukcji okazałaby się potrzebna kolejna redukcja przeżycia psychicznego do zmysłowego itd. Czy miałyby się to ciągnąć *ad infinitum*?

Pierwsza zatem z wątpliwości, które we mnie obudził przytoczony fragment artykułu Tadeusza Kotarbińskiego, dotyczyła kwestii, czy możemy naśladować cudze przeżycia psychiczne, czy tylko ich zewnętrzne przejawy. Z tamtą pierwszą wątpliwością wiąże się druga, pokrewna: czy potrafimy naśladować procesy neurologiczne zachodzące w innym organizmie, które Tadeusz Kotarbiński nazywa „przebiegami w nerwach”, czy też musimy poprzestać na naśladowczym wywoływaniu warunków zewnętrznych, mianowicie bodźców fizycznych, zmysłowych, które na ogół w organizmach pod określonymi względami podobnych do naszego wywołują reakcje w postaci analogicznych procesów nerwowych. Brak mi wiedzy fachowej w zakresie neurofizjologii, żeby móc odpowiedzieć na te pytania, a wiedza ta wydaje się konieczna do wyjaśnienia, na czym polegają wspomniane procesy nerwowe. Jako laik, wyobrażam sobie, że mają coś wspólnego ze zmianami potencjału elektrycznego tkanek nerwowych, które są zaangażowane w danym procesie. Jeślibym się nie mylił, to uczyniłbym krok jeszcze i wyraził przypuszczenie, że my sami bezpośrednio nie doprowadzamy tej a tej tkanki do powstania w niej takiego a takiego poziomu potencjału elektrycznego. Z konieczności obieramy drogę pośrednią: stajemy się sprawcami pewnych czynów, zakładając, że zachodzi określony związek przyczynowo-skutkowy między powstaniem sytuacji bodźcowej, w której jedne rzeczy tak a tak się mają w stosunku do drugich, a tym, iż te a te tkanki nerwowe osobnika zdolnego do doznawania uzyskują taki a taki potencjał elektryczny. Zapewne także i ten związek nie jest jedno-jednoznaczny, lecz statystyczny. Ale to dopiero podłoże, na którym powstają zdarzenia psychiczne.

Po kilku latach, w podręczniku *Elementy*, Tadeusz Kotarbiński powtórzył swoje uwagi na temat interpretacji zdań psychologicznych, a następnie podtrzymał je w drugim wydaniu tej książki. Potwierdza to poniższy urywek.

Zarówno fizyka, jak psychologia badają ciała [...]; psychologia ogranicza się do pewnych jedynie ciał, mianowicie do organizmów czujących [...]. Psychologia opisuje, jak czują badane przez nią organizmy.

Nic [...] nie staje temu na przeszkodzie, by jednostkowe zdania psychologiczne wtłoczyć w jednaki zawsze schemat [...]: „*A* doznaje tego oto: *B*”, [np.] „Jan doznaje tego oto: złocisty krąg” [...], „Jan doznaje tego oto: niechaj chleb stanieje” [...]. Mógłby kto sobie pomyśleć, że za pomocą [...] symbolu [tego oto] wskazuje się [...] desygnat następującej po nim nazwy. Bynajmniej. Że tak nie jest, widać choćby stąd, że nazwa po tym łączniku czasem tylko występuje, kiedy indziej bywa tu zdanie lub zwrot wykrzyknikowy [...] naprawdę przy pomocy tego łącznika daje się do zrozumienia, że mówiący będzie sam jakoś doznawał, wzorując się na tym, jak doznawał Jan, i że zwrot, który wypowie, będzie wypowiedzią tego doznania (ściślej: wypowiedzią doznającego tak, jako takiego). Całość jednostkowego zdania psychologicznego [...] składa się tedy z dwóch części: pierwszej, zapowiadawczej, i drugiej, wykonawczej. Pierwszą stanowi powiedzenie „*A* doznaje tego oto” druga stanowi samo *B*. O tym, czego kto doznaje, ktoś inny może się dowiedzieć tylko w ten sposób, że postara się czuć naśladowczo tak, jak ów ktoś czuł, kierując się jego wypowiedziami lub w ogóle poruszeniami, przy których pomocy tamten daje wyraz temu, co się z nim dzieje.

Piotr nie może postrzegać, jak Jan czuje. Jan jednak może postrzegać, jak on sam czuje [...]. Postrzega [...] introspekcyjnie, czyli doznając tego a tego, zauważa jednocześnie [...], że tego a tego doznaje [...]. Postrzeganie introspekcyjne jest krańcowym przypadkiem dowiadywania się o własnych doznaniach przez przypominanie sobie, który to sposób dowiadywania się o doznaniach stanowi postać pośrednią między [...] domyślaniem się cudzych doznań wedle wypowiedzi lub ruchów a postrzeganiem introspekcyjnym własnych stanów obecnych (ściślej może: tylko co właśnie minionych): przypominanie sobie własnych doznań minionych jest tutaj czymś pośrednim zarówno pod względem bliskości kontaktu obserwatora z tym, co obserwowane, jak też pod względem stopnia uzasadnienia tego, co stwierdza się na tych drogach [...]. Ponętą wydaje się myśl o imitacyjnym charakterze poznawania psychologicznego. Cudze doznania (ściślej: że ktoś inny doznawał...) poznajemy sposobem imitacji. Własne doznania (ściślej: że my sami doznawaliśmy...) obserwujemy drogą autoimitacji, naśladownictwa. Po trzecie skonstatujemy, że wszelkie zdanie jednostkowe psychologiczne, introspekcyjnie uzasadnione, da się wtłoczyć w schemat: „*A* doznają tak a tak tego oto: *B*” [...]. Jeżeli tak, to cała różnorodność danych introspekcyjnych daje się wypowiedzieć w terminach, w których wypowiadamy dane nieintrospekcyjne (gdyż z takich wyłączeń składa się *B*), czyli w których opisujemy postrzegalne zmysłowo otoczenie – plus jedynie terminy „*a*”, „doznają” [...], „tego oto” (rozważonym powyżej znaczeniu) [...]. Wszystko, czym [...] wzajem różnią się opisy zdań introspekcyjnych sprowadza się do różnic w *B*, czyli w tym, co może nie zawierać żadnych terminów specyficznie psychologicznych [...]. Taki sam jest rezultat [...] analizy [...] wszelkich jednostkowych zdań psychologicznych, choćby nie introspekcyjnych, lecz otrzymanych na drodze imitacji doznań cudzych lub autoimitacji pamięciowej doznań własnych [...]. Niepodobna uznać, jakoby drogą introspekcji postrzegało się elementy treści (barwy, tony, uciski etc.) w przeciwieństwie do postrzegania ciał drogą zmysłową [...]. Natomiast, że rzeczy są barwne, twarde, dźwięczne etc., postrzegamy zmysłowo, tak iż terminy „barwny”, „twardy” itd. [można uznać] za wzięte z wypowiedzi postrzegania zmysłowego, a mieszczą się

one też i w wypowiedziach introspekcyjnych [...]. Z naszego stanowiska niepodobna twierdzić, iż np. barwy, tony, uciski, wonie, smaki stanowią treści doświadczenia zewnętrznego, a smutki, radości, bóle, dreszcze, mdłości, apetyty, obawy – treści doświadczenia wewnętrznego (introspekcji). Znaczenie ostatniej grupy terminów przyswajamy sobie również w drodze doświadczenia nieintrospekcyjnego. „Ćmi”, „Mdło” itp. wypowiedzi w najrdzenniejszym użyciu nie są introspekcyjne [...]. Z punktu widzenia podziału danych doświadczenia na introspekcyjne i inne – nie jest to [...] rozstrzygająca okoliczność. Wszak dane, otrzymywane za pośrednictwem zmysłu stawowego lub zmysłu mięśniowego [...] będziemy traktowali na równi z danymi, otrzymywanymi za pomocą zmysłu wzroku, słuchu lub dotyku! [...] „Mdło!” jest wypowiedzią postrzeżenia dostarczonego przez narządy zmysłu ustrojowego. Ściślej, winno by ono brzmieć [...] „To mdli”, gdzie zaimek wskazujący oznaczałby pewien obszar organów trawienia [...]. Zaliczaniu takich wypowiedzi do nieintrospekcyjnych sprzeciwi się niejedyn przez nieporozumienie [...]. Powiedzenie „Mdło!” znaczy bardzo często tyle, co „Ja doznaję mdłości”. Otóż takie powiedzenia są już introspekcyjne, gdyż dają się wtłoczyć w schemat [...] „Ja doznaję tego oto: mdło!”. (Kotarbiński, 1961, s. 406–410)

Jak widać, Autor do swych poprzednich uwag dodał nowe, co wpłynęło na umocnienie jego pierwotnego stanowiska. Pragnę się zatrzymać przy kilku z nich, ponieważ nie trafia mi do przekonania albo interpretacja jednostkowych zdań psychologicznych, albo jej uzasadnienie, które się w uwagach tych proponuje, albo jedno i drugie.

Zacznijmy od komentowania koncepcji imitacjonistycznego interpretowania zdań psychologicznych. W odróżnieniu od opinii Tadeusza Kotarbińskiego myśl o imitacyjnym charakterze poznawania psychologicznego nie wydaje mi się ponętna. Mam bowiem wątpliwości, czy cudze doznania, ściślej: że ktoś inny doznawał, czego i jak doznawał, poznajemy sposobem imitacji. Chyba że Autor miał na myśli następujący proces: drogą autointrospekcji identyfikuję własne doznania psychiczne w określonej sytuacji i następnie przez analogię przypisuję je innej osobie. Ale ściśłe mówiąc, nie byłaby to imitacja. I co więcej, wydaje się, że tego rodzaju poznawanie, co i jak czuje inna istota doznająca, nie zawsze jest możliwe. Weźmy bowiem pod uwagę np. przeżycia psychiczne dwóch mężczyzn, którzy się różnią poglądami estetycznymi w sprawie urody kobiet. Jeden powtórzyłby z przekonaniem słowa góralskiej przyśpiewki: „Tako mi się podoba, co syrokie krzize mo, a nie takie fifidło, co mo zadek jak sydło”. Takie też upodobania skłonny by był przypisywać innym mężczyznom. Tymczasem drugi gustuje w pannach smukłych i długonogich, jak się to mówi „z nogami do samej ziemi”. I poprośmy każdego z nich, by doznania drugiego poznał drogą imitacji, a przy tym obstawajmy przy tym, że imitowanie nie może polegać na odwróceniu cudzych przeżyć psychicznych na drugą stronę, podszewką na wierzch, i dopiero wtedy, po przeniecowaniu, na ich naśladowczym przeżywaniu. Niech więc amator smukłych i długonogich nie pozwala sobie na wybieg: będę w myśli rekonstruował to, co ja przeżywam, wyobrażając sobie swój ideał urody, a na koniec powiem: no to tamten czuje tak samo na widok zbudowanej według jego marzeń: „biodrzastej” i „piersiastej”, pod którą, gdy usiądzie, „ławy dubeltowe

jękną”. Jeszcze trudniejsze zadanie miałby do wykonania osobnik heteroseksualny, który usiłuje poznać procesy psychiczne dwóch gejów lub dwóch lesbijek albo uświadomić sobie wzajemne uczucia geja i lesbijki. W innej sferze: w jaki sposób Sancho Pansa miałby, postępując w taki sposób, poznać przeżycia psychiczne Doktora Fausta? To jeszcze trudniejsze niż redaktorowi z *Wesela* przeniknąć do duszy mieszkańca „wsi spokojnej, wsi wesołej”.

Nie mniej wątpliwości mam co do tego, czy własne doznania (ściślej: że, jak i co my sami doznawaliśmy...) obserwujemy drogą autoimitacji, a więc naśladowania samego siebie. Czyżby zatem procedura w tym wypadku miała polegać na tym, że, po pierwsze, zdając sobie sprawę z tego, co czuję, by następnie, naśladowując siebie samego, poczuć to powtórnie. Przychodzi mi na myśl osobiste doświadczenie. Podczas Powstania Warszawskiego miałem nocną wartę na dachu budynku ówczesnej Poczty Głównej na pl. Napoleona, dziś pl. Powstańców Warszawy; w tym miejscu wznosi się obecnie budynek Narodowego Banku Polskiego. W czasie nalotów lotniczych było się widzem i słuchaczem niezapomnianego spektaklu w rodzaju „światło i dźwięk”. Z łatwością odtwarzam w pamięci to wspaniałe i groźne widowisko. Ale daremnie usiłuję we wspomnieniu odtworzyć i obecnie przeżyć ponownie ówczesne uczucia strachu i chęci ucieczki, które mnie ogarniały, gdy tak stałem na całkowicie odsłoniętej płycie, oświetlony jak w dzień blaskiem flar wiszących w powietrzu. Imitować ówczesnego strachu nie umiem nie tylko teraz, ale nie potrafiłem nawet i wtedy, bezpośrednio po nalocie, z chwilą gdy tylko ucichły odgłosy wybuchów i salw. Po prostu przedstawiałem się bać, choć oczywiście pamiętałem i pamiętam, jak się wtedy bałem. Natomiast odtworzone przeżycia wzrokowe i słuchowe powracają jak na zawołanie do dzisiaj, choć minęło już przeszło siedemdziesiąt lat. Przykłady, które podałem, wskazują, jak myślę, że teoria zwana „imitacjonizmem” nie w każdym wypadku nadaje się do wyjaśniania procesów psychicznych.

Tadeusz Kotarbiński wspomina, że odróżnia się dwa rodzaje opisów: jeden taki, kiedy się mówi o rzeczy opisywanej i orzeka, że jest taka a taka; drugi zaś taki, że się naśladuje coś lub kogoś, np. miną, gestem, udawaną mową. Obserwacja ta nasunęła Autorowi wniosek, iż gdy się przejmie czyjeś gesty, pozna się też i wzruszenia tak a tak gestykulującego. Może się w tym poglądzie odzywać reminiscencja rady *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen*. Powtarzała ją przy akompaniamencie pojęcia *Einfuehlung* niemiecka filozofia humanistyki z przełomu XIX i XX wieku. Już poprzednio wyraziłem swój pogląd w tej kwestii, oparty na przeświadczeniu, iż naśladowaniu podlegają jedynie zachowania, a nie przeżycia psychiczne. Dotychczas rozważałem tę ostatnią kwestię. Obecnie zajmę się sprawą rodzajów opisów.

Należy zwrócić uwagę na to, że proponując rozróżnić opisy ze względu na narzędzia, za pomocą których się coś opisuje, Tadeusz Kotarbiński za każdym razem pozostaje przy mowie, podaje przykłady sformułowań językowych. Tymczasem naśladowanie za pomocą gestów albo mimiki nie polega na ich opisywaniu słowami: musimy sięgnąć do semiotycznego systemu gestów, kiedy indziej mimiki. Mim, który opisuje coś gestami, milczy, z jego ust nie pada ani jedno

słowo. Podczas zabawy „ojciec Wirgiliusz uczył dzieci swoje, a miał ich wszystkich sto czterdzieści troje” przedszkolanka po słowach „róbcie to, co i ja” po-przestaje na gestach, nie uzupełnia ich opowiadaniem o tym, co właśnie pokazała. Natomiast gdy trwamy przy opisywaniu słowami, może się wprawdzie zmieniać przedmiot opisu: raz przeżycia psychiczne, innym razem procesy fizyczne, np. gesty, miny, tzw. „język ciała”, lub zdarzenia bądź stany fizjologiczne, np. taka a taka sekrecja tego a tego gruczołu, ale ich opis pozostaje językowy. W konsekwencji sformułowanie „A doznaje tego oto: B” nie przestaje, jak sądzę, być schematem sformułowania wyłącznie językowego, niezależnie od tego, czy B odnosi się do postrzeżenia wzrokowego, słuchowego, dotykowego itd. Całość złożona z części zapowiadawczej i wykonawczej: „A doznaje tego oto: B” jest schematem zdania w *oratio recta*, mowie niezależnej, sformułowanie zaś „A czuje, że B” – schematem zdania w *oratio obliqua*, mowie zależnej, a zatem pozostają w mocy wszelkie tego konsekwencje. Wśród nich ta, że korelatem semantycznym B – w przykładzie podanym przez Tadeusza Kotarbińskiego – wyrażenia „złocisty krąg”, jest desygnat tego zwrotu, słońce, a nie przeżycia doznającego jako takiego, w tym wypadku spoglądającego na słońce, np. nie to, że go słońce razi albo oczy łzawią. Jeśli zaś wyrażenie „złocisty krąg” jest metaforą i ma stanowić skrót zdania w rodzaju „patrzy na złocisty krąg, (czyli słońce)” czy „widzi złocisty krąg (czyli słońce)”, to korelatem semantycznym słów „złocisty krąg” jest to, do czego się owo zdanie odnosi, a zatem – to, że a patrzy na / widzi słońce, według zaś językowych rygorów *Elementów*: a w chwili *t* patrzący na / widzący słońce jako taki. Nadal więc obowiązuje hierarchia: nazwa jest o jedno piętro wyżej niż nazywany nią przedmiot. Zachowana też zostaje drabina, której szczeblami są metajęzyk i odpowiadający mu język przedmiotowy. Gdyby po słownej części zapowiadawczej sformułowania występowała, jako jego część wykonawcza, czynność imitująca pewne zdarzenie, powstałaby, moim zdaniem, całość złożona w pierwszej połowie ze słów, a w drugiej z przedmiotów nie będących znakami językowymi, tak jak gdybym zbudował makaroniczną układankę w rodzaju „Pożyczę ci...” i zamiast kropek położył np. monetę pięcioczołową. W związku z tym, trudno mi uznać, że „Nic [...] nie staje temu na przeszkodzie, by jednostkowe zdania psychologiczne wtłoczyć w jednaki zawsze schemat [...]: «A doznaje tego oto: B», [np.] «Jan doznaje tego oto: złocisty krąg» [...], «Jan doznaje tego oto: niechaj chleb staniej»”, w którym „B” występuje na tym samym piętrze językowym co część zapowiadacza. Tymczasem moim zdaniem owo „B” powinno by występować w cudzysłowie wyróżniającym przytoczoną wypowiedź, a więc wyżej w postaci: „A doznaje tego oto: «B»”, „A doznaje tego oto: «niechaj chleb staniej»”. Przy tym zdanie „A doznaje tego oto: «złocisty krąg»” traktowałoby się jako skrót wypowiedzi: „A doznaje tego, czego na ogół doznałby ktoś, wygłosiwszy ze zrozumieniem zwrot języka polskiego «złocisty krąg» (jako oznaczający coś okrągłego i złocistego, a w przenośni – słońce)”.

Wydaje mi się też, że interpretując jednostkowe zdanie psychologiczne jako całość złożoną z dwóch części: pierwszej, zapowiadawczej, i drugiej, wykonaw-

czej, niekiedy przynajmniej komplikuje się sprawę i wprowadza element sztuczności. Wówczas bowiem np. zdanie „Smutno mi, Boże” – a chyba należy ono do najrdzenniejszych zdań psychologicznych, opartych na autointrospekcji – wymagałoby sprowadzenia do postaci „Podmiot liryczny przytoczonego zdania – być może sam Juliusz Słowacki – doznaje tego oto: skarżę się Bogu, że jest mi smutno”.

Nie przekonuje mnie też uzasadnienie twierdzenia, że *B*, wykonawcza część schematu, „*A* doznaje tego oto: *B*”, nie oznacza swego desygnatu. Ma o tym – zdaniem Autora – świadczyć fakt, iż niekiedy zamiast *B* występuje w tym miejscu zdanie lub zwrot wykrzyknikowy, co jakoby pozwala domniemywać, że mówiący sam będzie doznawał, wzorując się na doznaniach innej osoby.

Jak już wspomniałem, nie podzielałem poglądu, iż o czyichś doznaniach mogą się dowiedzieć – jak twierdzi Tadeusz Kotarbiński – tylko, powtarzam: tylko, w ten sposób, iż postaram się czuć naśladowczo tak, jak czuł ktoś inny. Przecież bynajmniej nie za pomocą naśladowania dowiaduję się chociażby np. o bólu, którego doznaje inna istota, zarówno inny człowiek, jak zwierzę. Niekiedy naśladowanie jest z goła niemożliwe: mężczyźni nigdy nie będzie dane przeżyć bólu rodzącej, człowiekowi, który nie doświadczył ataku kolkki nerkowej, specyficznego bólu w tej chorobie, człowiekowi – bólu zwierzęcia. Owszem, my się cudzego bólu domyślamy: patrząc na zachowanie i rozumując przez analogię, uświadamiamy sobie, że inna istota bólu doznaje. To dlatego, że dobrze wiemy, iż ją boli, ogarnia nas wstyd, gdy zadajemy cierpienie: nie tylko dzieci, gdy złapanemu owadowi wyrwyją skrzydełka lub nogi i rozgrzeszają się z okrucieństwa, zapewniając: „jego to nie boli”; także wędkarze oraz myśliwi ratują swoje przeżycia przyjemności obłudnym „ono tego nie czuje”. Tym wszystkim przydałaby się wychowawcza terapia odwykowo-imitacyjna metodą *verba docent, exempla trahunt*: niechby sami poczuli, jak to „jego nie boli”.

Opisy psychologiczne przeżyć podmiotu odróżniamy od fizjologicznych opisów tego, co się w nim dzieje, a te ostatnie od opisów fizycznych w inny jeszcze sposób. Oto każdy z nich posługuje się własnym aparatem pojęć, dostosowanym do badania przedmiotu poszczególnego opisu, a zatem, odpowiednio, pojęciami głównie, choć nie wyłącznie, psychologicznymi, albo pojęciami fizjologicznymi, albo wreszcie fizykalnymi.

Które terminy uznamy za swoiście psychologiczne? Moim zdaniem swoiście psychologiczne są m.in. takie, jak: „wesołość”, „żałość”, „smutek”, „rozczarowanie”, „niepokój”, „strach”, „odwaga”, „wstyd”, „tęsknota” i odpowiednie przymiotniki oraz czasowniki. Użyte dosłownie, odnoszą się do przeżyć i zjawisk psychicznych. Nie wymagają przekształcania na ujęcia przenośne. Czy na równi swoiście psychologiczne są takie wyrazy, jak „twardość”, „kruchość”, „zieloność”, oraz pokrewne im, odpowiednio, przymiotniki i czasowniki? Chyba nie. Te ostatnie, aby obsługiwały zjawiska psychiczne, trzeba poddać metaforyzacji: „twarde prawo”, „zielone wspomnienia”, „krucho uczucia”, „blade pojęcie”, „głęboki żal”, „czarna rozpacz”. Tymczasem tamte pierwsze, np. „wrażliwe dane osobowe”, są jak Piłat w credo, gdy je zmuszamy do występowania w przebraniu

metaforycznym; „wrażliwe” bowiem w znaczeniu dosłownym mogą być tylko istoty doznające.

W świetle tych przykładów nie bez oporu przyszedłoby mi przyjąć opinię Autora, że „niepodobna twierdzić, iż np. barwy, tony, uciski, wonie smaki stanowią treści doświadczenia zewnętrznego, a smutki, radości, bóle, dreszcze, mdłości, apetyty, obawy – treści doświadczenia wewnętrznego (introspekcji)” oraz że „«ćmi», «mdło» itp. wypowiedzi w najrdzenniejszym użyciu nie są introspekcyjne”. Zagadnienie podziału doświadczeń na zewnętrzne i wewnętrzne wymaga komentarza. Co jest podstawą tego podziału? O tym, że ten a ten owoc papryki jest czerwony, tamten pomarańczowy, a trzeci zielony, dowiaduję się, patrząc na nie. Przedmiot doświadczenia, oglądany owoc, stanowi bodziec drażniący organy zmysłowe obserwatora. Jeśli więc doświadczenia dzielić będziemy na zewnętrzne i wewnętrzne ze względu na umiejscowienie przedmiotu doświadczenia, to oglądanie czegoś uznamy za doświadczenie zewnętrzne. Natomiast odczuwanie przez Jana smutku czy mdłości zaliczymy do doświadczeń wewnętrznych, skoro w wypadku smutku przedmiotem jest własny stan psychiczny Jana powstały na skutek np. przypomnienia sobie przezeń jakiegoś swego przeżycia psychicznego, czyli sam przeżywający jako taki, a w wypadku mdłości podrażnienie narządów organizmu osobnika, który mdłości doznaje. Zarazem wszystkie trzy doświadczenia okażą się w tym sensie wewnętrzne, że równolegle w stosunku do przeżyć psychicznych przebiegają procesy fizjologiczne w organach osobnika, który czegoś doświadcza.

A jak podzielimy doświadczenia na zewnętrzne i wewnętrzne ze względu na treść każdego z nich? Lecz czymże jest owa treść doświadczenia? Czy jest nią „to, że tak a tak”? To, że ktoś doznaje wrażenia czerwoności, gdy patrzy na pomidor, albo innym razem to, że ktoś ma mdłości? W obu więc wypadkach to, że raz to, a innym razem tamto się z samym doznającym dzieje. Z nim samym, w środku. A więc z uwagi na swą treść oba by były wewnętrzne. O tym, że kogoś mdli podczas jazdy samochodem, bo cierpi na chorobę lokomocyjną, nie wie nikt, jeśli dotknięty tą dolegliwością nie ma torsji albo się nie poskarży, że odczuwa – doświadczenie wewnętrzne – mdłości. Ale analogicznie o tym, że obserwator-daltonista albo obserwator dotknięty dyschromatopsją, patrząc na czerwoną paprykę, nie doznaje wrażenia czerwieni, ktoś postronny dowie się tylko wtedy, gdy mu ów obserwator to powie albo w inny sposób zdradzi swoje wrażenia. Uważam, iż takie wypowiedzi jak: „mdło”, „nudzi mi się”, „przykro mi”, „mam wyrzuty sumienia”, romantyczne „tak mi na sercu nudno”, a obecne „mam doła” – są rdzennie introspekcyjne. I choć zgadzam się, że „terminy «barwny», «twardy» itd. [można uznać] za wzięte z wypowiedzi postrzegania zmysłowego, a mieszczą się one też i w wypowiedziach introspekcyjnych”, takich np., jak „ten samochód wydaje mi się czarny, a nie bardzo ciemno brązowy”, a także choć zgadzam się, że „dane, otrzymywane za pośrednictwem zmysłu stawowego lub zmysłu mięśniowego [...] będziemy traktowali na równi z danymi, otrzymywanymi za pomocą zmysłu wzroku, słuchu lub dotyku!” i że



„«mdło!» jest wypowiedzią postrzeżenia dostarczonego przez narządy zmysłu ustrojowego”, to jednak waham się, czy zamiast „mdło!”, winno być „To mdli”, gdzie zaimiek wskazujący oznaczałby pewien obszar organów trawienia. Po pierwsze, myślę, że wyraz „to” w zdaniu „to mdli” oznacza pokarm, napój lub woń, które wywołują mdłości, np. „Nie jedz tyle miodu, bo [to] cię zemdli” albo „Mdlący zapach”, a nie, że owo „to” odnosi się np. do przetyku podrażnionego jakimś jedzeniem lub piórkiem – jak w czasie uczyty w starożytnym Rzymie. Trudno by mi też było zaprzeczyć, iż „smutki, radości, bóle, dreszcze, mdłości, apetyty, obawy [są to] treści doświadczenia wewnętrznego (introspekcji)”, a jeszcze trudniej zgodzić się, że „«ćmi», «mdło» itp. wypowiedzi w najrzadzijszym użyciu nie są introspekcyjne”. Przypuszczam, że w rozstrzygnięciu tych kwestii mogłoby się okazać pomocne odróżnienie odczuć od ich przyczyn, genety i przejawów. Odczucia są podmiotowe, a zatem introspekcyjne, czyli bezpośrednio poznawalne za pomocą autointrospekcji. Ich przyczyny, genety i przejawy mają charakter ekstraspekcyjny, tzn. mogą stanowić przedmiot poznawalny dla istot różnych od doznającej w danym wypadku. Ponadto zwroty „wypowiedź introspekcyjna”, „wypowiedź ekstraspekcyjna” są typologiczne, więc też stopniowalne, a nie klasyfikacyjne. Stąd możliwość wystąpienia wypadków mieszanych. Dlatego jako zbyt radykalne odczuwam twierdzenie *Elementów*, że „niepodobna uznać, jakoby drogą introspekcji postrzegało się elementy treści (barwy, tony, uciski etc.)”, chyba że czasownik „postrzegać” zostanie zarezerwowany wyłącznie do postrzegania ciał drogą zmysłową. Oto stosując autointrospekcję, potrafię sobie wyobrazić wytwórczo, ale i odtwórczo, np. ciemność, jasność, czerwień, samą czerwień, a nie czerwony przedmiot jak: pomidor, mak, krew czy sztandar. Podobnie chyba umiałbym doświadczyć samej jakiejś woni lub samego smaku w izolacji od substancji, która je wydziela. Przez słowo „doświadczyć” rozumiem tutaj „wyobrazić sobie wytwórczo” lub „przypomnieć sobie”, a nie „postrzegać”: bynajmniej nie dopuszczam do siebie myśli, że smaki odseparowane od materialnych rzeczy mających taki a taki smak, i wonie odseparowane od materialnych rzeczy tak a tak wonnych unoszą się wokół mnie. Przyznaję, że trudniej by mi przyszło analogiczne doznanie powtórzyć w wypadku przeżyć akustycznych bądź dotykowych. Natomiast w pełni akceptuję kolejne twierdzenie, że „rzeczy są barwne, twarde, dźwięczne etc. [i że] postrzegamy [je] zmysłowo, tak iż terminy «barwny», «twardy» itd. [można uznać] za wzięte z wypowiedzi postrzegania zmysłowego, a mieszczą się one też i w wypowiedziach introspekcyjnych”. (Kotarbiński, 1961, s. 409)

Swoje poglądy na temat imitacyjnej interpretacji twierdzeń psychologii podtrzymał Tadeusz Kotarbiński w publikacji z roku 1949 (czyli o dwadzieścia lat późniejszej niż pierwsze wydanie *Elementów*), a nawet rozszerzył je, wzbogacił nowymi przykładami i przedstawił jako wynikające z reizmu-konkretyzmu-pansomatyizmu:

Ze stanowiska somatyizmu reistycznego, czyli konkretystycznego, próbuje się interpretować podstawowe tezy psychologiczne jako zdania o osobach tożsamych oczywiście z pewnymi obiektami fizycznymi. Byłyby to [...] zdania o strukturze

następującej: „*X* doznaje tak, jak następuje: *p*”. A oto [...] przykłady zdań psychologicznych: „Jan sądzi tak:  $2 \times 2 = 4$ ”, „Jan czuje tak: grają smutno”, „Jan wątpi tak: czy istnieją anioły?”, „Jan pragnie tak: bądź szczęśliwa”. Może zresztą nie byłoby zbyt śmiałe dalsze uogólnienie, przy którym na miejscu *p* miałyby figurować niekoniecznie zwrot zdaniowy oznajmujący, optatywny czy pytajny, lecz jakikolwiek zwrot wyrażający doznającego jakoś, jako takiego, np. zwrot wykrzyknikowy wyrażający zboleństwo, jako takiego. Mielibyśmy wówczas takie chociażby zdanie psychologiczne: „Jan doznaje tak: och!”. (Kotarbiński, 1949, s. 157)

Związek tego fragmentu z konkretyzmem ogranicza się do twierdzenia, że istoty doznające są tożsame z obiektami fizycznymi. Na temat przykładów interpretacji zdań psychologicznych gotów jestem powtórzyć swe poprzednie uwagi. Wydaje mi się więc, że komunikat zawarty w zdaniu „Jan wątpi tak: czy istnieją anioły” ma taką samą wartość informacyjną jak w zdaniu „Jan wątpi, czy istnieją anioły”. W wielu wypadkach sformułowanie, które proponuje Tadeusz Kotarbiński, ma tę zaletę, że nie jest strukturą intensjonalną. Oryginalność Jego interpretacji zdań psychologicznych pochodzącej z lat 1922 i 1929 polega na tym, że w tamtym czasie nie były znane ani rozróżnienia działów semiotyki – syntaktyka, semantyka, pragmatyka – dokonane przez Charlesa Morrisa i Rudolfa Carnapa, ani semantyczne poglądy Alfreda Tarskiego, który był słuchaczem Autora *Elementów*, czego ślady nie trudno wskazać.

## 5. POPRZEDNICZY REIZMU

### 5.1. Francis Bacon

Tadeusz Kotarbiński jako reista miał na kogo się powołać. I zapewne niektóre z idei wcześniejszych filozofów wpłynęły na powstanie reizmu semiotycznego i ontologicznego, czyli konkretyzmu, inaczej pansomatyzmu, oraz tych refleksji, jak realizm praktyczny, którymi kierował się twórca obu tych rodzajów reizmu, bądź – np. realizm radykalny – z reizmu wynikały na terenie teorii poznania i psychologii. Myśli niektórych poprzedników reizmu Kotarbiński przyswoił sobie na studiach filozoficznych: w lekturach i na wykładach. *Novum Organum* Francisa Bacona znał na wylot: już jako od lat kilkunastu profesor filozofii, w roku 1926, a więc przed pierwszym wydaniem *Elementów*, ogłosił obszerny artykuł *Myśl przewodnia metodologii Bacona*, w którym cytuje *Novum Organum* (Kotarbiński, 1957e), w roku 1932 następny artykuł *Program Bacona* (Kotarbiński, 1957f), *Novum Organum* zaś przełożył z łaciny na polski, a kiedy już było gotowe, utracił całe tłumaczenie i wstęp; rękopis w czterech jednakowych egzemplarzach, oryginalne i jego kopiach, przechowywanych w różnych domach warszawskich, spłonął doszczętnie w powstańczej pożodze 1944 roku. Nie wiem, czy pomysł reizmu zawdzięcza swe powstanie wpływowi myśli Bacona. Ale przecież nie tylko wpływy i zależności wiążą myśli różnych ludzi: także pokrewieństwo idei. A podobieństwo między Baconem pojęciami złudzeń, którym ulega nasz umysł, a Kotarbińskiego pojęciami semantycznymi jest uderzające.

Francis Bacon w *Novum Organum scientiarum sive indicia vera de interpretatione naturae* (Nowe Organum, czyli rzetelne wskazania na użytek tłumaczenia przyrody) wymienia cztery następujące *idola mentis*, czyli złudzenia (mamidła) umysłu: *idola fori*, *idola tribus*, *idola specus* oraz *idola theatri*. Uważa, że ułudy umysłu i błędne pojęcia utrudniają dostęp prawdzie i będą nas nękać, jeśli zawczasu nie dostrzeżemy niebezpieczeństwa i nie uzbroimy się przeciw niemu.

Miano „*idola fori*” – czyli dosłownie „złudzenia forum”, tj. złudzenia centralnego placu w starożytnym mieście, poprzednika rynku – Bacon nadał błędom i nieporozumieniom zrodzonym z niedostatków mowy ludzi niewykształconych, którą można usłyszeć na targowisku. Wskazywał, że w tej mowie wiele wyrazów, po pierwsze, nie odnosi się do żadnych rzeczy, ale do czegoś, co zgoła nie istnieje, lecz tylko jest wytworem zmyślenia, i w ten sposób owe wyrazy zamęt; albo po drugie, niektóre słowa zostały błędnie określone lub za pomocą pochopnego abstrahowania nietrafnie wywiedzione z rzeczywistości i wprawdzie odnoszą się do czegoś, co istnieje, ale nie do tego, do czego powinny się odnosić, więc sprowadzają nas na manowce. Trudno nie odnaleźć tu podobieństwa do pojęć występujących w *Elementach*: w pierwszym zbiorze – do pojęcia nazwy pustej, czyli bezprzedmiotowej, a w drugim – do pojęcia nazwy pozornej, czyli onomatoidu. Słownictwo, potoczne, ukute z myślą o powszednich celach, nie nadaje się – twierdził Bacon – do rozważań filozoficznych ani fizykalnych, a szerzej, naukowych, zwłaszcza w naukach przyrodniczych. Pojęć więc potocznej mowy, jak również sposobu myślenia prostych ludzi, nie darzył sympatią ani szacunkiem. I w tym miejscu lord kanclerz, baron Werulamu, wyjaśnia, dlaczego – a wyjaśnienie to przypomina „prawo Kopernika” – zły pieniądz wypiera z rynku dobre pieniądze – podobnie, gdy myśl bardziej wnikliwa, oparta na sumiennej obserwacji, zmierzając do adekwatnego przedstawienia rzeczywistości, zderzy się z mową pospółstwa, wówczas ulega słowom dostosowanym do jego wymagań i potrzeb właściwych gminnemu pojmowaniu. Zwracał też uwagę na to, że owe *idola fori*, które wylęgły się w mowie ludzi handlu, interesów oraz w potocznych rozmowach, następnie zakradły się do języka także innych osób, zapuściły korzenie również w ich myśleniu i sprawiają, że w filozofii i naukach bujnie się krzewi chwast sofizmu i stają się one bezsilne. Mężowie wykształceni usiłują więc je naprawiać. W tym celu toczą między sobą uczone dyskusje, które często odchodzą od meritum spraw i przeradzają się w spory na temat znaczenia wyrazów oraz kończą poszukiwaniem poprawnych definicji. Tymczasem mądrość matematyków i to, jak się nią kierują w swej praktyce, wskazują – sądzi Bacon – iż roztropniej by było zaczynać od definicyjnego ustalenia znaczeń słów i w ten sposób przywrócić porządek. Nawet jednak i definicja nie sprawi, że słowa będą się odnosiły wyłącznie do rzeczy materialnych. Sama bowiem definicja składa się ze słów. A te dają początek innym słowom, równie ułomnym. Powinno się więc naprawiać poszczególne indywidualne wypadki, zachowując właściwą kolejność i porządek przy tworzeniu pojęć i formułowaniu aksjomatów. Wprawdzie bowiem ludziom się wydaje, że to ich rozum rządzi słowami, ale dzieje się też na odwrót.

Kolejne pułapki zastawione na myślenie przez m.in. mowę to *idola tribus*, czyli złudzenia plemienne, właściwe nam wszystkim, całemu rodzajowi ludzkiemu, sposobowi funkcjonowania naszego umysłu i zmysłów. Są następstwem ograniczeń natury ludzkiej, trzeba więc je znosić, ale i bronić się przed nimi. Bacon wymienia np. naszą skłonność do dopatrywania się większej prawidłowości i regularności we wszechświecie niż faktyczna, do antropomorficznego ujmowania zdarzeń i zjawisk, do upatrywania w nich celowości, do żeglowania wśród abstrakcji oraz do nadmiernego kierowania się wyobraźnią, nadzieją i pragnieniami. „Rozumowi nie skrzydła trzeba przypinać, lecz ołowiu dodawać” – pisał. Skoro nasz aparat zmysłowy jest słaby, należy wspomagać go narzędziami i używać ich do eksperymentalnego badania zewnętrznych przejawów, jeżeli ich przyczyny natura przed nami ukryła, natomiast nie należy uciekać się do spekulacji metafizycznych.

Kolejny rodzaj złudzeń stanowią *idola specus*, czyli złudzenia [zamieszkałych w danej] jaskini, a więc złudzenia indywidualne, ulegają im poszczególni ludzie, oraz partykularne – spotykane w pewnych grupach bądź środowiskach. Powstają w następstwie osobistych skłonności lub dzięki zdolnościom, którymi się różnimy od siebie: np. do wydobywania podobieństw między odległymi rzeczami, zdarzeniami bądź zjawiskami albo, na odwrót – do dostrzegania subtelnych różnic między bardzo podobnymi przedmiotami. Innym źródłem tego rodzaju złudzeń są odmienne upodobania; niektóre z nich, tak zresztą jak niektóre z poprzednio wymienionych, powstają wskutek różniących się od siebie wpływów wychowawczych, którym każdy z nas podlega ze strony rodziców, otoczenia, kolegów i ogółu doświadczeń życiowych.

Do czwartego rodzaju złudzeń umysłu Bacon zalicza *idola theatri*, czyli złudzenia widowni. Do ich powstania przyczyniły się taka filozofia i te dyscypliny naukowe oraz systemy kultury, które upodobały sobie hipostazowanie, kreowanie fikcji, przenosię i personifikację. Mnóstwo „trup aktorskich”, złożonych z filozofów i uczonych, występuje niby na deskach teatralnych i w różnych „sztukach”, przewzanych mianami „filozofia” lub „nauka”, przedstawia fikcyjne postaci i zdarzenia. Na przykład fizyce arystotelesowskiej, czyli ogółowi naukowych rozważań o naturze, nie tylko fizykalnych, ale i biologicznych – twierdzi Bacon – szkodzi zarówno logika, jak nadmiar pojęć potocznych, niedostosowanych do zadań tak rozumianej fizyki. Znowu adeptów filozofii Platona najbardziej naraziły na błędy wpływ teologii i zalew przesądów oraz zabobonów.

Jak widać, poszczególne rodzaje złudzeń umysłu powstają – zdaniem Bacona – z różnych źródeł: lingwistycznych, komunikacyjnych, biologicznych, psychologicznych, socjologicznych, pedagogicznych i filozoficznych, ogółem więc – albo bezpośrednio, albo pośrednio – na skutek wad języka. W *Elementach* Tadeusza Kotarbińskiego można wskazać podobny stosunek do szkodliwego wpływu, jaki język niektórych systemów filozoficznych, teologicznych i kulturowych wywiera na nasze myślenie. *Novum Organum* wspomina o tym wpływie nie tylko w uwagach na temat *idola fori*, lecz także na temat *idola theatri*, reizm zaś – gdy analizuje i krytykuje idealistyczne kierunki w obrębie teorii poznania,

a realizm radykalny w swej polemice z realizmem naiwnym i realizmem krytycznym. Obaj autorzy opierają swą krytykę na spostrzeżeniach dotyczących związku językowej strony poglądów, z którymi polemizują, z ich merytorycznymi wadami. Obierają więc drogi podobne pod względem metodologicznym.

## 5.2. René Descartes

*Elementy* niejednokrotnie upominają się o jasność i wyraźność wypowiedzi. Mają w tym poprzednika, którym był René Descartes.

W *Rozprawie o metodzie* Kartezjusz formułuje [...] cztery wskazania, podając je jako reguły, których sam starał się przestrzegać.

Pierwszą z nich było nie przyjmować za prawdziwe nic, czego bym nie poznał w sposób oczywisty jako będącego takim; innymi słowy, unikać starannie zapędzania się i uprzedzeń, a dalej: włączać do zasobu mych sądów tylko to, co się przedstawi memu umysłowi tak jasno i wyraźnie, że nie będę miał żadnego powodu do powątpiewania o tym [...].

Zauważymy, że [...] pierwsza [reguła] zawiera [...] niezmiernie ważną deklarację na temat [...] oczywistości, owego „jasno i wyraźnie”. Dwie tu chyba zespoliły się myśli kierownicze: jedna, by się starać o posiadanie przedstawień, w których by się sobie jasno i wyraźnie uprzytamniało przedmiot uprzytomniony, druga, by uznawać za prawdę tylko twierdzenia oczywiste [...]. Od tej chwili logiczna teoria definicji zacznie się tu i ówdzie odwoływać do postulatu jasnego i wyraźnego rozumienia pojęć czy też terminów [...]. (Kotarbiński, 1957d, s. 80)

W tym jednym, w postulacie jasności i wyraźności, Descartes był poprzednikiem *Elementów*. Nie jest nim natomiast, gdy – daleki od sensualizmu – żąda oczywistości, ale nie zmysłowej, lecz oczywistości intuicji.

## 5.3. Gottfried Wilhelm Leibniz

O wiele bliższy tradycji *Elementów* był Gottfried Wilhelm Leibniz, który „pogłębił odziedziczone po kartezjanizmie koncepcje «pojęcia jasnego» i «pojęcia wyraźnego»”.

Niejasne jest pojęcie, które nie wystarcza do rozpoznania rzeczy przedstawionej; jasne – gdy mam po czym rozpoznać rzecz przedstawioną. Mętne jest pojęcie, gdy nie mogę (a wyraźne – gdy mogę) z osobna wyliczyć cech niezbędnych do odróżnienia rzeczy od innych, chociaż ta rzecz naprawdę posiada takie cechy [...], na które jej pojęcie może być rozłożone (a takie wyliczenie to jest definicja słowna) [...]. Poznanie jest adekwatne, gdy to wszystko, co wchodzi w skład znajomości wyraźnej, z kolei jest znane w sposób wyraźny, czyli gdy analiza została doprowadzona do końca [...]. Gdy zaś [...], można pomyśleć naraz wszystkie znamiona składowe [...], to takie poznanie nazywamy intuicyjnym. (Kotarbiński, 1957d, s. 97)

Niby wyjęte z *Elementów* Tadeusza Kotarbińskiego lub z rozprawy *Humanistyka bez hipostaz* wydają się następujące słowa Leibniza:

To raczej konkret, jak np. ktoś uczony, coś ciepłego, coś lśniącego, przychodzi nam na myśl, a nie abstrakcje, czyli cechy [...], jak np. wiedza, ciepło, światło etc., znacznie trudniejsze do zrozumienia. Można by powątpiewać, czy te przypadłości są naprawdę bytami, wszak częstokroć są to zaiste tylko stosunki. Wiadomo również, że to właśnie abstrakcje sprawiają najwięcej trudności w roztrząsaniach. Dobrze sobie z tego zdają sprawę znawcy zawiloci scholastycznych: wszak najkłopotliwsze z nich znikają natychmiast, jeśli się decydujemy wyrugować byty abstrakcyjne i przyjęc sposób mówienia wyłącznie przy pomocy konkretów, nie dopuszczając innych terminów w dowodzeniach naukowych, jak tylko te, które reprezentują przedmioty substancjalne. (za: Kotarbiński, 1979a, 166)

Głos ten brzmi tym donośniej, że Leibniz był nie tylko filozofem, ale i logikiem oraz matematykiem. Jako matematyk zajmował się głównie arytmetyką i algebrą i przemyślał nad skonstruowaniem rachunku różniczkowego, jako logik dedukcji stworzył wiele wzorów rachunku zdań, a jako filozof wstępnie projektował język formalny, *characteristica universalis*, w którym poszczególnym symbolom miały być przyporządkowane cechy proste, a więc abstrakty bądź ich kombinacje, również abstrakcyjne, utworzone z owych symboli oraz znaków działań arytmetycznych. Zdania tego języka, zbudowane w ten sposób, miały się stać członami rachunkowych rozumowań, *calculus ratiocinator*, służących m.in. do formalnego rozstrzygnięcia kwestii spornych. Zamierzał posługiwanie się chwytami erystycznymi zastąpić wezwaniem „porachujmy, aby się zgodzić co do tego, jak ma być”. Wymowne jest zestawienie: z jednej strony twórczości Leibniza jako posługującej się myśleniem formalnym – z drugiej zaś jego wezwania do tego, by abstrakcje zastąpić konkretami.

#### 5.4. Franz Brentano

Powyższy urywek zaczerpnięty z *Nouveaux essais sur l'entendement humain* Leibniza przytoczył Franz Brentano, który w późniejszym okresie swej twórczości filozoficznej i psychologicznej dostrzegł w tych zdaniach zapatrywanie bliskie własnemu. Porzucił był już wtedy stan duchowny, a następnie zrezygnował z wykładów uniwersyteckich w Würzburgu, potem zaś w Wiedniu i poświęcił się pisaniu, a pod koniec życia, straciwszy wzrok – dyktowaniu swych myśli. Wcześniej, za czasów wykładów wiedeńskich autora *Psychologie vom empirischen Standpunkt*, jego uczniami byli m.in. Twardowski, Husserl i Meinong.

Kiedy Tadeusz Kotarbiński poznał poglądy Brentana, a zwłaszcza jego zapatrywania reistyczne? W tej sprawie można znaleźć dwa niezgodne zapiski Autora *Elementów*. W pierwszym z nich, pochodzącym z roku 1930, wspomina:

Dawniej już – dokładnie nie pamiętam kiedy – zwracał mi uwagę prof. Twardowski na podobieństwo moich poglądów do tych, które głosił Franz Brentano w późniejszych latach swego życia. Ostatnio zaś, po wygłoszeniu na zjeździe oks-

fordzkim referatu o realizmie radykalnym (por. „Przegląd Filozoficzny” 1930, z. 4), który jest właściwie poszczególnym przypadkiem reizmu („Žaden przedmiot nie jest układem elementów treści”), otrzymałem list od dra Katkowa, zwanego pismem tego myśliciela, z ponownym podkreśleniem tego podobieństwa. Brentano (16 I 1838 – 17 III 1917), bodajże pod wpływem Leibniza, przynajmniej od roku 1911 zaczął wypowiadać i powtarzać tezy, które pozwalają go uznać za inicjatora reizmu przynajmniej w bieżącym stuleciu. Wiele wprawdzie w jego wypowiedziach pozostaje dla mnie zagadkowości, osobliwie co do szczegółów interpretacji podstawowego terminu „rzecz” (‘Ding’) i jego równoznacznika „coś realnego” (‘Reales’). Jest też różnica w stanowisku, z którego się prowadzi dociekania. Brentano mianowicie pyta przede wszystkim nie: jakie jedynie przedmioty istnieją, lecz: jakie jedynie przedmioty mogą być pomyślane, choć schodzi często w wypowiedziach (czy nie z pozoru tylko?) na teren tego pierwszego zagadnienia. Podobieństwo jednak między doktryną Franciszka Brenno a poglądami rozwijanymi w *Elementach* i w niniejszym artykule są głębokie i biją w oczy. Naukę mistrza w ostatniej fazie podjął był podobno, ale częściowo tylko, nieżyjący już obecnie najwierniejszy jego przyjaciel Antoni Marty. Natomiast zaopiekował się tą nową doktryną w całości z wnikliwością i entuzjazmem prof. Oskar Kraus, też jego uczeń bezpośredni. Do znawców i zelantów tego prądu należy też wspomniany Jerzy Katkow. (Kotarbiński, 1993d, s. 135–136)

Wypowiedź ta została zapisana za świeższej pamięci niż poniższa, pochodząca z roku 1967, a więc późniejsza o trzydzieści siedem lat:

Termin „reista” przyszedł na świat podczas kształtowania się [...] podręcznika *Elementy*, wydanego po raz pierwszy w r. 1929 [...]. Pisząc wówczas [...] nie zdawałem sobie sprawy, że reizm [...] został w całej swojej istocie i rozciągłości zaprojektowany i sformułowany nieco wcześniej przez Franciszka Brentano, mianowicie w dodatkach do uzupełnienia jego głównego dzieła *Psychologie vom empirischen Standpunkt*. To uzupełnienia zatytułowane *Klassifikation der psychischen Phänomene* ukazało się drukiem w r. 1911 wraz z owymi dodatkami. A w roku 1924 (tom pierwszy) i 1925 (tom drugi), już po śmierci autora, wyszło drugie wydanie całości dzieła, wzbogacone nowymi dodatkami w postaci zbioru tekstów, które on dyktował, wzrok utraciwszy, w latach 1915–1917.

Jakże się to mogło stać, że pisząc swoje *Elementy*, nie wiedziałem nic o tych roztrząsaniach Brentana? Byłem wszak uczniem uniwersyteckim profesora Kazimierza Twardowskiego, ucznia uniwersyteckiego Brentana [...]. Oto Brentano [...] dokonał na starość rewolucyjnego przewrotu własnej koncepcji generalnej. Miał tedy dwie kategorie kontynuatorów: takich, którzy ciągnęli dalej typologie i analizę struktury tak zwanych bytów intencjonalnych, przedmiotów nienamacalnych, tylko myślanych, i takich, co nawrócili się na wiarę w rzeczy jako jedyne przedmioty istniejące (przy podstawowym sensie słowa „istnieć”), a zarazem jedyne przedmioty, o których można sobie w ogóle coś pomyśleć. Do drugiej gromadki brentanistów należał np. Oskar Kraus [...]. Pierwszą grupę stanowili Meinong, Husserl i wielu innych, a pośród nich Twardowski, którego zwłaszcza rozprawa *O czynnościach i wytworach* świadczy, że do późnych lat swego życia, i stale, w kontrowersjach logiczno-ontologicznych zajmował stanowisko niereistyczne.

Inny jeszcze взгляд sprawił, że nie trafiłem w swoich lekturach – wyjaśnia Kotarbiński – na reistyczne pisma sędziwego Brentana. Oto w owym okresie mało się interesowałem naukową psychologią, bardziej oddając się studiom formalnologicznym, a logika formalna żeglowała wtedy – i żegluję nadal – pod hasłem antypsychologizmu. Komuż tedy z uczestników tego prądu przychodziło na myśl szukać pouczeń w uzupełnieniach traktatu psychologicznego autora osławionego jako wyznawca poglądu, że podstawową dla całej wiedzy filozoficznej – z logiką włącznie – dyscypliną jest właśnie psychologia? [...]. Dopiero po ukazaniu się *Elementów* dostałem list od profesora Twardowskiego, który mi zwrócił uwagę, że mój reizm zawiera się w owych wspomnianych wyżej uzupełnieniach i dodatkach do Brentanowej *Psychologii*. Ale i sam Brentano nie był pierwszym reistą i zdawał sobie z tego sprawę, bo powoływał się w tej mierze na Leibniza [...]. (Kotarbiński, 1979a, s. 164–166)

Na marginesie powyższych uwag Tadeusza Kotarbińskiego pragnę w jednym punkcie wyrazić pogląd odmienny. Otóż mój umiarkowany reizm, choć – tak jak Autora *Elementów* – skłania mnie do wiary, iż rzeczy są „jedynymi przedmiotami istniejącymi (przy podstawowym sensie słowa «istnieć»)”, jednakże powstrzymuje mnie od zgody na to, że są to „zarazem jedyne przedmioty, o których można sobie w ogóle coś pomyśleć”; zabrania mi tylko sądzić, że przedmioty nie będące rzeczami istnieją. Natomiast pozwala mi myśleć sobie o takich nierzezcach, choćby o postaciach z kart dzieł fikcji literackiej, nie sądzić z przekonaniem jako o materialnych bytach z krwi i kości, lecz właśnie myśleć z dodatkiem „sobie”, że choć nie istnieją, „są” jednak takie a takie, przy czym owo „«są» takie a takie” jest sformułowaniem zastępczym, przenośnym, często skrótowym, odnoszącym się faktycznie do kogoś, kto tak a tak myśli o podobnych nierzezcach. Być może jest to różnica akcentu, tak jak jest nią niewątpliwie w innym wypadku: roli i doniosłości psychologii jako sojuszniczki filozofii, z logiką włącznie. Skoro minęła moda na radykalizm antypsychologiczny w logice, nadarza się okazja do uznania zasług psychologii – także w dziedzinie, do której wstęp był jej przez dziesięciolecia wzbroniony. Ale wróćmy do Brentana.

Autor ten w 1917 roku napisał:

Wszystko, co odnosi się do czegoś psychicznie, odnosi się do rzeczy.

Rzeczy, do których odnosimy się psychicznie, w wielu wypadkach nie ma. Zwykło się jednak mówić, że one są i wtedy jako objekty. Ale to niewłaściwy sposób użycia słowa „być” [...].

W zastosowaniu do psychicznej działalności sądenia słyszy się nie tylko o obiekcie, lecz także o treści sądu. Ilekroć sądzę tak: „nie ma żadnego centaura”, to utrzymywano, że obiektem jest centaur, ale że treścią sądu jest to, że nie ma żadnego centaura, albo też niebycie centaura [...].

Nigdy się sobie treści w tym sensie nie przedstawia, iżby miała ona być obiektem przedstawienia.

Raczej przedstawia się sobie zawsze tylko kogoś wydającego dany sąd i sądzi się, że przedstawiając go sobie, przedstawia się sobie sądzącego trafnie.



Na dobrą sprawę wyrażamy się przeto niezupełnie poprawnie, mówiąc, że zaprzeczamy temu, jakoby treść danego sądu istniała. Powinni byśmy raczej powiedzieć, że zaprzeczamy, by istniało coś, czego byłoby nazwą słowo „treść”, podobnie jak się rzecz ma ze słowami w rodzaju „od” lub „ale”, które same z osobna nie mają znaczenia, nie są nazwami żadnej rzeczy [...], nie istnieje żadna taka rzecz, której nazwą byłby przyimek „od” albo spójnik „ale”<sup>14</sup>. (za: Kotarbiński, 1979a, s. 166–169)

W innej pracy Brentana czytamy:

Obstajemy więc przy tym, co następuje:

Nigdy nic innego, oprócz rzeczy, które podpadają pod wspólne pojęcie tego, co realne, nie może stanowić obiektu psychicznego odnoszenia się do czegoś. Nic z tego, co niżej, nie może w żadnych warunkach [...] być czymś, do czego odnosiłoby się psychicznie jako do przedmiotu: ani teraźniejszość, przeszłość czy przyszłość [...] ani istnienie lub nieistnienie [...], ani konieczność, możliwość czy też niemożliwość, [...] ani prawda lub fałsz [...], ani dobro lub zło [...], ani tak zwany „byt aktualny” lub „forma”, o których mówi Arystoteles i którym zwykle odpowiadają w języku abstrakty, jak np. czerwień, postać, natura człowieka itp.

Każdy [...] wykryje, że się wtedy zawsze ma za przedmioty rzeczy, i co więcej – że dla każdego zdania, które z pozoru ma coś z tego, co wyżej wyliczone, jako podmiot lub orzecznik, zawsze można utworzyć zdanie z nim równoważne, gdzie na miejscu podmiotu lub orzecznika jest coś realnego. Leibniz to już stwierdził, zwłaszcza w odniesieniu do wyrażen zwanych „*nomina abstracta*”.

Nie stoi temu na przeszkodzie, iż w wielu wypadkach fikcja, jakobyśmy mieli w charakterze obiektu coś innego niż coś realnego [...] okazuje się nieszkodliwą przy operacjach logicznych, i co więcej, może je ułatwić z racji uproszczenia wypowiedzi lub samego myślenia: podobnie matematyk posiłkuje się zwykle z pożytkiem fikcjami liczb mniejszych od zera. [...]

Czy pojęcia, przedstawienia [...], sądy [...], fantazmaty [...], wnioski [...], plany [...], nadzieje [...] itd. są we właściwym tego słowa sensie, kiedy się zgodnie z prawdą mówi, że jest takie a takie pojęcie, przedstawienie, sąd [...]. Czy jest we właściwym tego słowa sensie jakie uniwersale [...], jaki gatunek? Zaiste trudno wątpić, że we wszystkich tych przypadkach chodzi o bycie w sensie niewłaściwym [...]. Nie kulistość, lecz kula jest we właściwym tego słowa sensie, i nie wielkość, lecz to, co wielkie<sup>15</sup>. (za: Kotarbiński, 1979a, s. 166–169)

W pierwszym cytacie, zaczerpniętym z pracy Brentana *Vom ens rationis*, mianowicie w odróżnieniu takiej nazwy jak „centaur” od takiego słowa jak „treść”, Tadeusz Kotarbiński zdaje się dostrzegać pogląd zgodny ze stanowiskiem *Elementów*, które wyraz „centaur”, choć bezprzedmiotowy, zaliczają do kategorii nazw, mianowicie jako nazwę pustą, czyli bezprzedmiotową, podczas gdy słowo „treść”, jako nazwę pozorną, czyli onomatoid, wykluczają z tej kategorii. Jeżeli się nie mylę, wyrażając powyższy domysł, to wypada zauważyć, że

<sup>14</sup> Cytat ten Tadeusz Kotarbiński zaczerpnął z tekstu: F. Brentano, *Vom ens rationis*, (1917a, s. 247).

<sup>15</sup> F. Brentano, *Von den wahren und fiktiven Objekten*, 1911a.

Brentano w pierwszych pięciu fragmentach zacytowanej wypowiedzi nie zawarł poglądu na klasyfikację wyrazów imiennych, lecz na to, co jest przedmiotem, a co treścią sążenia, i w ogóle przedstawień, poruszył więc kwestię z zakresu psychologii poznania, teorii poznania oraz ich metodologii, a nie semantyki i metodologii semantyki.

Dopiero w ostatnim akapicie cytatu z *Vom ens rationis* Brentano przechodzi do semantycznej strony zagadnienia. W jego opinii tam wyrażonej skłonny jestem odróżnić od siebie dwa zapatrywania: w sprawie wykluczenia wyrazu „treść” z kategorii nazw oraz w sprawie synkategorematicznego charakteru, czyli niesamodzielnosci znaczeniowej onomatoidu na równi z takim samym niedostatkiem przyimków. Przy tym tę drugą własność można potraktować jako przyczynę odrębności kategoryalnej onomatoidu albo poprzestać na odnotowaniu, że owa własność, charakter synkategorematiczny, choć przysługuje onomatoidom, nie wpływa na to, że są onomatoidami. Ponieważ według mnie charakter w mniejszej albo większej mierze synkategorematiczny dzieli z onomatoidami także nazwy niepuste oraz bezprzedmiotowe, niesamodzielnosci znaczeniowej nazw pozornych nie uważam za decydującą o ich charakterze onomatoidalnym. Notabene, owa niesamodzielnosc znaczeniowa wymienionych wyrazów imiennych polega na czym innym w wypadku onomatoidów niż w wypadku nazw bezprzedmiotowych i na czymś jeszcze innym w wypadku nazw niepustych, nie wspominając o przyimkach. „Wyznaję – pisze Brentano w innym miejscu – że nie potrafię dopatrzeć się w ogóle jakiegokolwiek sensu w odróżnieniu bytu i egzystencji” (za: Kotarbiński, 1979a, s. 170)<sup>16</sup>. W słowach tych opowiada się za reizmem ontologicznym, podobnie jak w deklaracji: „Możemy twierdzić z całą stanowczością, że wszystko, co jest, musi być indywidualne” (za: Kotarbiński, 1979a, s. 170)<sup>17</sup>.

W tych dwóch ostatnich cytatach zawarte są poglądy Brentana na zagadnienia ontologiczne. Myślę, że warto zwrócić uwagę na ich sformułowanie, w obu wypadkach kategoryczne: „nie potrafię dopatrzeć się w ogóle jakiegokolwiek sensu” i „możemy twierdzić z całą stanowczością”. Wydaje mi się to znamienne. Ludzie, którzy twierdzą, że wszyscy żyjemy otoczeni wyłącznie rzeczami i że my sami, wraz z wszelkimi bytami natury żywej, jesteśmy doznającymi rzeczami, są o tym tak niezachwianie przekonani na podstawie swych bezwyjątkowych doświadczeń, że nie widzą potrzeby uzasadniania swego twierdzenia. Na przykład Tadeusz Kotarbiński zamiast uzasadniać tezy reizmu ontologicznego poprzestaje na napomknieniu o ich podstawie „naiwno-intuicyjnej i pospolicie indukcyjnej” oraz powołaniu się na językową genezę pomysłu, mianowicie na przenośny charakter wypowiedzi o bytach niematerialnych.

---

<sup>16</sup> F. Brentano, *Die psychische Beziehung im Unterschied von den Relation im eigentlichen Sinne*, 1911b, s. 137.

<sup>17</sup> F. Brentano, *Universell Denkendes und individuell Seiendes*, 1917, s. 202.

## BIBLIOGRAFIA

- Ajdukiewicz, K. (1930). Reizm. *Przegląd Filozoficzny*, 33(1–2), 140–160.
- Ajdukiewicz, K. (1934). W sprawie „uniwersaliów”. *Przegląd Filozoficzny*, 37, 219–234.
- Ajdukiewicz, K. (1948). Epistemologia i semiotyka. *Przegląd Filozoficzny*, 44, 336–347.
- Ajdukiewicz, K. (1960a). O znaczeniu wyrażań. W: K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie* (tom 1). Warszawa: PWN.
- Ajdukiewicz, K. (1960b). Język i znaczenie. W: K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie* (tom 1). Warszawa: PWN.
- Ajdukiewicz, K. (1960c). W sprawie „uniwersaliów”. W: K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie* (tom 1). Warszawa: PWN.
- Ajdukiewicz, K. (1960d). Problemat transcendentnego idealizmu w sformułowaniu semantycznym. W: K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie*. (tom 1). Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Ajdukiewicz, K. (1961). Reizm. W: T. Kotarbiński, *Elementy teorii poznania logiki formalnej i metodologii nauk* (wyd. 2). Warszawa: Ossolineum, Warszawa.
- Ajdukiewicz, K. (1965a). W sprawie artykułu prof. A. Schaffa o moich poglądach filozoficznych. W: K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie* (tom 2, s. 155–191). Warszawa: PWN.
- Ajdukiewicz, K. (1965b). Związki składniowe między członami zdań oznajmujących. W: K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie* (tom 2, s. 344–355). Warszawa: PWN.
- Ajdukiewicz, K. (1965c). W sprawie pojęcia istnienia. Kilka uwag w związku z zagadnieniem idealizmu. W: K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie* (tom 2, s. 143–154). Warszawa: PWN.
- Ajdukiewicz, K. (1965d). Zagadnienie empiryzmu a koncepcja znaczenia. W: K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie* (tom 2, s. 388–400). Warszawa: PWN.
- Ajdukiewicz, K. (1965e). *Logika pragmatyczna*. Warszawa: PWN.
- Ajdukiewicz, K. (1971). Wyrażenia intensjonalne. W: J. Pelc (red.), *Semiotyka polska 1894–1969* (s. 128–160). Warszawa: PWN.
- Ajdukiewicz, K. (2004). *Zagadnienia i kierunki filozofii. Teoria poznania i metafizyka*. Kęty, Warszawa: Antyk-Aletheia.
- Bańko, M. (red.). (2000). *Inny słownik języka polskiego PWN* (tom 1). Warszawa: PWN.
- Brentano, F. (1911a). *Von den wahren und fiktiven Objekten*.
- Brentano, F. (1911b). *Die psychische Beziehung im Unterschied von den Relation im eigentlichen Sinne*.
- Brentano, F. (1917a). *Vom ens rationis*.
- Brentano, F. (1917b). *Universell Denkendes und individuell Seiendes*.
- Hiż, H. (1992). Mój życiorys (jeszcze nie cały). W: J. Pelc (red.), *Fragmety filozoficzne ofiarowane Henrykowi Hiżowi w siedemdziesiątą piątą rocznicę*

- urodzin* (Biblioteka Myśli Semiotycznej 23, s. 11–18). Warszawa: Znak – Język – Rzeczywistość: Polskie Towarzystwo Semiotyczne.
- Karolak, S. (1999). Negacja. W: K. Polański, *Encyklopedia językoznawstwa ogólnego* (wyd. 2). Wrocław: Ossolineum.
- Kotarbińska, J. (1971a). Kłopoty z istnieniem (rozważania z zakresu semantyki). W: J. Pelc (red.), *Semiotyka polska 1894–1969* (s. 249–268). Warszawa: PWN.
- Kotarbińska, J. (1971b). Spór o granice stosowalności metod logicznych. W: J. Pelc (red.), *Semiotyka polska 1894–1969* (s. 216–248). Warszawa: PWN.
- Kotarbiński, T. (1913). *Szkice praktyczne. Zagadnienia z filozofii czynu*. Warszawa: Wydawnictwo Kasy Mianowskiego.
- Kotarbiński, T. (1929). *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* (wyd. 1). Lwów: Ossolineum.
- Kotarbiński, T. (1930). Realizm radykalny. *Przegląd Filozoficzny*, 33, 269–272.
- Kotarbiński, T. (1930). Uwagi na temat reizmu. *Ruch Filozoficzny*, XII(1–10), 7–12.
- Kotarbiński, T. (1947). Przegląd problematyki logiczno-semantycznej. *Sprawozdania z czynności i posiedzeń Łódzkiego Towarzystwa Nauk za I połr.*, 1(3), 46–53.
- Kotarbiński, T. (1949). O postawie reistycznej, czyli konkretystycznej. *Myśl Współczesna*, 4(10), 3–11.
- Kotarbiński, T. (1952). Odpowiedź. *Myśl Filozoficzna*, 2, 315–330.
- Kotarbiński, T. (1952b). Humanistyka bez hipostaz. *Myśl Filozoficzna*, 1(3), 257–270.
- Kotarbiński, T. (1954). Z zagadnień klasyfikacji nazw. *Rozprawy Komisji Językowej*, 1, 9–24.
- Kotarbiński, T. (1955). *Kurs logiki dla prawników*. Warszawa: PWN.
- Kotarbiński, T. (1956). Pojęcie „istoty rzeczy”. *Myśl Filozoficzna*, 3, 135–146.
- Kotarbiński, T. (1957a). Realizm praktyczny. W: T. Kotarbiński, *Wybór pism. Tom 1: Myśli o działaniu* (s. 680–698). Warszawa: PWN.
- Kotarbiński, T. (1957b). Analiza materializmu. W: T. Kotarbiński, *Wybór pism, Tom 2: Myśli o myśleniu* (s. 90–96). Warszawa: PWN.
- Kotarbiński, T. (1957c). Realizm idealny. W: T. Kotarbiński, *Wybór pism, Tom 2: Myśli o myśleniu* (s. 97–103). Warszawa: PWN.
- Kotarbiński, T. (1957d). *Wykłady z dziejów logiki*. Łódź: Ossolineum.
- Kotarbiński, T. (1957e). Myśl przewodnia metodologii Franciszka Bacona. W: T. Kotarbiński, *Wybór pism, Tom 2: Myśli o myśleniu* (s. 555–588). Warszawa: PWN.
- Kotarbiński, T. (1957f). Program Bacona. W: T. Kotarbiński, *Wybór pism, Tom 2: Myśli o myśleniu* (s. 589–621). Warszawa: PWN.
- Kotarbiński, T. (1958). Fazy rozwojowe konkretyzmu. *Studia Filozoficzne*, 47, 3–13.
- Kotarbiński, T. (1961). *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* (wyd. 2). Wrocław: Zakład narodowy im. Ossolińskich.
- Kotarbiński, T. (1966). *Wesołe smutki*. Warszawa: PWN.
- Kotarbiński, T. (1968). Reism: Issues and Prospects. *Logique et Analyse*, 11(44), 441–458.
- Kotarbiński, T. (1979a). Franciszek Brentano jako reista. W: T. Kotarbiński, *Szkice z historii filozofii i logiki*. Warszawa: PWN.

- Kotarbiński, T. (1979b). Garstka wspomnień o Stanisławie Leśniewskim. W: T. Kotarbiński, *Szkice z historii filozofii i logiki*. Warszawa: PWN.
- Kotarbiński, T. (1993a). Podstawowy postulat konkretyzmu. W: T. Kotarbiński, *Dzieła wszystkie. Tom 2: Ontologia, teoria poznania i metodologia nauk* (s. 209–217). Wrocław: Ossolineum.
- Kotarbiński, T. (1993b). Zasadnicze myśli pansomatyzmu. W: T. Kotarbiński, *Dzieła wszystkie. Tom 2: Ontologia, teoria poznania i metodologia nauk* (s. 139–148). Wrocław: Ossolineum.
- Kotarbiński, T. (1993c). Reizm: problemy i perspektywy rozwoju. W: T. Kotarbiński, *Dzieła wszystkie. Tom 2: Ontologia, teoria poznania i metodologia nauk* (s. 218–232). Wrocław: Ossolineum.
- Kotarbiński, T. (1993d). Uwagi na temat reizmu. W: T. Kotarbiński, *Dzieła wszystkie. Tom 2: Ontologia, teoria poznania i metodologia nauk* (s. 132–136). Wrocław: Ossolineum.
- Kotarbiński, T. (1993e). O istocie doświadczenia wewnętrznego. W: T. Kotarbiński, *Dzieła wszystkie. Tom 2: Ontologia, teoria poznania i metodologia nauk* (s. 233–242). Wrocław: Ossolineum.
- Kotarbiński, T. (2019). *Traktat o dobrej robocie*. Łódź: Wydawnictwo UŁ.
- Lewis, C. I. (1946). *The Analysis of Knowledge and Valuation*. La Salle: Open Court.
- Morris, Ch. (1938). *Foundations of the Theory of Signs*. Chicago: The University of Chicago Press.
- Pelc, J. (1971). *O użyciu wyrażień*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk: Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk.
- Przełęcki, M. (1984). Argumentacja reisty. *Studia Filozoficzne*, 5(222), 5–22.
- Szymczak, M. (red.). (1979). *Słownik języka polskiego* (tom 2). Warszawa: PWN.
- Twardowski, K. (1894). *Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen*. Wiedeń.
- Twardowski, K. (1912). *O czynnościach i wytworach. Kilka uwag z pogranicza psychologii, gramatyki i logiki*. Lwów: nakł. Uniwersytetu Lwowskiego.
- Wittgenstein, L. (2004). *Dociekania filozoficzne*. Warszawa: PWN.
- Witwicki, W. (1925). *Psychologia dla użytku słuchaczy wyższych zakładów naukowych* (tom 1). Lwów: Ossolineum.

**REISM IN THE EYES OF ITS PEERS**

**SUMMARY:** *Reism in the eyes of its peers* is a text on which Pelc has worked in the last years of his life. The essay is a detailed discussion of reism, its historical context, analyses of reism carried out by Kazimierz Ajdukiewicz, Janina Kotarbińska and Marian Przełęcki, it contains also a presentation of the position of *moderate reism*, supported by Jerzy Pelc himself.